www.polska-zbrojna.pl

polskaZbrojna

95 LAT

NR 4 (840) KWIECIEŃ 2016 CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4523

MILITARY SKI PATROL

OSTRO POD GÓRĘ

25 KM DO POKONANIA NA NARTACH Z CIĘŻKIMI PLECAKAMI

PO PROSTU PRZEŻYJ

POLSCY SPECJALSI REWELACYJNIE ZAPREZENTOWALI SIĘ NA AMERYKAŃSKIM SZKOLENIU SERE

Służba bez limitu

NA LIKWIDACJI OGRANICZENIA SŁUŻBY KONTRAKTOWEJ DO 12 LAT ZYSKA PONAD 30 TYS. ŻOŁNIERZY

ISSN 08674523 04 9 770867 452601

TargiKielce
EXHIBITION & CONGRESS CENTRE

Honorowy Patronat
Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

ufi Approved Event
MSPO

XXIV Międzynarodowy Salon
Przemysłu Obronnego

6-9.09.2016
Kielce

mspo.pl

IZABELA BORAŃSKA-CHMIELEWSKA

SZEREGOWY ZAWODOWY – DOŚWIADCZONY ŻOŁNIERZ, KTÓRY – JEŚLI JEST DOBRZE SZKOLONY I CHCE SŁUŻYĆ OJCZYŹNIE – JEST DLA NIEJ BEZCENNYM SKARBEM.

Jeśli państwo o niego dba i docenia jego zaangażowanie – on, kiedy będzie potrzeba, bez wahania wykaże się męstwem, honorem i przede wszystkim umiejętnościami. Szeregowi to w zdecydowanej większości żołnierze bardzo ambitni, chcący się kształcić i doskonalić swoje umiejętności.

Ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych określała, że służba kontraktowa może być pełniona maksymalnie przez 12 lat. Obecna zmiana, zaproponowana w projekcie poselskim przy pełnej aprobacie rządu, zniosła ten limit. Jak podkreślił minister obrony Antoni Macierewicz na jednym z posiedzeń sejmowej Komisji Obrony Narodowej, te 12 lat było jasnym przekazem dla żołnierzy zawodowych – jeżeli nie spełnicie naszych wymagań, to będziecie musieli odejść z wojska.

10 kwietnia, sześć lat temu, prezydent Lech Kaczyński wraz z polską delegacją udał się w podróż do Katynia na uroczystości upamiętniające 70. rocznicę mordu dokonanego przez NKWD na polskich oficerach. Delegacja nie dotarła na miejsce. Prezydencki samolot rozbił się pod Smoleńskiem... Po tej niewyjaśnionej do dziś katastrofie ból wciąż jest obecny w sercu Narodu. Po raz kolejny w historii i po raz kolejny w tym samym miejscu straciliśmy kwiat polskiej armii – dowódców sił zbrojnych, wspaniałych polityków i działaczy społecznych, dwóch prezydentów – Lecha Kaczyńskiego i prezydenta RP na uchodźctwie Ryszarda Kaczorowskiego.

Oddajmy Im hołd jeszcze raz... Cześć Ich pamięci.

Więcej o służbie szeregowych zawodowych na str. 12–25, wspomnienia o dowódcach, którzy zginęli w katastrofie smoleńskiej, na str. 114–129.

Zdjęcie na okładce: Rafał Mniedło / 11 LDKPanc

NR 4 (840)
KWIECIEŃ 2016

TEMAT NUMERU

PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
12 / Szeregowy bez limitu
Nowelizacja ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych zlikwiduje ograniczenia służby kontraktowej.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
20 / Skok w dal
Rozmowa ze st. szer. Marcinem Wichrem o ambicjach w korpusie szeregowych zawodowych i ciągłym podnoszeniu poprzeczki.

BOGUSŁAW POLITOWSKI
22 / Druga szansa
St. szer. Michał Siekirka – przykład sumiennej służby, kreatywności i wiedzy specjalistycznej.

TADEUSZ WRÓBEL
24 / Długa droga do emerytury
Korpus szeregowych zawodowych – jakie rozwiązania preferują armie zachodnie?

ARMIA

PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
26 / Przygotowani do służby
Większe limity to dla kandydatów do służby przygotowawczej dobra wiadomość – nie będą musieli długo czekać na powołanie.

KRZYSZTOF WILEWSKI
32 / Zbrojeniowe przyspieszenie
Rozmowa z wiceministrem Bartoszem Kownackim o planach modernizacji polskiej armii.

EWA KORSAK, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
36 / Po prostu przeżyj
Dwóch żołnierzy z Lublińca i GROM-u ukończyło elitarny kurs SERE w Stanach Zjednoczonych.

KRZYSZTOF KOWALCZYK
42 / Od żołnierzy dla żołnierzy
Relacja z uroczystej gali wręczenia Buzdyganów za 2015 rok.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
46 / Ludzie z cienia
W cyklu „Wojsko od kulis" prezentujemy 19 Samodzielny Oddział Geograficzny w Lesznie.

KRZYSZTOF KOWALCZYK
52 / Ostro pod górę
25 km zimą w Górach Izerskich, czyli Military Ski Patrol.

TADEUSZ WRÓBEL
56 / Zawsze elitarni
Rozmowa z płk. Wojciechem Marchwicą o zadaniach 6 Brygady Powietrznodesantowej.

BOGUSŁAW POLITOWSKI
58 / Zderzenia w jednostce
Mobbing w wojsku. Ile zgłoszonych spraw o niewłaściwe zachowanie w stosunku do podwładnych trafia do sądu?

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
63 / Prosta prawda
Weterani opowiadali młodzieży z Ostrołęki o swojej trudnej służbie.

Znajdziesz nas tutaj:

ARSENAŁ

PAWEŁ HENSKI
72 / Atom pod lupą
Kryzys w amerykańskich siłach atomowych.

TADEUSZ WRÓBEL
78 / Syndrom zagrożenia
Wobec sytuacji w regionie Australia znacząco zwiększa wydatki na obronę.

KRZYSZTOF WILEWSKI
80 / Leopardy po polsku
Ruszyła modernizacja najnowocześniejszych czołgów w polskim wojsku.

STRATEGIE

TOMASZ OTŁOWSKI
88 / Na strategicznym zakręcie
Polityka Izraela wobec pogarszającej się sytuacji w regionie.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
93 / Tęsknota za otwarciem
O czym świadczą wyniki wyborów parlamentarnych w Teheranie?

MICHAŁ ZIELIŃSKI
97 / W obliczu terroryzmu
Polska przygotowuje się na szczyt NATO i Światowe Dni Młodzieży.

HISTORIA

JAKUB NAWROCKI
102 / Ostatni polski ataman
Niekonwencjonalne metody działania Stanisława Bułak-Bałachowicza.

TADEUSZ WRÓBEL
110 / Bombowiec do zadań specjalnych
W cyklu „Niezwykłe maszyny" przedstawiamy lancastera.

HORYZONTY

114 / Pamiętamy
Przypominamy dowódców Wojska Polskiego, którzy zginęli pod Smoleńskiem.

EWA KORSAK,
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
132 / Wrócimy do Patagonii
Drużyna z Polski wzięła udział w jednym z najtrudniejszych wyścigów świata.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
136 / Spełniona prośba
W Ostrołęce powstaje pierwsze Muzeum Żołnierzy Wyklętych.

PIOTR ZARZYCKI
139 / Ale to była katorga!
Oferta imprez biegowych w Polsce jest ogromna – każdy znajdzie coś dla siebie.

WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
płk Dariusz Kacperczyk,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Izabela Borańska-Chmielewska, tel.: 261 840 222;
ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI
Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213
Zastępcy sekretarza redakcji
Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY
Piotr Bernabiuk, Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Ewa Korsak, Krzysztof Kowalczyk, Bogusław Politowski, Małgorzata Schwarzgruber, Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel, tel.: 261 845 244, 261 845 604; Magdalena Kowalska-Sendek, tel.: 725 880 221; Rafał Ciastoń, Paweł Henski, Włodzimierz Kaleta, Jakub Nawrocki, Tomasz Otłowski, Jarosław Rybak, Kamil Szubart, Łukasz Zalesiński, Piotr Zarzycki, Michał Zieliński

DZIAŁ GRAFICZNY
Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka,
Monika Siemaszko, tel.: 261 845 170;
Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel.: 261 845 579

REDAKCJA TEKSTÓW
Renata Gromska, Barbara Szymańska, tel.: 261 845 502

BIURO REKLAMY I MARKETINGU
Piotr Jaszczuk (kierownik), Agnieszka Karaczun,
Anita Kwaterowska (tłumacz), Małgorzata Szustkowska,
Piotr Zarzycki,
tel. 261 845 387, 261 845 180,
faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
Poczta Polska Usługi Cyfrowe Sp. z o.o.
ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek
tel: 542 315 201, 502 012 187
e-mail: elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

Numer zamknięto: 23.03.2016 r.

DRUK
ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobyłka,
www.artdruk.com

PRENUMERATA
Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych „Polski Zbrojnej" można składać poprzez:
– www.polska-zbrojna.pl
– www.prenumerata.ruch.com.pl
– www.garmondpress.pl/prenumerata
– www.kolporter.com.pl/prenumerata
Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej", dostępna na: http://e-kiosk.pl, www.egazety.pl

PARTNER
NAC Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl

Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.
Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400
Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna" materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.

ŻOŁNIERZE 10 BATALIONU ZMECHANIZOWANEGO DRAGONÓW 10 Brygady Kawalerii Pancernej na poligonie w Żaganiu podczas szkolenia służącego osiągnięciu przez pododdział gotowości do udziału w Siłach Odpowiedzi NATO.

RAFAŁ MNIEDŁO / 11 LDKPanc

BARTOSZ BERA

Logistyczne wyzwanie

Przygotowania do szczytu NATO w Warszawie

Szczyt NATO to najważniejsze wydarzenie w dziedzinie bezpieczeństwa na świecie, a dla nas jest zaszczytem, że odbędzie się w Warszawie, mieście, które jest symbolem w walce o polską niepodległość", stwierdził minister Antoni Macierewicz na spotkaniu dotyczącym przygotowań do tego wydarzenia.

Miejscem obrad szczytu 8–9 lipca będzie stadion PGE Narodowy. Wyłoniono już wykonawców aranżacji i adaptacji obiektu, aby zapewnić na nim warunki pracy dla około 2,5 tys. delegatów, 1,5 tys. dziennikarzy i 500 ekspertów. Jak podaje resort obrony, trwają też prace nad przygotowaniem planu transportu i wahadłowej komunikacji między hotelami a lokalizacjami szczytu. Aby zapewnić sprawne przygotowanie wydarzenia i bezpieczeństwo jego uczestnikom, Sejm przyjął specjalną ustawę. Wyłącza ona udzielanie zamówień publicznych związanych z organizacją szczytu spod rygorów ustawy „Prawo zamówień publicznych". Dotyczy to dostaw, usług i robót budowlanych.

Jak tłumaczy MON, przyjęcie tego rozwiązania było niezbędne ze względu na ograniczenia czasowe i bezpieczeństwo imprezy. Prawo nakazuje zastosowanie podczas przetargów długotrwałych procedur, przez co ze względu na ograniczenia czasowe nie udałoby się we właściwy sposób przygotować przedsięwzięcia. Ponadto ujawnienie informacji związanych z organizacją spotkania mogłoby spowodować zagrożenie dla bezpieczeństwa Polski i państw biorących w nim udział. W ochronę szczytu zostaną zaangażowani żołnierze, a także inne służby państwowe, również te podległe ministrowi spraw wewnętrznych i administracji. Ich działania w tym czasie będą zintegrowane pod wspólnym kierownictwem. PZ, KK ■

Polskie zakupy

Trwają negocjacje w sprawie sytemu Patriot i caracali.

W ubiegłym roku rząd PO – PSL zdecydował, że faworytem wśród zestawów rakietowych średniego zasięgu, które Polska chce kupić w ramach programu „Wisła", jest system obrony powietrznej Patriot (na zdjęciu). Jednak zdaniem ministra Antoniego Macierewicza propozycja Amerykanów jest zbyt droga, a terminy dostawy do Polski zbyt odległe, by przyjąć ofertę. „Dlatego Polska prowadzi rozmowy z USA w sprawie korekty sprzedaży patriotów", poinformował gen. Adam Duda, szef Inspektoratu Uzbrojenia (IU). Zdaniem generała oferta rządu USA jest nieakceptowalna także ze względu na zbyt małe zaangażowanie polskiego przemysłu w produkcję zestawów. „Chcemy ulokowania około 50% wartości tego zamówienia w polskim przemyśle. Chodzi o wykorzystanie mechanizmu offsetowego lub ulokowanie w gotowym zestawie wyrobów, które są produkowane przez polski przemysł obronny", wyjaśniał gen. Duda.

Wspólna obrona

Rząd przyjął projekt nowelizacji przepisów w sprawie pobytu obcych wojsk w Polsce.

NATO

Zgodnie z proponowanymi przez ministra obrony przepisami obce wojska będą mogły w czasie pokoju prowadzić na terenie Polski lub w naszej przestrzeni powietrznej operacje wojskowe. Będą też mogły udzielić nam wsparcia w razie konieczności podjęcia działań prewencyjnych, odstraszających lub wymagających użycia sił wysokiej gotowości.

Decyzję o zgodzie na pobyt w Polsce żołnierzy – głównie z NATO i Unii Europejskiej – będzie podejmować prezydent na wniosek ministra obrony, po uzyskaniu zgody premiera. Obce wojska będą mogły mieć przyznane takie uprawnienia, jakie mają nasze siły zbrojne.

Jak tłumaczy Centrum Informacyjne Rządu, wprowadzenie tych regulacji jest konieczne ze względu na pogarszający się stan bezpieczeństwa w Europie Środkowo-Wschodniej. Sytuacja geopolityczna może wymusić natychmiastowe wsparcie polskich żołnierzy przez siły NATO, gdyby nie było jeszcze podstaw do podjęcia działań na podstawie art. 5 traktatu waszyngtońskiego, dotyczącego obrony kolektywnej.

Nowa regulacja, zdaniem pomysłodawców, powinna odstraszać potencjalnych przeciwników i zniechęcać do podejmowania działań przeciwko Polsce. Zapewni też wdrożenie w naszym kraju „Planu działań na rzecz gotowości" (Readiness Action Plan) oraz wykonywanie operacji wojskowych przez siły wysokiej gotowości (Very High Readiness Joint Task Force). AD ■

Piąta siła

Wojska obrony terytorialnej (WOT) mają być piątym rodzajem sił zbrojnych. „W razie działań zbrojnych będą współdziałać z wojskiem, a nie samodzielnie konfrontować się z wrogiem", mówił posłom i senatorom z komisji obrony narodowej pełnomocnik MON-u ds. utworzenia obrony terytorialnej dr Grzegorz Kwaśniak. Według koncepcji MON-u, WOT będą zbudowane na trzech poziomach. Na ich czele stanie dowództwo podporządkowane Sztabowi Generalnemu Wojska Polskiego. Na poziomie operacyjnym obrona terytorialna będzie miała we wszystkich województwach brygady, a we wszystkich miastach wojewódzkich po batalionie. Na poziomie taktycznym, czyli powiatowym, ma powstać 86 dowództw batalionów i 364 kompanie. MON chce, aby brygady WOT liczyły około 2 tys. żołnierzy, co ma dać w sumie mniej więcej 35 tys. w kraju.

Jak zapowiedział wiceminister Bartosz Kownacki, jeszcze w tym roku powstaną trzy brygady na wschodzie Polski. W 2017 roku mają zostać powołane kolejne trzy. Resort chce, by w 2019 roku obrona terytorialna była gotowa pod względem organizacyjnym. Do służby w jej oddziałach będą przyjmowani żołnierze ochotnicy, a także rezerwiści. PZ, JT, KK ■

US DOD

Ministerstwo Obrony Narodowej rozpoczęło też rozmowy z konsorcjum MEADS, które startowało w postępowaniu na dostawę zestawów rakietowych, ale zostało z niego wykluczone. „Sprawdzamy, co mogłoby być alternatywą, gdybyśmy nie doszli do porozumienia ze stroną amerykańską", dodał generał.

Jednocześnie trwają negocjacje z Francuzami dotyczące umowy na dostawę 50 śmigłowców wielozadaniowych EC-725 Caracal. W ubiegłym roku przetarg wygrał Airbus Helicopters, ale obecny szef MON-u go zakwestionował, uzależniając realizację umowy od efektów negocjacji offsetowych. Dotychczas zakładano, że Airbus uruchomi w Polsce serwis śmigłowców Caracal oraz linię do naprawy wyposażenia pokładowego. Obecne negocjacje mają szerszy zakres. Jak stwierdził szef IU: „Jednym z przedmiotów jest pozyskanie i transfer od Francuzów technologii produkcji prochów wielobazowych, potrzebnych do wytwarzania różnego rodzaju amunicji". PZ, KK ■

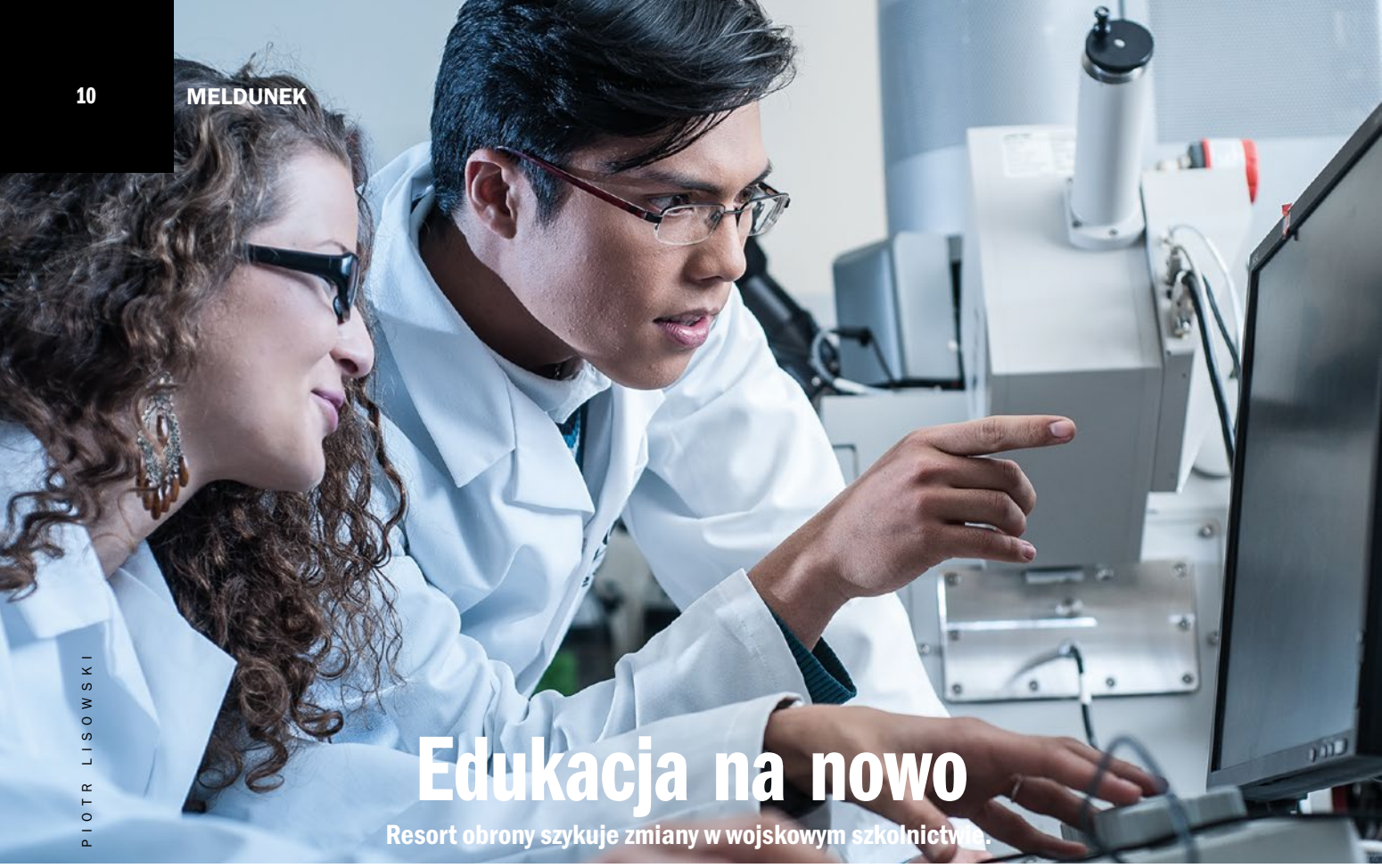

PIOTR LISOWSKI

Edukacja na nowo

Resort obrony szykuje zmiany w wojskowym szkolnictwie.

Chcemy, żeby wszystkie pięć wyższych uczelni wojskowych stało się szkołami prestiżowymi i elitarnymi, na których liczba studentów cywilnych będzie wyraźnie mniejsza niż dzisiaj", mówił wiceminister Wojciech Fałkowski posłom podkomisji obrony narodowej. MON planuje zmiany organizacyjne, strukturalne i kadrowe. „Zależy nam jednocześnie, by uczelnie zachowały swoje uprawnienia tam, gdzie to jest uzasadnione rzeczywistymi kwalifikacjami", dodał wiceszef resortu.

Zmiany mają dotyczyć Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie, Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie, Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni oraz Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu, która ma być m.in. przekształcona w Akademię Wojsk Lądowych. Jak zaznaczył Fałkowski, z kolei warszawska Akademia Obrony Narodowej powinna realizować program edukacyjny bardziej dostosowany do potrzeb armii oraz pełnić funkcję wojskowego ośrodka analitycznego. AON będzie też prowadzić w większym stopniu niż do tej pory działania w kierunku formowania i kształtowania postaw patriotycznych w wojsku. PZ, JT, PG ■

Kadrowe roszady

Zmiany w wojsku są konieczne i będą postępowały systematycznie", zapowiedział minister Antoni Macierewicz, powołując nowych oficerów na stanowiska dowódcze. Wśród mianowanych znalazł się gen. dyw. Michał Sikora, nowy szef sztabu Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Oficer do tej pory służył w dowództwie jako inspektor RSZ.

Nowym inspektorem wojsk lądowych DGRSZ jest gen. dyw. Leszek Surawski, wcześniej dowódca 16 Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej. Dowódca 3 Flotylli Okrętów kadm. Mirosław Mordel został inspektorem marynarki wojennej DGRSZ, a dowódca 6 Brygady Powietrznodesantowej płk Wojciech Marchwica – szefem Oddziału Szkolenia Zarządu Wojsk Pancernych i Zmechanizowanych w DGRSZ. Dowodzenie Inspektoratem Wsparcia Sił Zbrojnych objął gen. bryg. Dariusz Łukowski, do niedawna szef Zarządu Planowania Logistyki w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego. Zastąpił na tym stanowisku gen. broni Edwarda Gruszkę. Płk Robert Głąb przejął z kolei od gen. dyw. Wiesława Grudzińskiego obowiązki dowódcy Garnizonu Warszawa. Oficer wcześniej był szefem Zarządu Szkolenia w Sojuszniczym Dowództwie Sił Powietrznych w Ramstein. Nowym komendantem głównym Żandarmerii Wojskowej jest płk Tomasz Połuch, który dotychczas dowodził Oddziałem Specjalnym ŻW w Warszawie. Pełnomocnikiem MON-u ds. wojskowej służby kobiet została mjr Anna Pęziół-Wójtowicz. PZ, MS, KW ■

PIOTR BERNABIUK

Galaktyka na pagonach

Aby złapać oddech po przeprowadzonych jednego dnia rozmowach z trzema generałami, spotkałem się na popołudniowym piwie z trójką starych znajomych – byłym starszym szeregowym, starszym szeregowym w służbie oraz z kapralem nówką, który jeszcze dobrze pachniał starszym szeregowym. Zejście z poziomu operacyjnego na szczebel taktyczny, z salonów sztabowych do okopów dość podłej piwiarni nie przyniosło mi spodziewanego relaksu. O ile bowiem dopołudniowy dyskurs sprowadzał się do spraw prostych, wręcz przyziemnych, dotyczących żołnierskiego życia, o tyle po południu wznieśliśmy się w jednej chwili na top.

„Aktualny" rozpoczął wywód na temat zalet pozostawienia starszych szeregowych w służbie – jak to z przekonaniem określił – „na zawsze". Jego zdaniem, podobnie jak najwyższych przełożonych oraz polityków, wyrzucanie na śmietnik żołnierza w chwili, gdy osiąga największą wartość bojową, było nieliczeniem się z ludzkim losem oraz zwykłym marnotrawstwem potencjału. Na to „Kapral" spojrzał na „Aktualnego" wielkimi oczami, po czym parsknął śmiechem prosto w piwo, rozdmuchując pianę.

„Aktualny" odebrał takie zachowanie nazbyt osobiście i w ramach riposty odpalił, że wystarczyło pół roku prania mózgu w szkółce podoficerskiej, by „Kapral" wyalienował się ze środowiska starszych szeregowych i przeszedł na stronę ważniaków oraz gnębicieli prostych żołnierzy. I to za ile? Za cztery stówy miesięcznie?

No i już dalej byłoby o pieniądzach… o tym, że „Kapral" ma w perspektywie sześć stów awansu do stopnia starszego chorążego, a „Aktualny" się nie sprzedał, pozostał niezłomnym wojownikiem, a jak potrzebuje kasy, to cztery stówy po pracy dorobi w ochronie albo gdzie indziej. Przecież wszędzie docenią żołnierza, który wielokrotnie brał udział w operacjach bojowych i ma czas wolny od godz. 15.30… Na szczęście do rozmowy włączył się „Były", zwracając „Aktualnemu" uwagę, że może sobie do późnej starości biegać z nożem w zębach, bo to jego sprawa. I ogólnie rzecz biorąc, to dzięki doświadczonym w boju starszym szeregowym mamy armię, która nie spęka. „Kapral" zaś miał ambicję i cechy przywódcze, więc teraz ma prawo sobie rządzić. A jak się komuś w wojsku nie podoba, to może odejść do cywila, czego „Były" jest przykładem.

Dalej było o jego przykładzie, o tym, jak „Były", chcąc zachować potencjał bojowy i przekazać wartości, wspierał w szkoleniu grupę militarną. Bardzo krótko zresztą, bo kolesie chcieli „Byłego" ustawiać w szyku, gdyż był prostym starszym szeregowym rezerwy, a tam na pagonach gwiazdek a gwiazdek, cała droga mleczna. Ponadto chłopaki mieli 100 pomysłów na to, jak zreformować armię, wiedzieli na 100%, gdzie i co jest w niej do d…, mimo że żaden z nich w wojsku nie służył.

Tak więc „Były" zapytał wprost, dlaczego, jeśli ich tak wojaczka kręci, nie wstąpią do armii? Mieli 100 powodów, a to, że będą musieli swoje uzbrojenie – wprawdzie tylko ASG, ale jednak – zmienić na wojskowe badziewie, a to, że drażni ich w wojsku dominacja białej taktyki nad zieloną… Szczerością zabłysnął ich dowódca: „Do wojska? Bez sensu! Dziś jestem prostym pułkownikiem, ale jutro, jak zechcę, mianuję się generałem. I co, dowodzony w armii przez kaprala mam zaczynać awanse od zera?". ■

TEMAT NUMERU

/ **SZEREGOWI ZAWODOWI**

PAULINA GLIŃSKA,
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

SZEREGOWY BEZ LIMITU

Zniesienie 12-letniego limitu służby kontraktowej było jednym z priorytetów obecnego kierownictwa MON-u. Na likwidacji ograniczenia służby kontraktowej zyska ponad 30 tys. żołnierzy.

ŁUKASZ KERMEL/17 WBZ

Korpus szeregowych zawodowych istnieje od 12 lat, ale przepisy regulujące zasady służby szeregowych wprowadzono dopiero w 2009 roku. Ówczesna ustawa pragmatyczna zakładała, że żołnierz tego korpusu może służyć maksymalnie 12 lat. Do „mundurowego" stażu wliczała się także służba zasadnicza i nadterminowa oraz praca w Policji, Straży Granicznej, Biurze Ochrony Rządu, Państwowej Straży Pożarnej, Służbie Więziennej, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Agencji Wywiadu, Służbie Wywiadu Wojskowego, Służbie Kontrwywiadu Wojskowego lub Urzędzie Ochrony Państwa. Żołnierz, który chciał się związać z armią na dłużej, musiał awansować do korpusu podoficerskiego, a ostatnio – także oficerskiego.

O modyfikacji ustawy pragmatycznej mówiło się już od dawna. Zmian domagali się przede wszystkim szeregowi. O konieczności utrzymania w służbie żołnierzy najniższych stopniem głośno mówili także politycy. Zniesienie 12-letniego okresu służby kontraktowej stało się priorytetem obecnego kierownictwa resortu obrony, a zapowiedzi MON-u ostatecznie stały się faktem. 8 marca 2016 roku prezydent Andrzej Duda podpisał nowelizację ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych. W myśl noweli żołnierze najliczniejszego i najmłodszego w wojsku korpusu nie będą obligatoryjnie zwalniani z armii po 12 latach służby.

SZANSA DLA NIELICZNYCH

„Armia nas wykorzystała. Zabrała nam najlepsze lata życia, nie dając nic w zamian. Z góry założono, że jesteśmy potencjalnymi młodymi emerytami i że trzeba nas wyrzucić, zanim wyciągniemy rękę po pieniądze", „Wojsko potraktowało nas jak śmieci, a przecież szkoliłem się i byłem bardzo dobry. Jeździłem na misje do Kosowa i Iraku. Teraz chcą mnie zwolnić w obawie, że ucieknę ze świadczeniami po 15 latach służby. Przecież nigdy nie deklarowałem, że interesuje mnie tylko 15 lat pracy" – w taki sposób szeregowi wypowiadali się o 12-letniej służbie kontraktowej kilka lat temu. Rozgoryczenie żołnierzy było ogromne, zwłaszcza że ograniczenia w służbie kontraktowej dotknęły także tych, którzy z wojskiem byli związani od kilku lat. Tematyką 12-letniej służby były przepełnione media, fora internetowe i portale społecznościowe. Szeregowi tłumaczyli, że warto inwestować w doświadczonych, wyszkolonych i sprawdzonych w boju żołnierzy. Wielu z nich zdobyte umiejętności potwierdziło, walcząc na kilku misjach zagranicznych na Bałkanach, w Iraku i Afganistanie. Niektórzy podczas służby zdobyli specjalistyczne kwalifikacje; dotyczy to m.in. łącznościowców, operatorów różnego rodzaju sprzętu i systemów informatycznych, meteorologów, strzelców wyborowych, doskonale wyszkolonych zwiadowców, saperów i nurków.

Tak jest także w wypadku st. szer. Witolda Wytrwała z 6 Batalionu Logistycznego 6 Brygady Powietrznodesantowej w Krakowie. „Mundur noszę od ośmiu lat. Służbę zasadniczą, a później nadterminową przeszedłem w 1 Brygadzie Pancernej, a dopiero potem przeniosłem się do spadochroniarzy", opowiada. Dziś jest instruktorem zrzutów towarowych w plutonie konserwacyjnym zajmującym się obsługą tary desantowej. By dobrze wykonywać swoje zadania, najpierw uczył się fachu w jednostce, a po dwóch latach prakty-

RAFAŁ MNIEDŁO/11 LDKPanc

KOSZTOWNY REMANENT

W listopadzie, na posiedzeniu sejmowej Komisji Obrony Narodowej minister Antoni Macierewicz poinformował, że eksperci ministerstwa przygotowali wstępną analizę wydatków związanych z wprowadzeniem nowej ustawy pragmatycznej. Wynika z nich, że koszty pojawią się w czwartym roku po wprowadzeniu noweli i wyniosą 73 mln zł. W kolejnych latach będzie to 111 mln zł, potem 153 mln zł oraz 213 mln zł w siódmym roku. W perspektywie dziesięciu lat koszty przekroczą ponad 1,5 mld złotych.

MON informuje także, że zniesienie ograniczenia 12 lat służby nie wpłynie na zwiększenie kosztów osobowych i rzeczowych utrzymania żołnierzy (np. kosztów uposażeń, szkoleń żołnierzy itp.), gdyż zmiana ta nie spowoduje wzrostu liczby żołnierzy zawodowych. ■

ki wyjechał na kurs do Kanady. Tam podczas trzytygodniowego szkolenia uczył się, jak przygotowywać zrzuty towarowe. „Dziś mam uprawnienia jako kierownik załadunku i bardzo lubię swoją pracę. Mam świadomość, że to jedyny taki pluton w Polsce, a ja jestem jedną z kilkunastu osób, które mają właśnie takie uprawnienia. Gdyby nie zmiana ustawy, to swoją pracę jako szeregowy mógłbym wykonywać jeszcze tylko przez cztery lata”, mówi st. szer. Wytrwał.

Przez długi czas argumenty wypowiadane przez szeregowych nie były wystarczająco mocne. Mówiono np., że na zmiany w kwestii wydłużenia służby kontraktowców nie pozwalają finanse. Przedłużony o trzy lata (z 12 do 15) kontrakt szeregowych, oznaczałby bowiem nabycie przez żołnierzy uprawnień emerytalnych i wypłatę 40% uposażenia. Ministerstwo zachęcało natomiast szeregowych do podnoszenia swoich kwalifikacji, w tym przejścia – po ukończonym półrocznym szkoleniu – do korpusu podoficerskiego. Kłopot w tym, że w praktyce szanse na awans miało niewielkie grono. Kursy podoficerskie w trzech szkołach w ciągu roku może ukoń- →

RAFAŁ MNIEDŁO/11 LDKPanc

WIĘCEJ SŁUCHACZY
NA KURSACH PODOFICERSKICH

Ze względu na potrzebę przeszkolenia większej niż dotąd liczby szeregowych, przewidzianych do objęcia stanowisk podoficerskich, na szczeblu Dowództwa Generalnego RSZ zapadła decyzja o zwiększeniu limitów i uruchomieniu w tym roku dwóch dodatkowych kursów dla szeregowych. Pierwszy ruszy w maju w Centrum Szkolenia Sił Powietrznych w Koszalinie, drugi jesienią w Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu. Po egzaminach wstępnych szansę na półroczne szkolenie podoficerskie otrzyma ponad 400 żołnierzy najniższego korpusu.

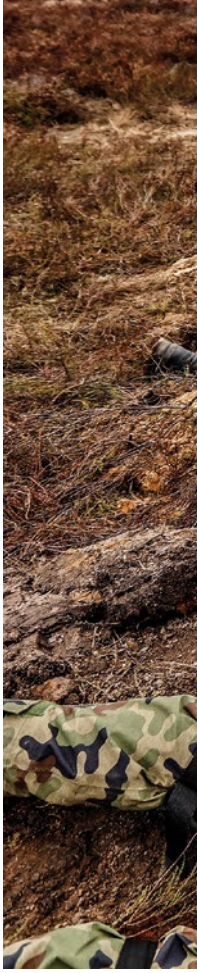

czyć około 1000 żołnierzy. To, zdaniem szeregowych, kropla w morzu potrzeb. Problemu nie rozwiązało także pilotażowe uruchomienie kursu oficerskiego dla wyróżniających się szeregowych. 12-miesięczne szkolenie w Wyższej Szkole Oficerskiej rozpoczęło jesienią jedynie 15 żołnierzy. Podobny limit będzie obowiązywał także w tym roku.

KROK DO PRZODU

Argumentem za ograniczeniem służby szeregowych była także obawa o ich kondycję fizyczną. Mówiono, że stanowiska strzelców różnych rodzajów broni, operatorów maszyn inżynieryjnych, mechaników, kierowców czołgów i wozów bojowych powinni zajmować żołnierze młodzi, bo wymagają one dobrej kondycji i doskonałego stanu zdrowia. I, jak wówczas podkreślano, nie było to przejawem dyskryminacji, lecz próbą zaktywizowania żołnierzy kontraktowych do świadomego podejmowania decyzji o własnym rozwoju zawodowym. Obecnie MON na tę kwestię patrzy nieco inaczej. Wiceminister Bartosz Kownacki przyznał, że nie widzi problemu w tym, by w wojsku służyli też starsi szeregowi. „Technika bardzo się rozwija, więc służba to nie tylko kwestia sprawności fizycznej, lecz także doświadczenia. Jeżeli ktoś ma się nie sprawdzić w wojsku, to się to okaże w pierwszych dwóch, trzech latach. A jeżeli dotrwał do 12. roku służby, to znaczy, że był rzeczywiście przydatny w polskiej armii i szkoda z takich osób po tylu latach rezygnować, szczególnie w obecnej sytuacji międzynarodowej”, podkreślał minister Kownacki.

„Mam 28 lat, a sprawdziany z wychowania fizycznego zaliczam na piątki. A brzuchy nie rosną same po czterdziestce. To kwestia dbania o siebie i świadomości, że dobra kondycja fizyczna jest potrzebna każdemu żołnierzowi, niezależnie od stopnia i wysługi lat. Podczas służby współpracowałem z żołnierzami dużo starszymi od siebie, którzy imponowali sprawnością”, mówi strzelec, st. szer. Tomasz Skrzydło z 6 Brygady Powietrznodesantowej. Żołnierz służy już osiem lat, kończy także studia wyższe.

Podobnego zdania jest pomocnik dowódcy ds. podoficerów w 6 Batalionie Dowodzenia 6 BPD st. chor. Andrzej Lis. „Moim zdaniem nie ma logicznej granicy wieku, po której przekroczeniu człowiek staje się mniej sprawny. W wojskach powietrznodesantowych mamy podwyższone normy sprawnościowe dla żołnierzy, a wszyscy radzą sobie znakomicie. Nie widziałem u nas w jednostce ludzi z nadwagą. W ubiegłym roku średnia ocena z WF-u dla całego batalionu wyniosła 4,7”, wyjaśnia podoficer. Chor. Lis dodaje także, że wraz z profesjonalizacją armii zmieniły się także wymagania względem żołnierzy. „Kiedyś od szeregowych wymagało się jedynie prostych umiejętności, a obsługi

MARIUSZ BIENIEK/6 BPD

KOMENTARZ

ANDRZEJ WOLTMANN

Zniesienie 12-letniego limitu służby kontraktowej pozwoli zatrzymać w armii wykwalifikowanych szeregowych, którzy swoje doświadczenia zdobywali w Iraku, Afganistanie oraz na poligonach. To na pewno wielki plus dla tych ludzi i zysk dla sił zbrojnych. Pamiętajmy, że bez wartościowych szeregowych nie będzie można właściwie rozwijać także korpusu podoficerów.

Nowe regulacje mają także wymiar motywacyjny. Dają poczucie bezpieczeństwa żołnierzom i ich rodzinom. Myślę jednak, że warto byłoby się zastanowić nad wprowadzeniem jeszcze innych, dodatkowych regulacji. Przejście z korpusu szeregowych i podoficerów mogłoby być ograniczone wiekiem, tak by np. szeregowy po czterdziestce nie porywał się na szkołę podoficerską, by w perspektywie dowodzić plutonem. Na kursy podoficerskie powinni być kierowani żołnierze po uwzględnieniu wieku, a nie wysługi lat – tak jak w tej chwili. ■

St. chor. sztab. Andrzej Woltmann,
zastępca komendanta Szkoły
Podoficerskiej Wojsk Lądowych w Poznaniu

specjalistycznego sprzętu, np. różnego typu pojazdów, urządzeń łączności, uczono naprawdę nielicznych. Wyszkolenie takich żołnierzy zajmuje kilka lat. Przyzwolenie na to, by doświadczeni żołnierze, z ogromnymi umiejętnościami, odchodzili z armii, to strata czasu i pieniędzy", podkreśla podoficer.

Szeregowi na nowe propozycje resortu zareagowali z entuzjazmem. „Możliwość służby, która nie będzie ograniczona latami, na pewno wpłynie na poczucie stabilizacji. Inaczej wykonuje się obowiązki ze świadomością stałego zatrudnienia, wiedząc, że są możliwości rozwoju, bez oglądania się na koniec kontraktu. Sadzę, że to dobre rozwiązanie, ponieważ pozwoli najlepszym zostać w wojsku dłużej. Słabsi i tak byli eliminowani podczas opiniowania służbowego", mówi →

szer. Wojciech Kwiatkowski z 2 Batalionu Saperów w Stargardzie.

Pomysł chwalą też dowódcy. „Jesteśmy jednostką specjalistyczną i większość naszych żołnierzy ma ukończone kosztowne szkolenia. W najlepszych inwestowaliśmy, wysyłając na kursy podoficerskie, ale limity sprawiły, że z częścią naszych specjalistów musieliśmy się niestety pożegnać. To duża strata dla jednostki i całego wojska. Nowe rozwiązania sprawią, że zatrzymamy, po pierwsze, doświadczonych żołnierzy, a po drugie – specjalistów w swojej profesji. A żołnierze, nie myśląc już o rychłym końcu służby, będą mogli spokojnie i poważnie rozważyć swoją zawodową przyszłość", podkreśla ppłk Sławomir Szwemin, dowódca 2 Batalionu Saperów.

MŁODY EMERYT? NIEKONIECZNIE

Zniesienie ograniczenia 12-letniej służby wojskowej umożliwi żołnierzom szeregowym uzyskanie prawa do emerytury, które przysługuje po 15 latach służby. Dotyczy to jednak tylko wojskowych powołanych do armii przed 1 stycznia 2013 roku. Ustawa zakłada bowiem, że tym, którzy rozpoczęli służbę po tej dacie, uprawnienia emerytalne będą przysługiwać dopiero po 25 latach służby i ukończeniu 55 lat. Szeregowi otrzymają także prawo do odprawy mieszkaniowej, którą dostają wojskowi po uzyskaniu praw emerytalnych.

Żołnierze przyznają, że wcześniejsze prawa emerytalne mogły być dla niektórych dodatkową zachętą do służby. Zdarzało się bowiem, że żołnierz tuż po uzyskaniu praw do służby stałej „rzucał kwitami" i odchodził z armii. Takie podejście nie jest jednak regułą. Minister Antoni Macierewicz podczas jednego z posiedzeń sejmowej Komisji Obrony Narodowej powołał się na przeprowadzone wśród żołnierzy badania, z których wynikało, że zaledwie 3% deklaruje chęć skorzystania z tego przywileju. „Pamiętajmy też, że jeśli się na to zdecydują, otrzymają 1520 zł brutto emerytury, jeżeli zostaną w wojsku, ich uposażenie wyniesie 3500 zł", mówił szef MON-u.

Według żołnierzy, obawy że uciekną z armii po uzyskaniu finansowych świadczeń, są zupełnie nieuzasadnione. „Nie chodzi wyłącznie o przywileje emerytalne. W ankiecie przeprowadzonej wśród szeregowych naszej jednostki 99% żołnierzy wskazało, że chce służyć jak najdłużej. Myślę więc, że dla zdecydowanej większości liczy się przede wszystkim stała praca i możliwość wykonywania zawodu żołnierza przez kolejne lata", przyznaje szer. Kwiatkowski.

„To, że tak się zdarzało, nie oznacza, że jest to regułą. Mam wrażenie, że większość z nas w wojsku służy, a nie pracuje. A to jest fundamentalna różnica", mówi jeden z żołnierzy z 10 Brygady Kawalerii Pancernej. „Emerytura po 15 latach służby nie wystarczy na godziwe życie. Myślę, że szeregowi mają większe ambicje", dodaje szer. Skrzydło.

Podobnego zdania jest st. chor. sztab. Jarosław Majka, pomocnik dowódcy ds. podoficerów w 2 Batalionie Saperów. Uważa on, że dla wielu zawód żołnierza to wybór drogi życiowej – nawet gdy nie ma perspektyw na awans do korpusu podoficerskiego. „Nie wszyscy mają predyspozycje do bycia dowódcami i nie wszyscy też przejawiają ambicje, by zostać kapralami. Wielu żołnierzy spełnia się na stanowiskach szeregowych. Dla nas najważniejszy jest odpowiedni standard,

ZMIANY UMOŻLIWIĄ ŻOŁNIERZOM KONTRAKTOWYM UZYSKANIE UPRAWNIEŃ DO EMERYTURY WOJSKOWEJ ORAZ ODPRAWY MIESZKANIOWEJ (PRZYSŁUGUJĄCYCH PO CO NAJMNIEJ 15 LATACH SŁUŻBY WOJSKOWEJ)

MARIUSZ BIENIEK/6 BPD

LICZBA SZEREGOWYCH ZAWODOWYCH, KTÓRZY OSIĄGNĄ 12-LETNIĄ WYSŁUGĘ W NAJBLIŻSZYCH LATACH TO:
924 W 2016 ROKU,
1183 W 2017 ROKU,
1887 W 2018 ROKU,
4791 W 2019 ROKU,
7759 W 2020 ROKU,
3553 W 2021 ROKU,
3280 W 2022 ROKU

czyli jeżeli żołnierz jest sprawny, wyszkolony i zdrowy, a przy tym jest specjalistą, to czemu ma nie służyć np. 25 lat?", zauważa chor. Majka.

WIĘKSZA MOTYWACJA

St. szer. Rafał Lekan, z dziewięcioletnim stażem służby i doświadczeniem z misji w Afganistanie, podkreśla, że wprowadzone rozwiązania na pewno będą korzystne dla całych sił zbrojnych. „Ostatnio mieliśmy w jednostce eksperyment szkoleniowy, podczas którego wybrani szeregowi na okres całego szkolenia w ramach ćwiczeń rotacyjnych dla Narodowych Sił Rezerwowych, w tym ja, wcielali się w role dublerów dowódców drużyn. Utwierdziłem się w przekonaniu, że w przyszłości, po ukończeniu kursu podoficerskiego, mogę zostać dobrym dowódcą. Zamierzam ubiegać się o miejsce na kursie, bo mam ambicje być podoficerem. Doświadczeni żołnierze w roli dowódców drużyn na pewno sprawdzą się lepiej niż nowicjusze", mówi st. szer. Lekan. Na zmianę przepisów wyczekiwał także spadochroniarz st. szer. Mateusz Jachymczak, który służy już ponad dziesięć lat. „Miałem już nóż na gardle. Teraz mam więcej czasu, by się starać o szkołę podoficerską i etat. Odzyskałem nadzieję, że jeszcze warto to robić", zapewnia.

To dowód na to, że zmiana przepisów przekłada się na motywacje żołnierzy – twierdzi kadra w jednostkach wojskowych. „Żołnierze, rozpoczynając służbę, nie zastanawiają się, co będzie za dziesięć czy 12 lat. Ale kiedy widzą horyzont czasowy, to pojawia się zwątpienie", mówią podoficerowie. „Weźmy za przykład szeregowego z rozpoznania. Po 12 latach służby osiąga on najlepsze efekty szkoleniowe. A my dotąd pozbywaliśmy się go w najlepszym momencie. Traciliśmy szturmana i wojownika. Perspektywa dłuższej służby będzie dla nich motywująca. Nie zgnuśnieją, nie staną się malkontentami, tylko będą się starać i udowadniać, że są zdolni do służby jak najdłużej", mówi chor. Marcin Bielecki, dowódca plutonu konserwacyjnego.

A co z żołnierzami, których nowe przepisy rozleniwią? Nie będą się musieli starać, angażować, bo w służbie i tak zostaną. „Nie brak takich, którzy ślizgają się od opiniowania do opiniowania. Teraz, pozbawieni strachu przed koniecznością odejścia z wojska, mogą jeszcze bardziej ograniczyć swoją pracę do niezbędnego minimum. Bez presji zdjęcia munduru nie będą się ubiegać o awans – zbyt mało opłacalny finansowo, a wiążący się ze zbyt dużą odpowiedzialnością", przyznaje podoficer z Warszawy.

Resort uspokaja, że dla takich żołnierzy w wojsku nie będzie miejsca. Kontrakt – mogący trwać od dwóch do sześciu lat – będą podpisywać tylko najlepsi, spełniający surowe kryteria zdrowotne, fizyczne i merytoryczne. Co kryje się pod tymi pojęciami? Z pewnością umiejętności żołnierza, jego aspiracje, wykształcenie i sprawność fizyczna. Ustawa pragmatyczna otwiera nowe szanse także dla rezerwistów. Umożliwi ona żołnierzom, którzy zostali zwolnieni przed upływem 12 lat służby, ponowne ubieganie się o powołanie do armii. Ci, wobec których już wszczęto procedurę zwolnienia ze służby w związku z wygasającym kontraktem, będą mogli wystąpić z wnioskiem o zawarcie kolejnej umowy. „Z punktu widzenia pomocnika uważam to za bardzo korzystne rozwiązanie. Na pewno będę chciał nawiązać kontakt z żołnierzami, którzy z powodu zakończenia kontraktu odeszli od nas w ciągu ostatnich dwóch lat. Wśród nich mieliśmy np. operatora sprzętu specjalistycznego i doświadczonego sapera, który służył w patrolu rozminowania. Obaj byli wartościowymi żołnierzami i dobrze by się stało, gdyby znów wstąpili w nasze szeregi", przyznaje st. chor. sztab. Majka. ■

SKOK W DAL

Ze st. szer. Marcinem Wichrem

o tym, że każdy może sięgnąć po oficerskie gwiazdki, rozmawia Magdalena Kowalska-Sendek.

Ma Pan 29 lat i ośmioletnie doświadczenie w służbie wojskowej. Czy pamięta Pan, dlaczego w ogóle włożył mundur?

Nie mam w rodzinie takich tradycji, a do armii trafiłem z ciekawości – chciałem się sprawdzić. Początkowo miała to być krótka przygoda, ale szybko się okazało, że właśnie służba w wojsku jest tym, co chcę robić w życiu.

Do niedawna był Pan żołnierzem 6 Brygady Powietrznodesantowej. Służył w batalionach dowodzenia i logistycznym. Ze spadochroniarzami wyjechał Pan także na misję do Afganistanu. Za Panem osiem pracowitych lat…

Przede wszystkim bardzo ciekawych. Za mną dziesiątki ćwiczeń, poligonów i różnego rodzaju szkoleń. Tuż po przyjściu do jednostki przeszedłem szkolenie spadochronowe. Mogę wykonywać skoki ze spadochronem okrągłym AD-95 oraz szybującym AD-2000. Uczyłem się także układania spadochronów i obsługi automatów spadochronowych. Skończyłem kursy SERE, szkolenie z pierwszej pomocy medycznej i uzyskałem drugi stopień znajomości języka angielskiego. Prywatnie wyszkoliłem się jako płetwonurek i zdałem egzamin na prawo jazdy w czterech kategoriach: A, B, C, T. W 2012 roku razem z kolegami z brygady byłem na XI zmianie Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie, pierwszej, podczas której nie zginął żaden polski żołnierz.

Po powrocie z Afganistanu skupił się Pan na swojej edukacji?

Rzeczywiście, uzupełniłem wykształcenie cywilne. Dziś jestem absolwentem studiów inżynierskich, magisterskich i podyplomowych na kierunku zarządzanie. Lubię się uczyć, podnosić sobie poprzeczkę i szukać nowych wyzwań. Kiedy dowiedziałem się, że istnieje możliwość, by szeregowi aplikowali na roczne Studium Oficerskie w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych, pomyślałem, że to szansa właśnie dla mnie.

Jakie wymagania musieli spełnić kandydaci, by dostać się na uczelnię?

Na początku trzeba było zarejestrować się w systemie komputerowym. Później kandydaci musieli złożyć wymagane dokumenty. Odbywało się to drogą służbową, przez bezpośredniego przełożonego, dowódcę jednostki, aż do Departamentu Kadr MON. Każdy z szeregowych, który chciał się uczyć w WSOWL, musiał legitymować się wykształceniem wyższym, wzorową oceną z opiniowania, i mieć za sobą pięć lat służby. Wymagano także znajomości języka angielskiego na poziomie drugim.

Jak na Pana wniosek zareagowali przełożeni?

Zdaję sobie sprawę z tego, że nie wszyscy pochwalają pomysł, by szeregowi kształcili się na oficerów, ale osobiście nigdy nie spotkałem się z negatywną opinią na ten temat. Moi przełożeni poparli pomysł i bez wahania zgodzili się, bym aplikował do Wrocławia. Co więcej, jednostka skierowała mnie także na kurs podoficerski. Zdałem egzaminy wstępne i miałem rozpocząć naukę w Dęblinie…

Ale dostał się Pan do Wrocławia i postanowił jednak przeskoczyć jeden korpus, by od razu powalczyć o gwiazdki oficerskie.

Tak, nie wahałem się i myślę, że to była dobra decyzja. Podobno wnioski o 15 miejsc na studium oficerskie złożyło blisko 90 kandydatów. W praktyce jednak okazało się, że wymagania formalne spełniło 19 osób. I to właśnie oni stanęli do egzaminów. Pośród nich byłem ja i moich trzech kolegów z 6 Brygady Powietrznodesantowej. Egzaminy we Wrocławiu były dwuetapowe: zdawaliśmy egzamin ze sprawności fizycznej i przeszliśmy rozmowę kwalifikacyjną. Gdy po kilku dniach dowiedziałem się, że dostanę się na studia, bardzo się ucieszyłem.

Po 12 miesiącach będziecie mianowani na pierwszy stopień oficerski. Proszę opowiedzieć o programie nauczania.

Jesteśmy na półmetku. Zakończyliśmy etap szkolenia na poziomie dowódców drużyn, a w lipcu zdamy egzaminy uprawniające nas do dowodzenia plutonami. Nauki jest naprawdę dużo. Mamy ponad 20 różnych przedmiotów, są to m.in. taktyka, łączność, podstawy dowodzenia, prawo konfliktów zbrojnych. Mamy też strzelania, szkolimy się z rozpoznania, z SERE i ratownictwa taktycznego. Uczymy się na wykładach i w praktyce. Ale zajęcia programowe to nie wszystko. Wolne popołudnia i wieczory wszyscy i tak spędzamy nad książkami.

Czy doświadczenie, które zdobył Pan w służbie, przydaje się na studiach?

Zdecydowanie. Zdobyte wcześniej umiejętności wykorzystujemy przede wszystkim podczas zajęć praktycznych, np. z taktyki. Jako szeregowi miesiącami szkoliliśmy się na poligonach i walczyliśmy w Afganistanie. Doświadczenie działa na naszą korzyść i wzbogaca nas jako przyszłych dowódców. Za sześć miesięcy jako podporucznik będę pamiętał o tym, jak ważną rolę odgrywają szeregowi. I postaram się w odpowiedni sposób kierować swoimi podwładnymi, tak by wykorzystywać ich wiedzę i umiejętności. ■

ARCH. MARCINA WICHRA

ST. SZER. MARCIN WICHER JEST JEDNYM Z PIERWSZYCH 15 SZEREGOWYCH, KTÓRZY KSZTAŁCĄ SIĘ W WYŻSZEJ SZKOLE OFICERSKIEJ WOJSK LĄDOWYCH WE WROCŁAWIU.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Druga szansa

Możliwość pełnienia służby dłużej niż 12 lat z radością przyjęli nie tylko sami szeregowi, lecz także ich dowódcy i najbliżsi.

Pobudka dziesięć minut po czwartej. W biegu pije łyk kawy. Łapie kanapki przygotowane dzień wcześniej i pędzi na dworzec. Gdy wsiada do pociągu, jego żona Ania i 12-letnia córka Hania jeszcze śpią. O żonę troszczy się szczególnie, bo jest w ciąży. Radość z faktu, że w sierpniu po raz drugi zostanie ojcem, miesza się jednak z obawą, że – gdyby prezydent nie podpisał ustawy – miesiąc po narodzinach syna mógłby stracić pracę, bo kończy mu się 12-letni kontrakt z armią.

Niespełna 40-minutowa droga do Wrocławia nie pozwala nawet na krótką drzemkę. Później kilka przystanków tramwajem, a na koniec 0,5 km szybkiego marszu do koszar. St. szer. Michał Siekirka od ponad 11 lat tak rozpoczyna każdy dzień pracy. O godzinie siódmej wkłada mundur i jest gotowy do zajęć. Po południu wszystko dzieje się w odwrotnej kolejności. Czasami, gdy są ćwiczenia, gdy ma służbę lub w pracy trzeba zostać dłużej, pociąg odjeżdża bez niego. „Dzwonię wtedy do żony i ją o takiej sytuacji uprzedzam. Nie słyszę utyskiwań. Ania wie, że poślubiła żołnierza i różne rzeczy w wojsku się zdarzają", mówi starszy szeregowy. W takich sytuacjach wyciąga śpiwór i śpi w koszarach.

Komentarze, że jego życie nie jest łatwe, że bez dojeżdżania i wstawania w środku nocy jako technik mechanik samochodowy zarobiłby takie same pieniądze, zbywa uśmiechem. „Ale jestem szczęśliwy. Wojsko od zawsze było moją pasją, moim celem, moim marzeniem", tłumaczy. Wraca wspomnieniami do chwil, gdy jako mały chłopiec siadywał dziadkowi na kolanach, a były żołnierz Andersa godzinami opowiadał mu o wojsku, wojnie, patriotyzmie i honorze. „To chyba wtedy rodziła się moja chęć bycia żołnierzem", wspomina.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

PUKANIE DO BRAM KOSZAR

Zamiary syna popierał ojciec. Sam był inwalidą i nigdy w wojsku nie służył, ale jemu kibicował. Jest z niego dumny. Na 18. urodziny kupił pierworodnemu radiostację Alan-18 z anteną 5/8. Michał natychmiast zatracił się w krótkofalarstwie.

Gdy ukończył 19 lat, zgłosił się na ochotnika do zasadniczej służby wojskowej. Rozpoczął ją w 18 Batalionie Desantowo-Szturmowym w Bielsku-Białej. Był marzec 1998 roku. Sądził, że otrzymał przepustkę do życia w mundurze, bo bordowy beret był spełnieniem jego marzeń. Niestety po roku się okazało, że w jednostce nie ma etatów. Nie mogąc podpisać

kontraktu, rozgoryczony wrócił do cywila.

Po siedmiu latach, gdy usłyszał, że wojsko tworzy korpus szeregowych zawodowych, ponownie zapukał do drzwi wojskowej komendy uzupełnień. Prawie rok minął na pisaniu dokumentów, specjalistycznych badaniach lekarskich, egzaminach... Dopiął jednak swego. 12 września 2005 roku podpisał kontrakt. Znów włożył mundur. Został radiotelefonistą w 10 Wrocławskim Pułku Dowodzenia.

Gdy st. szer. Michał Siekirka zaczynał pracę, używało się starych poradzieckich radiostacji R-161. Dzisiaj jest doskonałym operatorem nowoczesnych amerykańskich urządzeń firmy Harris. Przybywało mu zadań. W pododdziale, gdzie służył poprzednio, przez kilka lat pełnił obowiązki dowódcy radiostacji. Obecnie też jest dowódcą urządzenia, bo poprzednik, po zakończeniu służby odszedł do rezerwy.

„Michał jest wysokiej klasy specjalistą. Żołnierzem, któremu mogę zlecić najtrudniejsze zadania i wiem, że wykona je bezbłędnie. Gdyby odszedł ze służby, jego następca musiałby się uczyć kilka lat, abym podczas ważnych ćwiczeń czy sytuacji kryzysowej mógł mu bezgranicznie zaufać", mówi ppor. Damian Warchoł, dowódca plutonu radiowego.

W służbie Michała zmieniało się więc wiele, te same pozostały jedynie przepisy. Żołnierz z obawą czekał na moment, kiedy wezwie go kadrowiec jednostki i powie: „Panu już dziękujemy".

Na szczęcie parlament zmienił ustawę. Gdy podpisał ją prezydent, żołnierz oraz jego rodzina odetchnęli z ulgą. Wszystko wskazuje na to, że gdy w rodzinie Siekirków urodzi się syn, jego tata jeszcze na długo pozostanie żołnierzem.

POMNY NAUK OJCA

Dobra opinia o st. szer. Siekirce to wynik jego sumiennej służby, kreatywności i wiedzy specjalistycznej. Doceniają ją przełożeni oraz koledzy Michała. W 2014 roku wybrali go szeregowym roku. „Ojciec wpajał mi zawsze, że jeśli się czegoś podejmuję, to mam to robić z sercem. Nie inaczej podchodzę do zadań służbowych. Cieszę się, że moje zaangażowanie docenili nie tylko dowódcy, ale także koledzy", komentuje otrzymanie zaszczytnego tytułu.

Po krótkim namyśle dodaje, że jednak jedną sprawę zawalił w czasie ponad 11 lat służby. Zdawał egzaminy do szkoły podoficerskiej. Dostał szansę, by się więcej nie martwić o kontrakt, o to, że po 12 latach będzie musiał odejść z armii. Przygotowywał się bardzo sumiennie. Wkuwał przepisy, zasady regulaminów, ceremoniału, biegał, ćwiczył, aby wypaść jak najlepiej. Niestety, już pierwszy test pisemny z wiedzy ogólnej nie wypadł po jego myśli. Zabrakło punktów. „To niepowodzenie nie zwalnia mnie jednak z tego, aby szkolić się jeszcze intensywniej, sumienniej ćwiczyć w hali sportowej. Będę się starał o drugą szansę. Jeżeli ją dostanę, to nie zmarnuję", zapewnia.

PROBLEM 12 LAT

W podobnej sytuacji jak st. szer. Michał Siekirka w 10 Wrocławskim Pułku Dowodzenia było wielu szeregowych. Jeżeli ustawa o wydłużeniu czasu służby nie weszłaby w życie, w tym roku odeszłoby do cywila pięciu szeregowych. W 2017 roku jednostkę musiałoby pożegnać sześciu, a rok później ośmiu dobrze wyszkolonych specjalistów. Później byłoby jeszcze gorzej, bo w 2019 roku z pułku musiałoby odejść 41 szeregowych, a w rok później aż 87.

„Pewnie nie wszyscy czekaliby do ostatniego momentu. Część ludzi uciekłaby do policji lub straży miejskiej. Nie zmienia to jednak faktu, że musielibyśmy ich kimś zastąpić. Potrzeba jednak czasu, aby z nowicjuszy zrobić dobrych łącznościowców, doskonale znających nowoczesny sprzęt", mówi mjr Wojciech Sereda, szef sekcji personalnej pułku.

Nowa ustawa, którą podpisał prezydent, zdjęła problem nie tylko z dowództw jednostek, ale przede wszystkim z samych szeregowych oraz ich rodzin. Zmianie przepisów kibicował st. sierż. Dariusz Dudzicz, dowódca radiostacji z siedmioletnim stażem we wrocławskiej jednostce. Doświadczony podoficer dziwił się, że wojsko chciało tak łatwo pozbywać się dobrze wyszkolonych fachowców: „Gdyby odeszło od nas kilku doświadczonych operatorów, wartość bojowa pododdziału by zmalała. Przyszliby co prawda młodzi łącznościowcy, ale im przez kilka lat trzeba by było pokazywać palcem, co mają robić. W tak ważnym pułku jak nasz czasami nie ma na to czasu". ■

KOMENTARZ

KAZIMIERZ ŁUCKI

Staramy się zawierać kontrakty z najlepszymi kandydatami na szeregowych zawodowych. Ze względu na specyficzność jednostki potrzeba kilku lat szkoleń, kursów i ćwiczeń, żeby z nowo wcielonego żołnierza zrobić wysokiej klasy specjalistę, przygotowanego do samodzielnej pracy. Gdy z pododdziału ubywa jeden czy dwóch operatorów, jakoś można ich zastąpić. Gdyby odeszło jednocześnie kilkunastu, mielibyśmy spory problem. ■

Płk Kazimierz Łucki jest dowódcą 10 Wrocławskiego Pułku Łączności.

TADEUSZ WRÓBEL

Długa droga do emerytury

Armie zawodowe muszą szukać takich rozwiązań emerytalnych, które pogodzą ich potrzeby z interesami żołnierzy.

Wojsko potrzebuje ludzi wykształconych, wyszkolonych, sprawnych fizycznie i dyspozycyjnych. Żołnierze natomiast są zainteresowani m.in. tym, aby za swą ryzykowną służbę dostawać odpowiednie wynagrodzenie, mieć możliwość rozwoju i nabyć prawa emerytalne. Ta ostatnia kwestia jest najbardziej skomplikowana w wypadku szeregowych. Warto jednak zaznaczyć, że nie jest ona szczególnie ważna w armiach świata zachodniego, ponieważ służba wojskowa często jest tam tylko epizodem na początku kariery zawodowej. Szeregowi, którzy nie awansują, po kilku latach odchodzą i szukają zajęcia w cywilu.

KRÓTKIE I DŁUGIE DYSTANSE

Dobrym przykładem jest Wielka Brytania, której siły zbrojne – z wyjątkiem okresu wojen światowych – od wieków opierają się na ochotnikach. A jak to wygląda w wypadku szeregowych? Otóż, ze względu na system edukacyjny, w Zjednoczonym Królestwie jest dopuszczalne przyjęcie do wojska osoby w wieku 16 lat, ale do czasu osiągnięcia pełnoletności nie można jej wysłać do strefy działań wojennych. Dlatego podstawową granicą wieku dla zaciągu, z wyjątkiem oficerów, jest 18 lat. Do brytyjskich wojsk lądowych jako szeregowi mogą wstąpić osoby, które nie ukończyły 33. roku życia. Jest tu jednak pewne odstępstwo – o kilka lat starsi mogą być przyszli muzycy wojskowi.

W armii brytyjskiej wyróżnia się trzy okresy służby wojskowej: krótki – 12-letni, pełny – 24-letni i długi – co najmniej 30-letni. Minimalny czas kontraktu wynosi cztery lata dla osób, które ukończyły 18 lat. Od 1 kwietnia 2015 roku obowiązują tam nowe rozwiązania emerytalne, bardziej niekorzystne dla wojskowych. Otóż podniesiono o pięć lat granicę wieku, od którego jest wypłacana emerytura w pełnej wysokości i teraz jest to 60 lat. Świadczenie częściowe przysługuje żołnierzowi po 20 latach czynnej służby (wcześniej było to 18 lat), a jego wypłacanie rozpoczyna się po ukończeniu przez wojskowego 40. roku życia. Jeśli żołnierz odszedł z sił zbrojnych, np. po czteroletnim kontrakcie, a następnie znowu zaciągnął się po ponadpięcioletniej przerwie, to pierwszy kontrakt nie jest zaliczany do owych wymaganych 20 lat.

Podobne warunki dotyczące emerytury częściowej są w siłach zbrojnych Stanów Zjednoczonych, gdzie służba ochotnicza ma również długą tradycję. Emerytura stanowiąca równowartość ostatniej pensji przysługuje za Atlantykiem żołnierzowi po 40 latach służby, a prawo

U S M C

W USA SŁUŻBA WOJSKOWA DAJE MŁODYM LUDZIOM LICZNE PROFITY

do częściowego świadczenia nabywa się po 20 latach służby czynnej.

Choć w armiach amerykańskiej i brytyjskiej nie ma formalnego ograniczenia czasu służby dla szeregowych, praktycznie nie zdarza się, aby taki nieawansujący żołnierz uzyskał prawa emerytalne. W Wielkiej Brytanii pewnym odstępstwem od tej zasady mogą być werbowani w Nepalu Gurkhowie.

WĄSKIE GRONO

W wymienionych armiach do przedłużania czasu służby zniechęca szeregowych m.in. system płacowy. Wynagrodzenia wojskowych są tak skonstruowane, że pozostanie w służbie jest opłacalne dla podoficerów. Ponadto w USA służba wojskowa daje młodym ludziom liczne profity, np. stypendia na kontynuowanie nauki po odejściu do cywila. Byli wojskowi mają też przywileje na rynku pracy. Zwykle Amerykanie służą zatem w wojsku od czterech do ośmiu lat. Dlatego w siłach zbrojnych USA, pomijając korpus oficerski, prawa emerytalne nabywa mniej niż 10% wstępujących do nich. A jeśli w jakichkolwiek źródłach pojawiają się informacje o wysokości emerytur osób niebędących oficerami, to dotyczą one zwykle sierżantów.

W listopadzie 2015 roku Kongres USA przyjął nową ustawę o emeryturach wojskowych. Ochotnicy wstępujący od 2017 roku do sił zbrojnych będą mieli konta emerytalne. Został utrzymany wymóg 20 lat służby do uzyskania prawa do emerytury wojskowej, ale będzie ona niższa niż w obecnym systemie.

W wielu państwach Europy Zachodniej po uzawodowieniu sił zbrojnych pojawił się problem z ochotnikami. Okazało się, że oferta wojska nie była zbyt ciekawa w porównaniu z rynkiem cywilnym. Wielu młodych ludzi, nie mając w pełni sprecyzowanych planów życiowych, nie chce zaciągać się do armii na wiele lat. Rozwiązaniem skierowanym do grupy niezdecydowanych są kontrakty krótkoterminowe. We Francji ochotnik może wstąpić do wojska na rok, a następnie kilka razy służbę przedłużać. W Niemczech z kolei może on zaciągnąć się do służby krótkoterminowej na czas nie dłuższy niż 23 miesiące. ■

ARMIA

/ **SZKOLENIE**

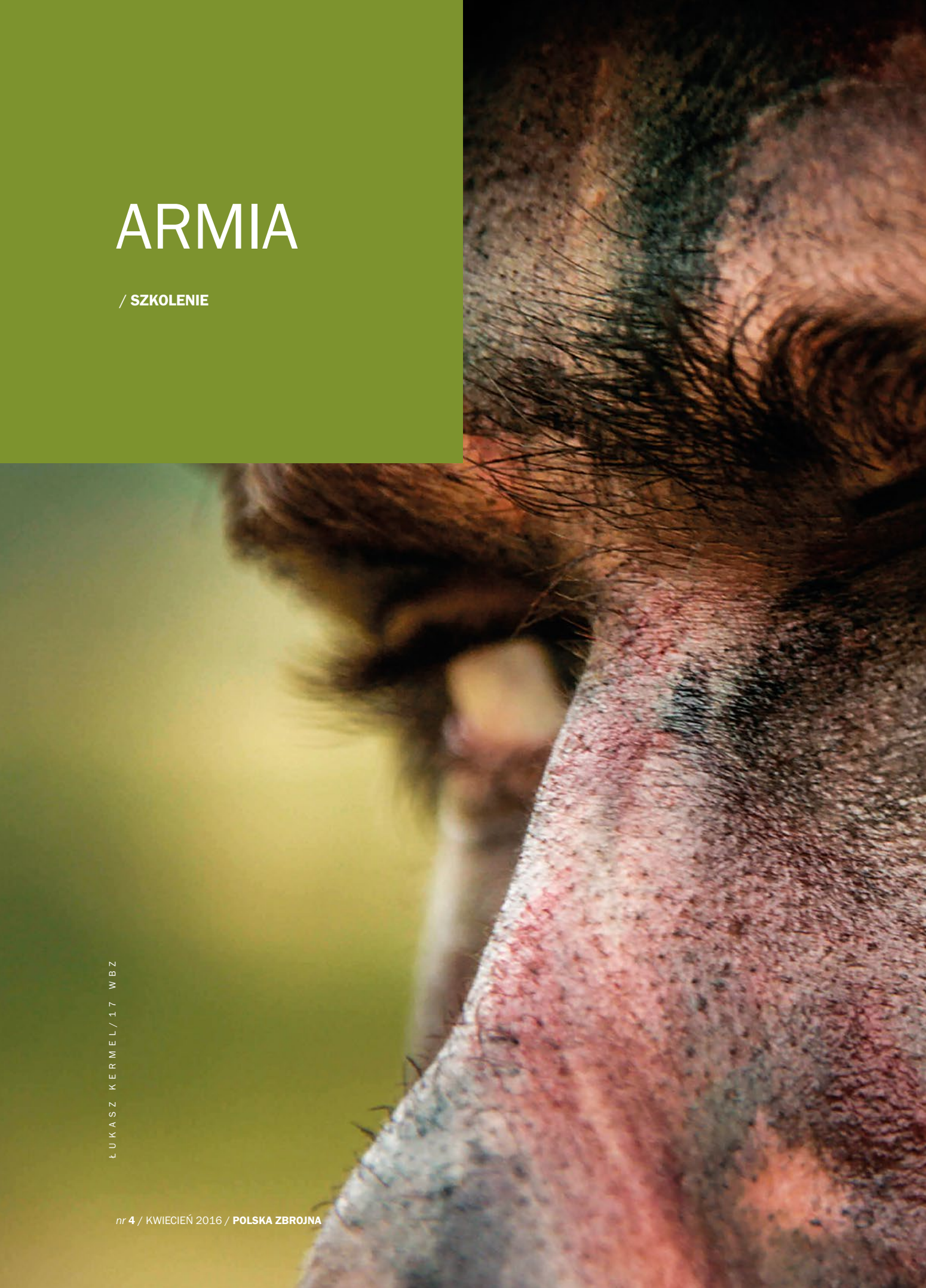

ŁUKASZ KERMEL / 17 WBZ

PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

PRZYGOTOWANI DO SŁUŻBY

W centrach szkolenia i jednostkach wojskowych żołnierskiego abecadła uczy się rekordowa liczba kandydatów do NSR-u.

Zainteresowanie służbą przygotowawczą nie słabnie. W 2015 roku o jedno miejsce na przeszkoleniu ubiegało się niemal 20 kandydatów. Wojsko mogło wybierać najlepszych, ale ze względu na ograniczoną liczbę miejsc na turnusach, osoby zainteresowane musiały na swoją kolej poczekać. W minionym roku w takim systemie przeszkolono ponad 8,6 tys. ochotników, z czego 40 na potrzeby korpusu oficerskiego, 300 dla podoficerskiego i ponad 8,2 tys. na rzecz korpusu szeregowych zawodowych.

W 2016 roku powołań będzie więcej. Według danych Sztabu Generalnego WP, szkolić się będzie aż 12 tys. ochotników: po 100 dla korpusu oficerów i podoficerów oraz 11,8 tys. dla szeregowych. „W związku z większymi potrzebami wojska, dotyczącymi utrzymania na właściwym poziomie rezerw i ich stałego uzupełniania, a dodatkowo wzmożonym zainteresowaniem młodych ludzi tą formą szkolenia, limity zostały zwiększone", tłumaczy płk Tomasz Szulejko, rzecznik prasowy Sztabu Generalnego.

MNIEJSZE KOLEJKI

Większe limity to dla ochotników dobra wiadomość. W praktyce oznacza to bowiem, że kandydaci do służby przygotowawczej nie będą musieli zbyt długo czekać w kolejce na powołanie. „W 2015 roku, gdy uzupełnialiśmy trzeci turnus, podczas weryfikacji wniosków zorientowaliśmy się, że wiele z nich jest już nieaktualnych. Okazało się, że część kandydatów nie jest już zainteresowana służbą, inni wyjechali za granicę, niektórzy zdążyli już podjąć pracę. Teraz wszystkie wnioski zweryfikowaliśmy i mamy ich 120. Zgłoszenia kandydatów podzieliliśmy między kolejne wcielenia w maju i we wrześniu", tłumaczy mjr Zbigniew Stakun, szef Wydziału Rekrutacji WKU w Olsztynie. Oficer podkreśla jednak, że właściwie każdy, kto się teraz zgłosi i spełni wymagania, ma jeszcze szansę na powołanie na jeden z dwóch tegorocznych turnusów.

Specjaliści z WKU podkreślają, że zainteresowanie służbą ma związek z poziomem bezrobocia w danym regionie. Im jest ono większe, tym więcej jest kandydatów do wojska. Ale to niejedyny czynnik. „Zainteresowanie służbą przygotowawczą jest duże i już od kilku lat utrzymuje się na stałym poziomie. Nie mamy problemów z wykonaniem otrzymanych zadań, ale Podkarpacie to szczególne miejsce – tu wojsko cieszy się dużym zaufaniem i popularnością wśród młodych ludzi", podkreśla mjr Dariusz Brzeżawski, zastępca wojskowego komendanta uzupełnień w Rzeszowie.

Problemu z naborem chętnych do służby przygotowawczej nie mają także wojskowe komendy uzupełnień podlegające Wojewódzkiemu Sztabowi Wojskowemu w Krakowie. Na pierwszy turnus służby przygotowawczej skierował on 183 osoby (sześć stanowisk w korpusie oficerów, dwa – podoficerów i 175 – szeregowych). „W ubiegłym roku na pierwszy turnus dostaliśmy 99 stanowisk. W obu wypadkach zadania wypełniliśmy w 100%", przyznaje ppłk Zbigniew Pustułka z WSzW w Krakowie.

Pierwszy tegoroczny turnus na potrzeby szeregowych NSR-u rozpoczął się na początku stycznia. Szkoli się na nim ponad 3,5 tys. elewów. Oprócz nauki w centrach – w Dęblinie, Grudziądzu, Koszalinie, Poznaniu, Ustce, Toruniu, Zegrzu czy Wrocławiu – wojskowego rzemiosła uczą się też w jednostkach, m.in. w Świdwinie, Powidzu, Bolesławcu, Jarosławiu, Gliwicach, Bartoszycach i Węgorzewie. Służbę przygotowawczą odbywa się w jednostkach specjalistycznych, np. saperskich w Kazuniu i Brzegu, rozpoznawczej w Hrubieszowie i chemicznej w Brodnicy. Cały pierwszy turnus jest prowadzony w 29 miejscach w Polsce. Tak było też w ubiegłym roku.

ŁUKASZ KERMEL / 17 WBZ

PIERWSZE W HISTORII WCIELENIE DO SŁUŻBY PRZYGOTOWAWCZEJ ODBYŁO SIĘ W PAŹDZIERNIKU 2010 ROKU

W jednostkach, gdzie na co dzień brakuje kadry instruktorskiej prowadzącej szkolenia służby przygotowawczej, dla elewów stworzono specjalne kompanie szkolne, a kadra, która zajmuje się szkoleniem wcielonych żołnierzy, została czasowo odsunięta od swoich etatowych obowiązków. Do prowadzenia zajęć z ochotnikami przygotowywano się zresztą już w ubiegłym roku. Na bazie niektórych centrów, np. w Poznaniu i Toruniu, zorganizowano kursy instruktorsko-metodyczne. Przyszli instruktorzy uczyli się na wykładach, obserwowali metodyczne zajęcia pokazowe, brali udział w zajęciach grupowych.

„Dla nas jako centrum szkolenie innych to codzienność. Mamy do tego odpowiednią strukturę, własną kadrę instruktorską. Szkolimy cyklicznie, wiemy, że jeden turnus się kończy, a zaraz przyjdą kolejni ochotnicy. Dla wielu jednostek, które mają teraz elewów, to nowość. Dlatego wspieramy je dokumentacją szkoleniową, pomagamy także w organizacji trudniejszych zajęć, np. z ochrony przed środkami zapalającymi. Jednostki już w ubiegłym roku prosiły o pomoc w organizacji toru napalmowego", przyznaje mjr Marek Pawłowski, komendant Ośrodka Szkolenia Podstawowego w Centrum Szkolenia Sił Powietrznych w Koszalinie. Oficer prowadzi właśnie 16. turnus służby przygotowawczej do NSR-u.

Podobnie jest też w innych centrach. „To, że szkolenie zostało częściowo przeniesione do jednostek, nie odciążyło nas w pracy. Limity zostały zwiększone – w tamtym roku mieliśmy na kursie 240 elewów, teraz jest 260. Poza tym zajmujemy się doradztwem", mówi mjr Dariusz Wyrzykowski, komendant Ośrodka Szkolenia Podstawowego w Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu. Oficer wyjaśnia, że bardzo często dzwonią żołnierze z jednostek, w których szkolą się ochotnicy. „Pytają o to, jak dane szkolenie przeprowadzić. Szukają wsparcia merytorycznego. Trudno się temu dziwić, przecież szkolenie podstawowe »wyszło« z jednostek siedem lat temu", mówi komendant z Poznania.

Czy będzie różnica między elewem szkolonym w specjalnie do tego celu przygotowanych ośrodkach a tym z jednostek wojskowych, tego nie wiadomo. Zdania w tej kwestii są podzielone. Dużo zależy od doboru kadry w jednostkach i zaangażowania ludzi, którzy zajmują się ochotnikami. „Ważne, by tego zadania nie traktować jako dodatkowego, zbędnego obowiązku. Wierzę w jakość szkolenia, bo wiem, że w armii jest mnóstwo ludzi z zacięciem, doświadczeniem i wiedzą, które chcą przekazać innym", podsumowuje mjr Pawłowski.

W 14 Dywizjonie Artylerii Samobieżnej w Jarosławiu służba przygotowawcza jest prowadzona po raz pierwszy. Szkolenie rozpoczęło tu 65 osób. W jednostce stworzono jedną kompanię szkolną, która składa się z dwóch plutonów, a te z trzech drużyn. „Podczas zajęć opieramy się na jednakowym dla wszystkich programie szkolenia. Ale w czasie kształcenia specjalistycznego będziemy bazować na programach ustalanych przez centra. To są dokumenty wewnętrzne placówek, które zostały udostępnione jednostkom prowadzącym szkolenie służby przygotowawczej", wyjaśnia por. Krzysztof Bogacz, dowódca kompanii szkolnej, a etatowo dowódca kompanii logistycznej w 14 Dywizjonie. Dodaje, że dowódcy plutonów, drużyn do szkolenia podstawowego są przygotowywani pod względem metodycznym, ale każdy musi sam pomyśleć, jak poprowadzić zajęcia. „Staramy się, aby szkolenie było na najwyższym poziomie. Ludzie, którzy tu przyszli, mają duże oczekiwania. Chcą atrakcyjnych i ciekawych zajęć, są spragnieni wiedzy, mają dobrą motywację do służby. Niektórzy proszą o udostępnienie literatury fachowej – to dla mnie miłe zaskoczenie".

GOTOWI WALCZYĆ ZA OJCZYZNĘ

Bez względu jednak na to, gdzie odbywa się szkolenie, dla każdego z elewów to pierwszy kontakt z wojskiem. Wielu traktuje służbę przygotowawczą jako jeden z przystanków do służby zawodowej. Większość szkolących się w Jarosławiu elewów to ludzie młodzi, poniżej 28 roku życia, jeden żołnierz skończył 34 lata. Kilkunastu elewów ma studia wyższe, większość jest z wykształceniem średnim, nieliczni z gimnazjalnym. „Deklarują przede wszystkim, że chcą poprzez NSR dostać się do służby zawodowej. Ale mamy też kilku elewów, którzy czują się w obowiązku, by w razie zagrożenia bronić granic i niepodległości Rzeczypospolitej", mówi por. Bogacz. Przyznaje także, że przysięgę złożyło kilku elewów, którzy do armii przyszli, by nauczyć się dyscypliny.

Adam Podsiadły pochodzi z Twardogóry koło Wrocławia. Ukończył inżynierskie studia na Politechnice Wrocławskiej, a teraz na tej samej uczelni na kierunku elektrotechnika kończy studia drugiego stopnia. Uczy się zaocznie i pracuje w niewielkiej firmie, która zajmuje się projektowaniem urządzeń do pomiaru jakości węgla i analizowaniem części palnych w popiołach lotnych. „To bardzo ciekawa praca. Ciągle robimy coś nowego, teraz np. konstruujemy urządzenie, które potrafi wykryć chemiczny skład betonu", mówi Adam Podsiadły. 26-latka zajmuje jednak nie tylko nauka. Od 7 stycznia nosi mundur. Jest żołnierzem służby przygotowawczej i szkoli się w 14 Dywizjonie Artylerii Samobieżnej w Jarosławiu. „Do wojska przyszedłem, by nauczyć się czegoś nowego. Chcę wiedzieć, jak w sytuacji zagrożenia bronić swoich bliskich i państwa polskiego. Jestem patriotą i uważam, że są sytuacje, w których każdy mężczyzna powinien bronić granic swojego państwa", podkreśla. Dodaje, że o służbie wojskowej myśli poważnie, ale ostateczne decyzje podejmie po zakończeniu służy przygotowawczej. „Myślę o szkole oficerskiej, służba przygotowawcza była mi potrzebna, żeby sprawdzić, czy się do wojska nadaję", przyznaje elew.

O pomyśle wstąpienia do armii nie mówił początkowo nikomu z rodziny. Ale gdy dostał skierowanie na szkolenie, o swoich planach powiadomił rodziców. Mama przyjęła wieści z rezerwą. Ojciec nie krył zadowolenia, gdyż sam dobrze wspomina czas służby zasadniczej. „Za mną już kilka tygodni szkolenia. Jestem bardzo zadowolony i ani razu nie żałowałem podjętej decyzji. Dużo się uczymy. Wiedzę przekazują nam doświadczeni, wyszkoleni na poligonach i misjach ludzie. Takich wiadomości nie zdobędzie się z książek ani internetu", dodaje młody naukowiec.

Szer. elew Amadeusz Berdziński szkoli się w 33 Bazie Lotnictwa Transportowego w Powidzu. „Od dziecka interesowały mnie militaria i samoloty. To chyba naturalne dla kogoś z Witkowa – małej miejscowości, która leży tuż obok lotniska wojskowego. Do włożenia munduru przekonywali mnie dziadek, który przed laty zaliczył służbę zasadniczą, i ojciec, żołnierz zawodowy", mówi. Rok temu Amadeusz zdał maturę i rozpoczął studia cywilne. W tym roku będzie składał dokumenty do Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie. „Nie wiem jednak, czy mam predyspozycje do zawodu pilota. Na razie chciałbym zaliczyć szkolenie służby przygotowawczej do NSR-u", dodaje. Przyznaje, że szybko przyzwyczaił się do panujących w jednostce zwyczajów i wymagań.

Służbę chwali sobie szer. elew. Andrzej Sobiecki z 1 Batalionu Czołgów z Żurawicy. Ma 29 lat i pochodzi z okolic

MAGDALENA CZEKATOWSKA

Nie było źle, a kluczem do powodzenia było zrozumienie tego, że wiedzę kaprala po służbie przygotowawczej należy uzupełnić doświadczeniem, które mają żołnierze z kilkunastoletnim stażem po misjach w Iraku i Afganistanie. Nie bałam się pytać, prosić o pomoc. Tym bardziej że w Siedemnastce trafiłam na znakomitych dowódców i żołnierzy. Te kilka miesięcy spędzonych w wojsku nie zmieniły moich pierwotnych planów związania się z armią na dłużej. Teraz czekam na mianowanie mnie podporucznikiem rezerwy.

Magdalena Czekatowska z Zielonej Góry, brała udział w pierwszym turnusie służby przygotowawczej na potrzeby korpusu oficerów.

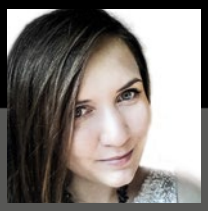

KATARZYNA JĘDROWSKA

Bardzo dobrze wspominam służbę przygotowawczą, a egzaminy końcowe zdałam najlepiej z całego plutonu. Nie zawsze jest łatwo. Nad kondycją fizyczną można pracować, ale duże znaczenie ma też psychika. Trzeba szybko zaakceptować realia wojskowe, mieszkać z obcymi ludźmi, szkolić się i przestrzegać dyscypliny. Służbę przygotowawczą polecam każdemu, nawet osobom, które nie chcą wiązać się z armią na stałe. Ja już podpisałam kontrakt do NSR-u w 23 Bazie Lotnictwa Taktycznego w Mińsku Mazowieckim.

Katarzyna Jędrowska z Poznania, brała udział w drugim turnusie służby przygotowawczej na potrzeby szeregowych w Zegrzu.

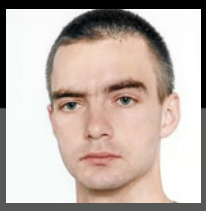

MICHAŁ GRYGO

Podpisałem kontrakt do NSR-u i dostałem przydział do 23 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Mińsku Mazowieckim. Jestem już po ćwiczeniach rotacyjnych, dlatego złożyłem dokumenty do służby stałej w batalionie reprezentacyjnym. Przeszedłem kwalifikacje na szczeblu jednostki, mam za sobą też badania lekarskie i psychologiczne. Czekam na wyniki.

Michał Grygo z Otwocka, brał udział w drugim turnusie służby przygotowawczej na potrzeby szeregowych w Zegrzu.

Kandydat musi mieć co najmniej 18 lat

Zamościa. Od 16 lat działa w Związku Strzeleckim „Strzelec". „Tam złapałem bakcyla. Musztra, broń, szkolenia unitarne i różnego rodzaju wyjazdy – tak spędzałem każdą wolną chwilę", opowiada. W 2009 roku nie dostał się na wojskową uczelnię, a później próbował aplikować do policji. Ostatecznie marzenia o mundurze spełnił dopiero teraz. „Każdy dzień szkolenia jest świetnie przygotowany. Najbardziej podobają mi się zajęcia z bronią".

DOBRE PLANOWANIE

Służba przygotowawcza, do niedawna organizowana wyłącznie dla kandydatów na szeregowych NSR-u, coraz częściej jest oferowana też tym, którzy chcą zasilić dwa pozostałe korpusy. Już w lutym 2015 roku szansę na udział w szkoleniu służby przygotowawczej dostali ochotnicy na podoficerów rezerwy. „Był to drugi taki turnus w historii i pierwsze wcielenie od 2011 roku. Wtedy szkoliło się w Poznaniu ponad 45 osób", mówi chor. Marcin Szubert, rzecznik prasowy SPWL. Zainteresowanie było bardzo duże – o jedno miejsce ubiegało się kilkanaście osób. Kadeci zdobywali wiedzę z 20 przedmiotów, ćwiczyli także z wykorzystaniem systemu szkolno-treningowego Śnieżnik. W tym roku wojsko zaplanowało dwa takie turnusy. Pierwszy ruszył 2 lutego i potrwa do 30 czerwca. Drugi jest zaplanowany od 5 lipca do 30 listopada. W każdym z nich weźmie udział 100 ochotników.

Służbę przygotowawczą odbywają też kandydaci na oficerów NSR-u. Na początku stycznia w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych rozpoczęło się kolejne takie szkolenie. „Mamy 85 ochotników. Z tego m.in. względu uczą się też w większej liczbie specjalności, jak zmechanizowana, pancerna, logistyczna czy finansowa. Program nie odbiega od ubiegłorocznego. Ochotników czeka kwartał szkolenia ogólnego, a potem specjalistycznego", mówi Ryszard Mękarski, szef Oddziału Kształcenia w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu.

Kwartalne szkolenie podstawowe jest jednakowe dla wszystkich zaczynających przygodę z mundurem. Podobnie więc jak elewi czy kadeci, kandydaci na oficerów rezerwy poznają wojskowe regulaminy, trenują kondycję. Czeka ich też szkolenie medyczne, z obrony przed bronią masowego rażenia, a także zajęcia z taktyki. Tylko ich jednak obejmą zajęcia z dowodzenia. Będą poznawać np. zasady autoprezentacji i metodyki przygotowywania do zajęć, nauczą się też opracowywać dokumenty dowódcze, choćby rozkazy bojowe. Zaliczą także dwutygodniową praktykę dowódczą w jednostkach, gdzie będą pełnić funkcję dublerów dowódców plutonów. ■

ZBROJENIOWE PRZYSPIESZENIE

z Bartoszem Kownackim

o wyzwaniach modernizacyjnych naszego wojska i odejściu od hamowania polskiej zbrojeniówki rozmawia Krzysztof Wilewski.

ROBERT SUCHY/CO MON

Kiedy poznamy ustalenia audytu planu modernizacji technicznej na lata 2013–2022?

Jeśli tylko pani premier Beata Szydło podejmie decyzję o upublicznieniu raportu. Dopiero po jego przeanalizowaniu okaże się, w jakim stopniu informacje w nim zawarte mogą zostać przekazane do wiadomości publicznej.

Czy rzeczywiście jest on tak porażający, jak sugeruje minister Antoni Macierewicz?

Wnioski płynące z audytu są bardzo przykre, gdyż zdecydowanie nie wyłania się z nich dobry obraz naszej armii ani działań poprzedniego kierownictwa Ministerstwa Obrony Narodowej. Podobnie jest, niestety, w wypadku instytucji zaangażowanych w modernizację polskiego przemysłu obronnego.

Korupcja?

Też, ale nie tylko. Istotnym problemem jest brak szerszego spojrzenia na programy modernizacyjne i nieudolność, czego najlepszym dowodem są trwające latami przetargi. Poprzednią ekipę oceniam z perspektywy ośmiu lat. Nawet jak zmieniał się premier czy minister obrony narodowej, to nadal rządziła ta sama opcja polityczna. Koalicja Platformy Obywatelskiej i Polskie-

go Stronnictwa Ludowego miała więc osiem lat, aby znaczną część programów modernizacyjnych zrealizować i dziś chwalić się efektami. Niestety, nie przypominam sobie takiego kluczowego programu w polskim przemyśle, który zostałby w tym czasie zapoczątkowany i doprowadzony do końca. My zamierzamy działać zdecydowanie inaczej. Zależy mi na tym, abym za cztery lata, kiedy będzie kończyła się moja kadencja, mógł powiedzieć, że program, którego realizacji się podjąłem, został skończony i daje efekty.

Za przykład nieudolności w realizacji programów zbrojeniowych minister podawał wyposażenie armii w zautomatyzowany system dowodzenia klasy BMS, czyli Battlefield Management System, który wojsko testowało już w trakcie ćwiczeń „Borsuk 2010" i którego do tej pory nie kupiło. Co MON zamierza zrobić w tej sprawie?

Jeśli chodzi o BMS, to został ogłoszony przetarg i trwa. Analizujemy, czy jego warunki gwarantują, że Polska Grupa Zbrojeniowa, mająca być łącznikiem między wojskiem a firmami prywatnymi, nie została postawiona jedynie w roli wydmuszki. Chcemy to postępowanie wreszcie rozstrzygnąć i mam nadzieję, że to się stanie w niedługim czasie.

Jeżeli ta ocena, analiza, wypadnie niekorzystnie i zdecydujecie, aby przetarg – podobnie jak w wypadku systemu rakietowego Homar – skierować bezpośrednio do Polskiej Grupy Zbrojeniowej, jak w tej sytuacji można uniknąć oczywistego konfliktu interesów PGZ z ofertą konsorcjum Asseco i Teldatu? Poprzedni zarząd PGZ już raz dokonał wyboru. Startuje w przetargu na BMS w konsorcjum z WB Electronics, a w innych postępowaniach z KenBIT-em, który również zgłosił się do przetargu na ten system.

Oczywiście zdajemy sobie sprawę z ryzyka, jakie niesie skierowanie zamówienia bezpośrednio do przemysłu, poza otwartym przetargiem. Dzięki przetargowi jest sytuacja zero-jedynkowa – widać, jakie decyzje podejmuje ministerstwo oraz że Służba Kontrwywiadu Wojskowego, Centralne Biuro Antykorupcyjne, Żandarmeria Wojskowa monitorują wszystkie procedury. Argumentem za tym, aby skierować zamówienie do PGZ, jest zaś większa możliwość sterowania tym programem. W przetargu, gdy już zostanie podpisany kontrakt, bardzo trudno coś zmienić. A pewnych rzeczy nie da się wcześniej opisać, więc po jakimś czasie okazuje się, że czegoś nie przewidzieliśmy „w procedurze". W PGZ obowiązują procedury biznesowe, co daje większą elastyczność i możliwość reagowania na pojawiające się zagrożenia.

Trwających tyle lat co w wypadku BMS postępowań jest więcej. Inspektorat Uzbrojenia chce np. jako uzupełnienie już istniejącej infrastruktury krytycznej kupić w otwartym przetargu, więc także dla firm rosyjskich, węzły teleinformatyczne. Co z tym przetargiem?

To jest szerszy problem ministerstwa, o którym wspomniałem wcześniej. Zdecydowanie zbyt wolno trwają poszczególne procedury, a urzędnicy często nie są w stanie powiązać oczywistych faktów.

Jaki zatem obraz przemysłu obronnego wyłania się z przeprowadzonego audytu?

Przemysł we współpracy z ministerstwem ma ważną lekcję do odrobienia. W ostatnich 25 latach zamiast się rozwijać, produkować coraz nowsze uzbrojenie i sprzęt wojskowy, stopniowo ograniczał zatrudnienie i zmniejszał liczbę swoich produktów. Efektem tego jest zagrożenie, że przy tak szerokim planie modernizacji technicznej jak dzisiaj i możliwej do otrzymania liczbie zleceń, nie podoła im, gdyż – mówiąc kolokwialnie – się zadławi. Przy tak ogromnym potencjale drzemiącym w zakładach trzeba umieć tak zwiększyć zamówienia, aby stał się on konkurencyjny, otwarty na oczekiwania rynku, by w przyszłości przynajmniej częściowo uniezależnił się od zleceń z ministerstwa.

Ale przecież w ostatnich latach uruchomiono sporo prac badawczo-rozwojowych nad rozwiązaniami innowacyjnymi, w tym artyleryjskimi czy przeznaczonymi dla żołnierza przyszłości. Miały też powstać nowe czołgi, bojowe wozy piechoty, drony.

Uruchomiono, ale co z tego? Firmy dostały z MON-u pieniądze na badania, które bardzo często stawały się dla nich celem samym w sobie, a nie elementem prowadzącym do sprzedaży produktu. W Polsce prace badawczo-rozwojowe zbytnio się przedłużają – trwają i trwają… i końca nie widać. Efekty są mizerne, a zakłady zamiast produkować i dawać nowe miejsca pracy, zastanawiają się, jak przetrwać kolejny rok.

Jakie jest na to lekarstwo?

Możliwości jest kilka. Po pierwsze, trzeba mieć świadomość, że prace badawczo-rozwojowe to proces wieloletni, więc muszą być planowane z dużym wyprzedzeniem. Po drugie, gospodarka, która cechuje się pewnym zapóźnieniem, łatwo może je nadrobić, gdy przeskoczy pewien etap rozwoju i zdobędzie technologię z zewnątrz. Dzięki temu można produkować w rodzimych zakładach, a potencjał naukowy wykorzystywać do ulepszania tych projektów. Czasem nie ma sensu wymyślać czegoś, co już istnieje. Tak realizowano wiele projektów w okresie II Rzeczypo- →

spolitej. Oczywiście diabeł tkwi w szczegółach i trzeba sprawić, by umowy licencyjne czy transfer technologii w ramach offsetu były dla Polski korzystne. W minionych latach nie zawsze tak było. Przykładem może być program „Orka". Niedawno kontaktowaliśmy się ze Szwedami w sprawie okrętów podwodnych, są również prowadzone rozmowy z Francuzami i Niemcami. Dla mnie jest oczywiste, że gdybyśmy dziś rozpoczęli własne prace badawczo-rozwojowe nad okrętem podwodnym, to skończyłoby się tak, jak z trwającą kilkanaście lat budową korwety „Gawron", która w końcu będzie patrolowcem „Ślązak".

Chcemy zatem pozyskać licencję na okręty podwodne?

Ponieważ mówimy jedynie o kilku, maksymalnie trzech, czterech sztukach, to tylko ta forma jest opłacalna. W grę wchodzi albo dołączenie do już realizowanego przez inne państwo projektu badawczego, albo kupno gotowych okrętów z opcją pozyskania licencji na określone systemy. Wszystko jednak zależy od rakiet manewrujących. Bez nich absolutnie nie ma sensu kupowanie jednostek tej klasy.

A co z rosomakiem? Rozumiem, że negatywnie ocenia Pan ten kontrakt?

Kołowe transportery opancerzone Rosomak to dobre pojazdy. Gdybyśmy jednak w projekcie KTO uczestniczyli na zupełnie innych warunkach, gdybyśmy mieli pełne prawa do opracowanych przez naszych inżynierów poprawek, to również my, a nie tylko Patria, sprzedawalibyśmy rosomaki innym. Dzięki temu bylibyśmy w dużo lepszej sytuacji, jeśli chodzi o nowe projekty, i znacznie łatwiej byłoby walczyć o rynki zbytu.

Czy jest szansa, że zaprosimy do projektu BWP inne państwa regionu?

Nowy BWP to jest ogromny program, bardzo kosztowny. Jego wartość oscyluje w granicach kilkudziesięciu miliardów złotych. Grzechem byłoby nie wykorzystać potencjału drzemiącego w takim zamówieniu, a co więcej – nie próbować wzmocnić go o kolejne zamówienia z rynków europejskich. Szczególnie w państwach, które, tak jak my, wycofują technikę poradziecką. Warto zatem rozmawiać choćby z Czechami o wspólnym projekcie, który pozwoli później zdobywać kolejne rynki. Oczywiście partner musi mieć świadomość tego, że to strona polska – ze względu na wielkość zamówienia dla armii – ma pozycję dominującą.

Nie mamy zbyt dobrych doświadczeń z tego typu projektami. Krab też miał być na początku realizowany wspólnie ze Słowakami…

Przemysł we współpracy z ministerstwem ma ważną lekcję do odrobienia. W ostatnich 25 latach zamiast się rozwijać, produkować coraz nowsze uzbrojenie i sprzęt wojskowy, stopniowo ograniczał zatrudnienie i zmniejszał liczbę swoich produktów

Wszystkie takie projekty wymagają nie tylko wspólnej woli, lecz także pójścia na kompromis. W wypadku nowego BWP jest oczywiste, że oczekiwania Czechów różnią się od naszych. My mamy dwa takie programy – „Gepard" i „Borsuk", a Czesi mają jeden. Jeżeli w warunkach przetargu uwzględnimy wyłącznie swoje wymagania i nie będziemy chcieli ustąpić, i takie samo podejście będzie w Czechach bądź na Słowacji, to ten program na pewno nie ruszy.

A obrona rakietowa? Programy „Wisła", „Narew"? Czy one też mogłyby być wielonarodowe?

I tak, i nie. Owszem, są państwa, takie jak Bułgaria czy Rumunia, które sygnalizują chęć wprowadzenia do uzbrojenia nowych systemów przeciwrakietowych. Ich plany są jednak tak bardzo odległe i niesprecyzowane, że możemy te kraje traktować jako ewentualne pole do eksportu w przyszłości, a nie partnerów do wspólnych zakupów.

Kilka tygodni temu był Pan w USA w sprawie „Wisły". Jakie są efekty tego wyjazdu?

Do USA pojechaliśmy po to, aby przekazać stronie amerykańskiej, że zakup patriotów uzależniamy od spełnienia naszych wymagań. Jest możliwe, że jeśli nasze warunki

nie zostaną uwzględnione, w ogóle nie kupimy systemów rakietowych tej klasy. Nic na siłę. Owszem, ten program jest ważny, ale radykalnie, rewolucyjnie on nie zwiększy zdolności obronnych naszego kraju.

To dlaczego w ogóle chcemy go kupić?

Ponieważ pozwoli nam bronić kilku strategicznych obiektów, miejskich aglomeracji oraz ochroni nas przed atakiem hybrydowym. Wyobraźmy sobie, że gdzieś wybuchnie bunt w bazie i grupa rebeliantów opanuje wyrzutnie. Nierealne? Bardzo realne. I co z tego, że później dany kraj takich żołnierzy złapie i ukarze, a nas przeprosi? Nasze obiekty strategiczne, np. Sztab Generalny, Narodowe Centrum Kryptologii, kluczowa fabryka, zostaną już zniszczone. Na wiele miesięcy pozostalibyśmy zdezorganizowani.

To paraliżująca wizja hybrydowej wojny rakietowej.

Ale również taki scenariusz musimy brać pod rozwagę. Jednocześnie nie możemy się oszukiwać, że te osiem baterii sprawi, iż wszyscy Polacy w kraju będą mogli czuć się bezpiecznie. Nie ma takiej możliwości, bo musielibyśmy mieć tych baterii nie osiem, ale kilka razy więcej.

Jak Pan ocenia obecną ofertę Raytheona i rządu amerykańskiego, szczególnie w dziedzinie transferu technologii?

Na początku zidentyfikowaliśmy technologie, które chcemy pozyskać. Amerykanie niechętnie podchodzą do ich przekazania. Teraz jest trochę lepiej, ale czeka nas jeszcze długa droga, jeśli w ogóle chcielibyśmy znaleźć rozwiązanie korzystne dla Polski.

Wcześniej na pewnym etapie dokonano wyboru między MEADS-em [Medium Extended Air Defence System] a patriotami. Pan i minister Antoni Macierewicz chcecie jednak jeszcze raz sprawdzić obie propozycje.

Rozmawiamy w sprawie MEADS-a, ponieważ musimy mieć pełną wiedzę i poznać wszystkie możliwe rozwiązania. Chcemy mieć pewność, że dokonamy wyboru najlepszego dla Polski. Albo nie dokonamy go wcale, bo każdy wybór będzie niekorzystny. Problemem w wypadku MEADS-a jest niejasno zdefiniowane konsorcjum i zasady dalszej współpracy, również w kwestii wykorzystywania prawa własności intelektualnej tego, co zostanie opracowane.

WIZYTÓWKA

BARTOSZ KOWNACKI

Jest wiceministrem obrony narodowej odpowiedzialnym za zakupy sprzętu i uzbrojenia. W latach 2006–2007 pracował w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego, potem, do 2009 roku, w Kancelarii Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego. W 2011 roku został posłem na Sejm RP VII kadencji, w którym pełnił funkcję członka, następnie wiceprzewodniczącego Komisji Obrony Narodowej. W latach 2011–2012 delegowany do Zgromadzenia Parlamentarnego NATO.

Czy argumentem w negocjacjach z rządem amerykańskim w sprawie patriotów może być stała obecność wojsk amerykańskich w Polsce, czyli baza np. brygady zmechanizowanej?

Tak, to miałoby dla nas ogromne znaczenie. To szansa, że tych osiem naszych baterii byłoby wspartych systemami amerykańskimi. Gdyby taka oferta padła, na pewno bardzo poważenie byśmy ją rozważyli.

Czy przetarg na śmigłowce wielozadaniowe jest już dla Francuzów przegrany?

Trwają negocjacje offsetowe, więc poczekajmy na ich wynik.

Podpisania jakich umów zbrojeniowych możemy się spodziewać jeszcze w tym roku?

Chciałbym, aby została załatwiona sprawa śmigłowców wielozadaniowych, chociaż uważam, że bardziej są nam potrzebne śmigłowce bojowe i byłoby dobrze, żeby one zostały kupione jak najszybciej. Na pewno w grę wchodzi program samolotów dla VIP-ów. Teoretycznie jest możliwe, że również „Wisła" zostanie „dopięta", gdyż Amerykanie oceniają, że podpisanie umowy mogłoby nastąpić w ciągu trzech, czterech miesięcy od wysłania LOR-u [Letter of Request]. Nie wykluczam też bezzałogowców Wizjer i Gryf.

A programy morskie?

Mam co do nich poważne obawy. Chciałbym, aby były one szansą rozwoju rodzimych stoczni, ale powinny być bardziej racjonalne i perspektywiczne. To jest dzisiaj duże wyzwanie, szczególnie że – choć są podmioty dobrze prosperujące – nie można zapomnieć o tych słabszych, takich jak Stocznia Marynarki Wojennej, której problemy trzeba rozwiązać, bo ma ona duży potencjał rozwojowy.

A co z „Narwią"?

Wszystko zależy od programu „Wisła". Jeśli z niego zrezygnujemy, trzeba będzie zdecydowanie przyspieszyć z programem, o którym Pan mówi. Jeśli jednak „Wisła" ruszy, to w jej ramach pozyskujemy technologię niezbędną do uruchomienia „Narwi" na bazie narodowej gospodarki. ■

EWA KORSAK, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Po prostu przeżyj

Dwaj polscy żołnierze wojsk specjalnych, jako pierwsi od wielu lat obcokrajowcy, wzięli udział w sześciomiesięcznym kursie SERE w Stanach Zjednoczonych.

Pierwszy raz od dziesięciu lat Amerykanie zgodzili się, by w organizowanym przez nich szkoleniu SERE [Survival, Evasion, Resistance, Escape – przetrwanie, unikanie, opór w niewoli oraz ucieczka] wzięli udział obcokrajowcy. Nasi żołnierze z Lublińca i GROM-u »rozbili bank«, zaprezentowali się rewelacyjnie", mówi st. chor. sztab. Tomasz Świerad, starszy podoficer Dowództwa Komponentu Wojsk Specjalnych. „To pokazuje, jak na tle innych armii świata prezentują się nasze wojska specjalne", dodaje dowódca KWS gen. bryg. Jerzy Gut.

Kto wziął udział w szkoleniu? „Gałus" ma 41 lat, a od ponad 15 służy w Jednostce Wojskowej Komandosów. To jeden z najlepszych specjalistów w Polsce od spraw przetrwania i bytowania. Jest weteranem misji w Macedonii, Iraku i Afganistanie. Został również laureatem Buzdyganów za rok 2015. „Verva" ma 33 lata, a od siedmiu jest operatorem zespołu bojowego GROM-u. Wcześniej służył m.in. w 6 Brygadzie Powietrznodesantowej. Doświadczenie bojowe zdobywał podczas misji w Afganistanie.

DŁUGI ROZBIEG

„Tematyka SERE jest dla wojsk specjalnych szczególnie ważna. Jesteśmy personelem wysokiego ryzyka i musimy wiedzieć, jak przetrwać w niewoli lub na terenie kontrolowanym przez przeciwnika, niezależnie od tego, czy jest to pustynia, dżungla czy ocean", tłumaczy „Gałus". Właśnie dlatego kadra Dowództwa Komponentu Wojsk Specjalnych kilka lat temu zaczęła poszukiwać odpowiedniego centrum szkolenia. Odpowiedzią na oczekiwania komandosów okazał się kurs SERE Specialist Training w centrum szkolenia amerykańskich sił powietrznych w bazie Fairchild w Stanach Zjednoczonych. „Amerykanie mieli coś, na czym nam zależało. Niemal półroczny kurs, który przygotowuje instruktorów do działania we wszystkich strefach klimatycznych i geograficznych", opowiada chor. Świerad, który od samego początku angażował się w zorganizowanie kursu dla polskich operatorów.

W połowie 2013 roku oficerowie z DKWS zwrócili się do Amerykanów z zapytaniem o możliwość skierowania na kurs polskich żołnierzy. Niestety, okazało się, że był on dostępny tylko dla przedstawicieli państw określanych jako „five eyes" (Amerykanie, Kanadyjczycy, Nowozelandczycy, Australijczycy i Brytyjczycy). Próbę rozszerzenia grupy szkoleniowej o kursantów innych narodowości zorganizowano ponad dziesięć lat temu. Niestety eksperyment się nie udał. „Żołnierze, którzy przyjechali do USA, nie angażowali się odpowiednio, a to negatywnie wpływało na całą grupę. Musieliśmy to przełamać", opisuje pierwszy podoficer DKWS. Wsparcie polskim komandosom zaoferowali także ówczesny dowódca sił specjalnych USA w Europie gen. Marshall Webb i sierż. mjr Gregory Smith.

„To właśnie dzięki ich poparciu Amerykanie rozpoczęli z nami współpracę. Podczas telekonferencji omówiliśmy ramy współpracy i opisaliśmy wzajemne oczekiwania. A dopiero kilka miesięcy później zaproszono nas na rozmowy do Stanów Zjednoczonych", opisuje chor. Świerad. Amerykanie zastrzegli, że zanim Polacy rozpoczną szkolenie w bazie Fairchild, muszą przejść kurs przygotowawczy. Zorganizowano go w Kotlinie Kłodzkiej. Polskich specjalistów SERE ze wszystkich jednostek specjalnych: Agatu, Formozy, GROM-u, Komandosów i Nila oceniało trzech amerykańskich oficerów. Pierwsze trzy dni żołnierze spędzili na zajęciach teoretycznych, a następnych siedem na praktyce w lesie. Szkolenie zaliczyli wszyscy, ale najlepiej wypadli „Gałus" i „Verva". DKWS zdecydował, że to właśnie oni w pierwszej kolejności wyruszą za ocean.

BEZSENNOŚĆ W LESIE

Zajęcia odbywały się w stanie Waszyngton, gdzie można było „przenosić" kursantów na wybrzeże, w góry, na pustynię, do lasów deszczowych i szkolić ich w klimacie

ARCHIWUM GAŁUSA (2)

SERE

(Survival, Evasion, Resistance, Escape – przetrwanie, unikanie, opór w niewoli oraz ucieczka) to działania podejmowane przez personel wojskowy w razie oderwania od sił własnych lub zestrzelenia nad terytorium wroga. Najbardziej narażeni na sytuacje wymuszające używanie technik SERE są żołnierze wojsk specjalnych, zwiadowczych oraz piloci.

umiarkowanym. Na kurs przyjechało 40 uczestników. „Znaliśmy jego wstępne założenia i program. Wiedzieliśmy też, że szkolenie kończy zwykle około 30% uczestników", opowiada „Gałus". „Najtrudniejsze było przestawienie się psychiczne. Z instruktora i doświadczonego żołnierza zrobiono ze mnie elewa. Ale warunki były jasne: trzeba było się całkowicie podporządkować", dopowiada. Jeden z uczestników zrezygnował sam, o losie pozostałych zdecydowali instruktorzy. „Powodów nie brakowało. Można było wylecieć za niedbały mundur, nieodpowiednio dobrany do zajęć sprzęt i oczywiście brak umiejętności survivalowych. Każdy dostawał jedną szansę na poprawę, jeśli tego nie zrobił, musiał się pożegnać", wspomina „Verva".

Pierwsza część szkolenia była prowadzona w klimacie umiarkowanym. Po trzytygodniowych wykładach wojskowi trafili na dwa tygodnie do lasu. Musieli udowodnić, że potrafią zorganizować schronienie, znaleźć wodę i jedzenie, rozpalić ogień, we właściwy sposób się przemieszczać. Musieli także różnymi sposobami wysłać sygnały grupom poszukiwawczo-ratowniczym i za pomocą radia naprowadzać śmigłowce. „Najtrudniejszy był brak snu. Spaliśmy nie więcej niż trzy godziny na dobę", mówi „Verva" i zaznacza, że nie było to jednorazowe niedospanie, lecz stan niemal przewlekły. „Żołnierze muszą wiedzieć, jak ich organizm reaguje w skrajnych sytuacjach. Celem zajęć jest przede wszystkim nauczenie, że zawsze trzeba dbać o swoje zdrowie. Gdy się odwodnią, złamią nogi, to w niewoli nie ma już dla nich ratunku. Trzeba być czujnym i nauczyć się słuchania sygnałów wysyłanych przez własny organizm", mówi chor. Świerad.

Codziennie żołnierze otrzymywali od instruktorów inne polecenia „Teoretycznie w każdym środowisku musieliśmy wykonać zadania związane z SERE, ale w praktyce, wszędzie znaczyło to zupełnie co innego. Inaczej np. buduje się schronienie na pustyni, inaczej nad oceanem", mówi „Verva". Rozpalali ogniska, rozbudowywali schronienia. Musieli zadbać o jedzenie i wodę. „Przygotowywaliśmy posiłki niemal ze wszystkiego. Od roślin, przez wiewiórki i kozy, po robaki. Najmniej smakował mi taki podobny do naszego żuka. Do tej pory nie bardzo wiem, co to było, ale nie zapomnę metalicznego posmaku", wspomina „Verva".

W trakcie kolejnych etapów żołnierze szkolili się z walki wręcz, brali udział w kursach medycznych, ćwiczyli nawigację w lasach. Przeszli też tygodniowe zajęcia z technik linowych. Uczyli się tam budowania wyciągów i ewakuacji poszkodowanych. Przyznają, że do najbardziej wymagających etapów należało szkolenie na pustyni. „Nie mogę powiedzieć, że była ona na miarę Sahary, ale wystarczyło, byśmy poczuli, co znaczy mieć problemy z dostępem do wody", wyjaśnia „Verva". By zminimalizować poziom utraty wody, musieli zbudować schronienia przed słońcem. Wykorzystywali w tym celu m.in. czaszę →

ZNACZĄCY BONUS

Gdy „Gałus" i „Verva" szkolili się w Fairchild, na zaproszenie Amerykanów do Stanów Zjednoczonych poleciało jeszcze czterech naszych operatorów: dwóch z GROM-u i po jednym z Formozy i JWK. Żołnierze wzięli udział w szkoleniu dla menedżerów systemu ewakuacji izolowanego personelu. W trakcie miesięcznego kursu uczyli się zasad unikania przeciwnika w terenie miejskim, ćwiczyli planowanie takich akcji w miastach. W czasie kilkudniowych zajęć praktycznych weszli w rolę zakładników przetrzymywanych przez organizację terrorystyczną.

KURS SERE W STANACH ZJEDNOCZONYCH BYŁ FINANSOWANY Z AMERYKAŃSKIEGO PROGRAMU „FOREIGN MILITARY FINANCING"

Improwizowane okulary sygnalizacyjne na pustyni

spadochronu. Instruktorzy nie ułatwiali im zadania i pozbawili kursantów całkowicie dostępu do wody, doprowadzając ich do skrajnego odwodnienia. Chcieli w ten sposób sprawdzić granice ich wytrzymałości. „Musieli się nauczyć, jakie są symptomy odwodnienia i jego konsekwencje. Dochodziło do sytuacji, w których mieli omamy i halucynacje", opowiada st. chor. sztab. Tomasz Świerad. Na pustyni zmierzyli się także ze skorpionami. „Atakowały nas niemal non stop. Pogryzły wielu Amerykanów. Mnie i Tomka na szczęście nie", wspomina operator i dodaje, że cały czas nad kursantami czuwali medycy.

TO NIE WAKACJE

Dziesięć dni nad oceanem brzmi jak oferta biura podróży. „Ten etap nie miał nic wspólnego z wakacjami", śmieje się „Verva". „Musieliśmy zdobywać owoce morza, uczyliśmy się też, które zwierzęta z oceanu są dla nas bezpieczne, a które powinniśmy zostawić w spokoju", dodaje operator.

Nauka przetrwania na oceanie i wybrzeżu otwierała najdłuższy, bo trzytygodniowy etap szkolenia praktycznego. Żołnierze ćwiczyli na oceanie, na wybrzeżu, przeszli także intensywny trening w dżungli. „Czas spędzony na oceanie był krótki, ale bardzo intensywny. Uczyliśmy się, jak przetrwać na tratwie, pływaliśmy w wodzie i czekaliśmy, aż wyłowią nas z łodzi albo podbierze nas śmigłowiec", wspomina „Gałus". „Na wybrzeżu znowu musieliśmy zorganizować schronienie, rozpalić ognisko, zdobyć pożywienie. Niestety to wszystko nie jest proste, gdy wieje silny wiatr, jest wilgotno i zimno", dodaje „Verva".

„Bardzo szybko zmienialiśmy klimat i otoczenie. Po kilku dniach spędzonych na wybrzeżu przenosiliśmy się do gęstego lasu. Staliśmy w środku dżungli, gdzie niemal bez przerwy padał deszcz", opowiada „Gałus". „Wszystko mieliśmy mokre, łącznie ze śpiworem", wspomina „Verva".

Ostatnim, dziewiątym etapem szkolenia było przygotowanie kursantów do roli instruktorów. „Amerykanie dużą wagę przykładają do metodyki. To jest niesamowita wartość tego kursu. Kilka lat wcześniej szkoliłem się w Gujanie Francuskiej, gdzie zadaniem instruktorów było przede wszystkim upokorzenie żołnierzy. Tu celem było naucze-

ARCHIWUM GAŁUSA (3)

KOMENTARZ

JERZY GUT

To najlepiej przygotowany i najbardziej profesjonalny kurs instruktorów SERE na świecie. Jesteśmy bardzo zadowoleni, że udało nam się dołączyć do szkolenia zarezerwowanego dotychczas wyłącznie dla żołnierzy amerykańskich. Musimy być przygotowani do wykonywania różnego rodzaju zadań, np. bojowego odzyskiwania personelu. Jestem dumny, że nasi żołnierze ukończyli ten kurs z najlepszymi notami. To pokazuje, jaki poziom na arenie międzynarodowej reprezentują nasze wojska specjalne. ■

Gen. bryg. Jerzy Gut jest dowódcą Centrum Operacji Specjalnych – Dowództwa Komponentu Wojsk Specjalnych.

nie i pokazanie, jak zdobytą wiedzę należy przekazać innym", opisuje „Gałus". Żołnierze występowali w roli instruktorów, prowadzili zajęcia na salach wykładowych i w terenie. Każdy z uczestników kursu musiał przeprowadzić dziewięć lekcji po 25 minut. A podczas wcześniejszych faz dodatkowo prowadzić dziesięciominutowe lekcje na temat środowiska, w którym w danej chwili kursant się znajdował. „Jestem z wykształcenia nauczycielem wychowania fizycznego, mam za sobą wiele kursów, również pedagogicznych, i nigdzie nie spotkałem się z tak restrykcyjnymi zasadami, jeśli chodzi o metodykę", przyznaje „Verva". „Ludzie odpadali nawet w tej ostatniej fazie. Nie ma miejsca wśród instruktorów dla tego, który przeszedł kurs, ale nie potrafi zdobytej wiedzy przekazać innym", tłumaczy.

POLAK ZNACZY PRYMUS

Certyfikat instruktora SERE dostała połowa kursantów, czyli o 20% więcej niż zwykle. Amerykanie nie ukrywali, że na taki wynik wpłynęła postawa i zaangażowanie Polaków. „Działali jak spoiwo. Łączyli grupę. Motywowali i wspierali. Amerykanie byli w szoku, że nasi zajęli czołowe miejsca", opisuje chor. Świerad. „Zaznaczyli, że ludzi z takim doświadczeniem jak »Gałus« i »Verva« chcieliby mieć w gronie instruktorów", dodaje.

Dyplomy instruktora SERE żołnierze odbierali w obecności swoich przełożonych. Obaj podkreślają, że poziom szkolenia był bardzo wysoki. „Czasami na tego typu ćwiczeniach jest tak, że jak przetrwasz pierwszy trudny etap, to potem jest już łatwiej. Tutaj nie. Poprzeczka była zawieszona wysoko aż do dnia promocji", wspomina „Verva". „Ten kurs nauczył mnie pokory, ale też sprawił, że poukładałem sobie w głowie sprawy związane z SERE", przyznaje „Gałus".

Zdobyta przez komandosów wiedza będzie wykorzystana podczas szkolenia w jednostkach, ale i kompleksowo – na poziomie całych wojsk specjalnych. W Dowództwie Komponentu Wojsk Specjalnych zostanie opracowany program szkolenia personelu narażonego na izolację. Obecnie na kursie SERE w Stanach Zjednoczonych trenuje kolejnych dwóch żołnierzy z jednostek Nil i Agat. W połowie roku zmienią ich operatorzy z Formozy. ■

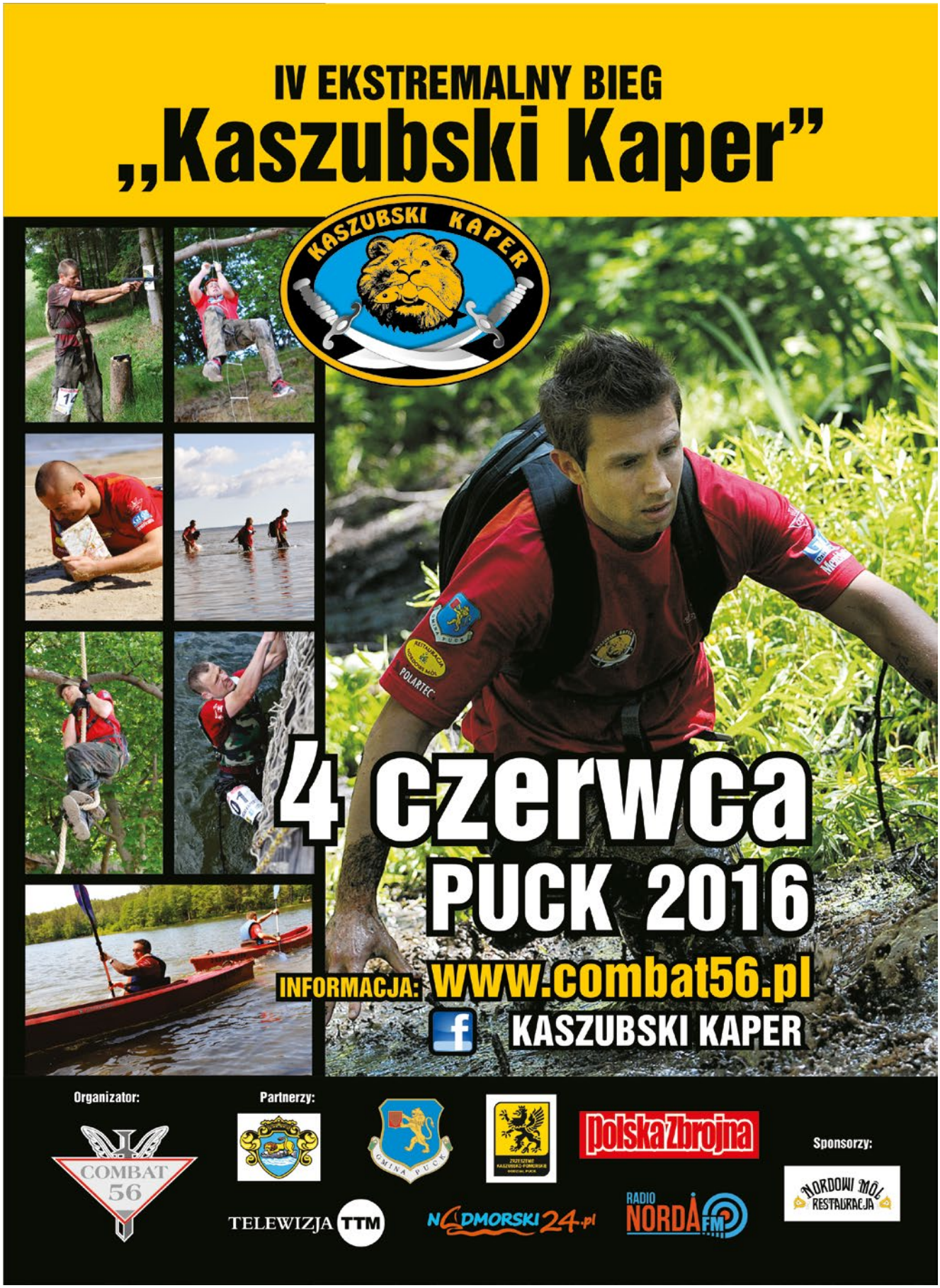
IV EKSTREMALNY BIEG
„Kaszubski Kaper”
KASZUBSKI KAPER
4 czerwca
PUCK 2016
INFORMACJA: www.combat56.pl
KASZUBSKI KAPER
Organizator:
COMBAT 56
Partnerzy:
GMINA PUCK
Polska Zbrojna
Sponsorzy:
NORDOWI MÓL RESTAURACJA
TELEWIZJA TTM
NADMORSKI 24.pl
RADIO NORDA FM

JACEK SZUSTAKOWSKI

Sportowa czołówka

Na Gali Sportu Wojskowego wyróżniono najlepszych sportowców i trenerów 2015 roku. Uhonorowano również laureatów plebiscytu organizowanego przez portal polska-zbrojna.pl.

Doroczną Galę Sportu Wojskowego po raz pierwszy zorganizowało Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych. Impreza odbyła się 30 marca w Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki. Podsumowano na niej działalność sportową w siłach zbrojnych w 2015 roku oraz czwartą edycję plebiscytu na najpopularniejszych sportowców Wojska Polskiego. W sporcie wyczynowym największym uznaniem cieszyli się medaliści VI Letniej Olimpiady Wojskowej w Korei Południowej, a w powszechnym najbardziej doceniono medalistów spartakiad WP.

LAUREACI PLEBISCYTU

W czwartym internetowym głosowaniu czytelników tytuł sportowca roku zdobyła szer. Iwona Lewandowska. Lekkoatletka z poznańskiego Wojskowego Zespołu Sportowego to dwukrotna złota medalistka południowokoreańskich igrzysk. Na najwyższym stopniu podium stanęła wraz z koleżankami z reprezentacji: st. szer. Moniką Stefanowicz i szer. Olgą Kalendarová-Ochal. W zeszłym roku Lewandowska ustanowiła w Londynie nowy rekord życiowy w maratonie oraz po raz trzeci w swojej karierze wygrała warszawski Bieg Niepodległości. W plebiscytowym wyścigu wyprzedziła pływaka szer. Tomasza Polewkę i szablistkę kpr. Aleksandrę Sochę. Polewka na igrzyskach w Korei Południowej wywalczył trzy medale – dwa złote i brązowy. W 2015 roku zdobył też tytuł mistrza Europy na krótkim basenie na dystansie 50 m stylem grzbietowym. Socha z kolei w Korei Południowej po raz drugi z rzędu została wojskową mistrzynią olimpijską.

W kategorii mistrz sportu powszechnego internauci wyróżnili ppor. Marcina Kołoszuka z 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej. Głosujący docenili jego dwa złote medale zdobyte na mistrzostwach WP. Podporucznik najszybciej pokonał indywidualnie i w rywalizacji zespołowej tor ośrodka sprawności fizycznej. Na dodatek z wynikiem 45,51 s ustanowił nowy nieoficjalny rekord Polski. Rekordzista służy w 4 Zielonogórskim Pułku Przeciwlotniczym w Czerwieńsku. W plebiscycie jego najgroźniejszymi konkurentami okazali się lekkoatleci. Drugie miejsce zajął szer. Adam Nowicki z 12 Dywizji Zmechanizowanej, a trzecie szer. Dominika Napieraj z lubuskiej 11 DKPanc.

Trzy pozostałe nagrody przyznali członkowie kapituły plebiscytu. Nagrodą specjalną za całokształt działalności wyróżniono st. chor. sztab. Zbigniewa Rosińskiego, byłego prezesa Wojskowego Klubu Biegacza „Meta", a wyróżnienie „nadzieja sportu wojskowego", otrzymała biatlonowa wicemistrzyni świata juniorek w biegu indywidualnym szer. Kinga Mitoraj z Biathlonowego Klubu Sportowego Wojsko Polskie. Trenerem roku został zaś mjr Wiesław Czapiewski. Szkoli on lekkoatletów z bydgoskiego Wojskowego Zespołu Sportowego i Cywilno-Wojskowego Związku Sportowego Zawisza. Po raz pierwszy w 1999 roku otrzymał najwięcej głosów od czytelników „Polski Zbrojnej" (pierwsze 30 edycji wojskowego plebiscytu w latach 1977–2006 organizowała gazeta codzienna Wojska Polskiego i tygodnik „Polska Zbrojna").

NAGRODY DOWÓDZTWA GENERALNEGO

Inspektorat Szkolenia Dowództwa Generalnego RSZ podczas gali przyznał wyróżnienia dla zwycięzców poszczególnych klasyfikacji za 2015 rok. Puchar za triumf w sporcie powszechnym po raz piąty z rzędu odebrała reprezentacja 11 DKPanc. Drugie miejsce zajęła ekipa z 12 Dywizji Zmechanizowanej, a trzecie z sił powietrznych. Za wyniki indywidualne w sporcie powszechnym najbardziej doceniono osiągnięcia szer. Marzeny Michalik z 12 DZ, która została mistrzynią WP w pięcioboju wojskowym i w walce w bliskim kontakcie. Drugie miejsce zajął kpr. Hubert Pokrop z 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego, mistrz WP w biegu patrolowym, a trzecie ppor. Marcin Kołoszuk. Za osiągnięcia w sporcie wyczynowym organizatorzy gali uhonorowali dziesięcioro zawodników nominowanych do plebiscytu. Trzy czołowe lokaty, zgodnie z typowaniem internautów, zajęli: szer. Iwona Lewandowska, szer. Tomasz Polewka i kpr. Aleksandra Socha. ■

KRZYSZTOF KOWALCZYK

Od żołnierzy dla żołnierzy

Na uroczystej gali redakcja „Polski Zbrojnej" wręczyła Buzdygany sześciu żołnierzom i cywilowi.

Buzdygan jest i nadal powinien być nagrodą za pasję, za oddanie na rzecz wojska wykraczające poza normalny zakres obowiązków", mówili goście gali wręczenia najważniejszej nagrody środowiska wojskowego. Uroczystość odbyła się w piątek 18 marca 2016 roku w Wojskowym Centrum Konferencyjnym w Warszawie.

„My żołnierze mamy cały katalog nagród, od orderów i odznaczeń zaczynając. Skąd więc tyle wysiłku, żeby raz w swojej karierze zdobyć Buzdygan?", pytał, otwierając galę, płk Dariusz Kacperczyk, dyrektor Wojskowego Instytutu Wydawniczego. „To jest nagroda od żołnierzy dla żołnierzy. A najtrudniejsza rzecz to zyskać szacunek i uznanie ludzi ze swojego najbliższego otoczenia zawodowego".

W Wojskowym Centrum Konferencyjnym Buzdygany odebrało sześciu wojskowych i cywil. Są to: ppłk Andrzej Demkowicz, „Gałus" – komandos z Lublińca, gen. bryg. prof. Grzegorz Gielerak, ppłk pil. Paweł Marcinkowski, mjr Marcin Matczak, st. chor. sztab. Andrzej Woltmann oraz Sławomir Zagórski.

Otrzymaną nagrodę ppłk Paweł Marcinkowski zadedykował byłemu dowódcy sił powietrznych gen. Andrzejowi Błasikowi, który zginął w 2010 roku w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem. Pilot przekazał Buzdygan wdowie po generale pani Ewie Błasik. „Wiele osób zasługuje na Buzdygan, wśród nich też tacy, których z nami nie ma. Taką osobą jest śp. gen. Andrzej Błasik, który zrobił bardzo dużo dla lotnictwa. To dzięki niemu możemy dziś →

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI (11)

bez wstydu uczestniczyć w ćwiczeniach międzynarodowych i szkolić się taktycznie za granicą. On rozumiał nasze potrzeby, czytał w naszych myślach. Jesteśmy mu bardzo wdzięczni, że możemy sławić polskie skrzydła od Alaski po Izrael i kontynuować to, co w nas zaszczepił", powiedział ppłk Marcinkowski. „Ten gest odbieram w kategoriach oddania honoru mojemu mężowi. To bardzo wzruszające", podziękowała pani Ewa Błasik.

Po oficjalnej części uroczystości, na bankiecie zaproszeni goście dzielili się wrażeniami z tegorocznej edycji nagrody. „Otrzymanie Buzdygana to dla mnie radość, że moja praca została doceniona, ale też motywacja do dalszych działań. Znalazłem się zresztą w bardzo dobrym gronie, z którego niektóre osoby znam. Mjr Marcin Matczak jest wychowankiem sekcji rozpoznania wojskowego i działań specjalnych naszej szkoły, a z »Gałusem« współpracujemy na co dzień", przyznał ppłk Andrzej Demkowicz.

„Dla mnie w tym roku buzdyganowcem numer jeden jest na pewno gen. Grzegorz Gielerak. Byłam rzecznikiem Inspektoratu Wojskowej Służby Zdrowia i przez kilka lat miałam przyjemność z nim współpracować. Był to m.in. okres powstawania i rozwoju Kliniki Psychiatrii i Stresu Bojowego w WIM", oceniła ppłk Joanna Klejszmit-Bodziuch, rzecznik prasowy Dowództwa Garnizonu Warszawa.

„Tegoroczni nagrodzeni to fantastyczne osoby. Bardzo się różnią, ale połączyła ich pasja do wojska. Ich życiorysy to kwintesencje tego, jaki powinien być żołnierz, niezależnie od tego, gdzie służy", mówił w rozmowie z „Polską Zbrojną" mjr Piotr Szczepański, rzecznik Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu.

Goście kontynuowali również wątek podjęty podczas części oficjalnej przez dyrektora WIW-u, odnoszący się do tego, kto zasługuje na wyróżnienie „Polski Zbrojnej". „Buzdygan powinni dostawać ci, którzy swoimi działaniami i zaangażowaniem wykraczają poza zwykły zakres obowiązków. W wojsku jest wiele osób, które swoją pracą pokazują, że spędzanie ośmiu godzin na służbie im nie wystarcza. Buzdygan powinien trafiać do tych, dla których wojsko to nie tylko praca, lecz także hobby i pasja", ocenił laureat Sławomir Zagórski, gratulując pozostałym nagrodzonym.

Gen. bryg. Rajmund Andrzejczak, laureat nagrody „Polski Zbrojnej" za 2014 rok, czyli członek tegorocznej kapituły, zwraca uwagę na obowiązek spoczywający na nagrodzonych: „O wiele trudniej przyznawać Buzdygan, niż go otrzymywać. Wybrać osoby wyróżniające się spośród wielu znakomitości to ogromne wyzwanie i odpowiedzialność. W nagradzanych musimy szukać przede wszystkim pasji. Żołnierzy, którzy do swoich zawodowych obowiązków dodają 300% inicjatywy, zaangażowania, czasu wolnego, poświęcenia rodziny, wysiłku fizycznego i intelektualnego oraz ryzyka zawodowego".

Według „Białego", laureata z ubiegłych lat, ciekawym pomysłem byłoby przyznanie Superbuzdygana: „Byłby to sposób, by sprawdzić, co dalej dzieje się z laureatami. Czy pozostają wierni swoim ideałom, czy może giną gdzieś pod natłokiem codziennych obowiązków i rutyny".

W tym roku po raz pierwszy laureaci nagrody, oprócz repliki buzdygana, odebrali także małą, pamiątkową odznakę tej nagrody. „To świetny pomysł. Dzięki temu będziemy mogli rozpoznawać się na spotkaniach”, ocenili zdobywcy Buzdyganów. Nagrodzeni dodatkowo dostali również vouchery wypoczynkowe dla dwóch osób ufundowane przez Rewitę, spółkę Domy Wczasowe WAM.

Podczas gali zostały też wręczone nagrody dla żołnierzy wyróżnionych w konkursie literackim, zorganizowanym przez portal polska-zbrojna.pl, w którym mieli oni opisać swoje święta Bożego Narodzenia spędzone na służbie. Złote Pióro Dyrektora Wojskowego Instytutu Wydawniczego zdobył chor. Piotr Lubiąski, kierownik zespołu humanistycznego w sekcji szkolenia Wielkopolskiej Szkoły Podoficerskiej Wojsk Lądowych w Poznaniu, srebrne dostał ppor. Daniel Orłowski z 1 Dywizjonu Lotniczego, a brązowe ppłk. rez. Ryszard Miernik. ■

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Ludzie z cienia

Geografów nie ma w armii zbyt wielu, a bez nich nie mogłyby funkcjonować wojska lądowe, specjalne, lotnictwo. Przydają się nawet marynarce wojennej.

POZNAJCIE Z NAMI SPECYFIKĘ SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻNYCH JEDNOSTKACH POLSKIEGO WOJSKA. W CYKLU „WOJSKO OD KULIS" PRZECZYTACIE O MARYNARZACH, PILOTACH, LOGISTYKACH, ARTYLERZYSTACH, PRZECIWLOTNIKACH CZY CHEMIKACH.

Wyobraźmy sobie poligon. Za chwilę wjadą na niego czołgi, transportery opancerzone, powietrze przeszyje huk silników samolotowych i terkot śmigłowców. Piechota stanie oko w oko z nieprzyjacielem, a wojska specjalne rozpoczną ściśle tajne operacje na jego tyłach. Na razie jednak na bezkresnych terenach panuje cisza. Dla wojskowych geografów właśnie wtedy zaczyna się najgorętszy czas. Pracują wtedy dzień i noc. I nie chodzi nawet o to, że każdego z żołnierzy – od szeregowego piechoty, przez operatora sił specjalnych, po pilota śmigłowca czy samolotu – trzeba wyposażyć w aktualną mapę, a zestaw dla jednego tylko batalionu waży nawet kilka ton. Takie mapy zwykle są gotowe już wcześniej. Kilka dni przed rozpoczęciem ćwiczeń pojawiają się zamówienia specjalne. Geografowie mogą wtedy usłyszeć np.: „Okej, potrzebuję mapy z analizą przejezdności terenu, miejsc dogodnych do lądowania śmigłowców i takich, które nadadzą się do zorganizowania przeprawy", albo „Muszę wiedzieć, gdzie w okolicy są szpitale, ile mają łóżek, ilu lekarzy, no i jak do nich dojechać. Taka mapa byłaby idealna".

Kiedy żołnierze zaczynają zjeżdżać na poligon, geografów można odnaleźć w pierwszym rzucie. Dwa kontenery na ciężarówkach, a w nich specjalistyczny sprzęt i komputery. Do tego sejf na niejawne dane, agregat prądotwórczy, zapasy żywności oraz samochód terenowy. I przede wszystkim dziewięciu specjalistów od systemów informacji o terenie, topografii, kartografii, geodezji. Nawet kierowcy zostali wyszkoleni, by wykonać proste pomiary.

Oto MZZG, czyli mobilny zespół zabezpieczenia geograficznego. Polska armia ma takie dwa: na co dzień stacjonują w Lesznie i Toruniu. „Ich zadanie polega na zbieraniu i analizie danych o miejscach, gdzie odbywają się ćwiczenia", wyjaśnia płk Zbigniew Nowak, dowódca 19 Samodzielnego Oddziału Geograficznego w Lesznie. „Sama mapa nie wystarczy?", dopytuję. Jak się okazuje – nie. Podczas manewrów sytuacja jest dynamiczna. A dowódcy muszą mieć np. pewność, że zdołają przeprowadzić transportery przez podmokły teren, że kolumna czołgów nie utonie im w bagnie, że zarośla są dostatecznie gęste, by schować w nich batalion piechoty. W tym wypadku geografowie działają trochę, jak zwiad. Tyle że zamiast śledzić pozycje wroga, sprawdzają pagórki, mokradła, lasy i bezdroża. A potem tworzą i drukują kolejne mapy. Na miejscu. Choć w niskich nakładach, to w tempie ekspresowym. „Na co dzień pozostajemy w cieniu. Tak naprawdę widać nas dopiero, gdy zabraknie mapy. Ale nasza w tym głowa, by nie zabrakło", dodaje płk Nowak.

ŚWIAT Z PIASKU I SZYSZEK

Przykład na pozostawanie w cieniu najłatwiej znaleźć właśnie w Lesznie. Choć 19 Samodzielny Oddział Geograficzny funkcjonuje w mieście od 1970 roku, większość mieszkańców nie do końca chyba zdaje sobie sprawę z jego istnienia. Wojsko? Jak najbardziej! Są u nas przeciwlotnicy. Druga jednostka? Hm… Sprawę na pewno kom-

ARTUR WALENTO/12 SDZ

WYPOSAŻENIE

Jednostki geograficzne używają różnorodnego sprzętu specjalistycznego. Ważną grupę stanowią instrumenty pomiarowe i sprzęt geodezyjny, w tym teodolity, tachimetry, niwelatory, dalmierze geodezyjne i precyzyjne odbiorniki GPS. Inną grupą są stacje graficzne i fotogrametryczne. Do produkcji map są wykorzystywane maszyny do druku offsetowego, naświetlarki i kopioramy. Geografowie wojskowi korzystają też z rozmaitego sprzętu informatycznego, w tym notebooków oraz wielkoformatowych skanerów kolorowych i ploterów. Pracę ułatwiają im mobilne pracownie analityczne i dystrybucyjne.

plikuje fakt, że leszczyńscy geografowie stacjonują dokładnie w tym samym miejscu, co ich koledzy strzegący nieba. Zajmują jeden z budynków koszar, które pamiętają jeszcze początek ubiegłego stulecia. Do tego przeciwlotników jest więcej – do niedawna stanowili samodzielny pułk, teraz wchodzą w skład pułku z Zielonej Góry. Korzystają z zestawów przeciwlotniczych Kub i Osa, zautomatyzowanych wozów dowodzenia, stacji namierzania z radarami pokaźnych rozmiarów, podczas gdy u geografów można obejrzeć elektroniczne urządzenia pomiarowe, rzędy komputerów, posłuchać szumu serwerów...

Ale geografia wojskowa w ogóle jest niewielką strukturą. Szefostwo zostało ulokowane w Warszawie i podlega bezpośrednio Dowództwu Generalnemu Rodzajów Sił Zbrojnych. W stolicy działa również Wojskowe Centrum Geograficzne (WCG). Obie instytucje zajmują budynek w Alejach Jerozolimskich. Został on wzniesiony w 1935 roku, specjalnie z myślą o geografach. Poza Warszawą funkcjonują trzy kolejne jednostki, równorzędne wobec WCG: 22 Wojskowy Ośrodek Kartograficzny w Komorowie oraz dwa samodzielne oddziały geograficzne w Toruniu i Lesznie. Do siedziby drugiego z nich przychodzę, żeby podejrzeć, w jaki sposób powstają wojskowe mapy.

„A wie pan, że technikę 3D stosowaliśmy, zanim tak naprawdę stała się popularna?", pyta ppłk Krzysztof Ślusarz, główny inżynier leszczyńskiej jednostki. Po tych słowach na chwilę wychodzi z sali, w której oglądamy poświęconą oddziałowi prezentację. Wraca w towarzystwie trzech żołnierzy, dźwigających prostokątny blok. Na jego powierzchni widać pomalowane zieloną farbą wzgórza, ułożone z szyszek lasy, błękitna wstążka rzeki przeplata się z czarną linią trasy kolejowej i szarymi szosami. A pośród tego wszystkiego stoją kościół i budynki kilku obejść. Oto zminiaturyzowany fragment autentycznego krajobrazu, a zarazem kawałek fascynującej historii. „Takie makiety powstawały we wszystkich jednostkach geograficznych. Żołnierze z Leszna zrobili ich kilka", tłumaczy płk Nowak. „Ciekawie wyglądało zwłaszcza tworzenie tych, które obrazowały tereny za naszą zachodnią granicą. Zdarzało się, że informacje na temat stojących tam budynków czy układu ulic geografowie czerpali z folderów lub pocztówek. Innych źródeł czasem po prostu nie było".

Podczas ćwiczeń nad makietą nadbudowywano stelaż, po którym poruszał się specjalny wózek. Żołnierz kładł się na nim i jechał w odpowiednie miejsce, by postawić figurki czołgów i żołnierzy. Nie zawsze jednak ćwiczący mieli do dyspozycji tak idealną makietę. Tymczasem dowódcy upierali się, by nie korzystać tylko z map. Co wtedy? „Kilka dni przed manewrami geografowie tworzyli makietę wprost na ziemi: z piasku i szyszek", wspomina płk Nowak i zaraz dodaje: „Ale to już odległa historia i tylko najstarsi podoficerowie pamiętają czasy ich opracowania. Obecnie teren w 3D można wizualizować na ekranach komputerów lub patrzeć na tzw. mapy anaglifowe przez specjalne dwukolorowe okulary. Tak jak w kinie… Ale do współczesności jeszcze wrócimy.

SKOK W GÓRY, KROK PO ZIEMI

W dziejach wojskowej geografii karkołomnych wyzwań było całe mnóstwo. Wystarczy spojrzeć na stare zdjęcia. →

Obładowani sprzętem żołnierze wciągają się wzajemnie na górski szczyt, inni wśród kosodrzewiny i połonin dźwigają potężny betonowy słup. Kolejna fotografia: upał, środek lata, na nadmorskiej plaży grupki ludzi i dwaj geografowie przy urządzeniach pomiarowych. „Pod koniec lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku jednostki geograficzne otrzymały rozkaz sporządzenia map w skali 1:10 000, które pokrywałyby powierzchnię całego kraju", tłumaczy ppłk Ślusarz. „Aby temu sprostać, żołnierze przechodzili m.in. kursy wspinaczki wysokogórskiej. W całym kraju powstawały drewniane wieże, wysokie na kilkadziesiąt metrów. Czasem specjaliści wdrapywali się na nie dzień w dzień przez kilka miesięcy. A wszystko po to, by trafić na idealnie bezwietrzny i słoneczny dzień, który pozwoliłby z precyzją uchwycić w terenie punkty odniesienia. W przedsięwzięcie oprócz wojska były zaangażowane instytucje cywilne. W sumie realizowane było przez 16 lat".

A i potem pracy nie brakowało. „Po rozpadzie Czechosłowacji nasz oddział przez sześć lat prowadził pomiary granicy Polski z dwoma nowo powstałymi państwami. Zadanie obejmowało odcinek 220 km", wspomina płk Nowak. „Żołnierze nierzadko musieli sobie torować drogę za pomocą maczet. Wyciągali też z ziemi ciężkie słupy graniczne. Każdy z nich jest tylko tzw. świadkiem, właściwy zaś punkt pomiarowy znajduje się dokładnie pod nim". W wyniku tych prac przebieg granicy został wznowiony. Prostszym językiem można powiedzieć tak: geografowie raz jeszcze pomierzyli współrzędne, odnowili kamienie graniczne i posadowili je na nowo.

Na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku geografowie z Leszna jako pierwsi w Polsce weszli na teren bazy i poligonu opuszczonego przez wojska sowieckie, żeby dokonać pomiarów. W Świętoszowie została wykonana ponownie mapa zasadnicza, czyli podstawowa, wraz z całą infrastrukturą naziemną i podziemną. „Co ciekawe, po raz pierwszy zastosowano w pełni najnowsze osiągnięcia geodezji. Wszystkie obiekty terenowe pomierzono nowoczesnymi tachimetrami, ich wyniki przesłano do komputerów, a po obróbce – na plotery", tłumaczy dowódca leszczyńskiej jednostki.

W 1994 roku ruszyła realizacja najważniejszego zadania ostatnich dekad. „Polscy geografowie, we współpracy z agencją kartograficzną USA, przeprowadzili kampanię pomiarową związaną z zakładaniem wojskowej podstawowej sieci geodezyjnej w układzie WGS-84 oraz rozpoczęli opracowywanie pierwszych cyfrowych map dostosowanych do standardów NATO", informuje płk Nowak. Mapy sojuszu północnoatlantyckiego zawsze w istotny sposób różniły się od tych używanych w Układzie Warszawskim. „Inny był ich format, inne systemy współrzędnych. Chodziło o to, by jedna strona po ewentualnym przejęciu map przeciwnika nie mogła ich bezpośrednio wykorzystać, np. do wyznaczania celów ostrzału artyleryjskiego czy rakietowego", wyjaśnia ppłk Ślusarz. Miesiąc po miesiącu, rok po roku powstawały mapy w nowym standardzie z opisami po polsku i angielsku (na terenach przygranicznych dochodzi jeszcze trzeci język) i legendą taką, jak w innych państwach sojuszu. Tak, by w razie potrzeby mogli z nich korzystać operujący w Polsce żołnierze NATO.

W tym czasie wieże obserwacyjne, potężne makiety, przyrządy optyczne i ręcznie wykreślane mapy definitywnie odchodziły już do lamusa. Nastał czas komputerów.

PAPIER ZNIESIE WSZYSTKO

W przestronnej sali połyskują rzędy komputerowych monitorów – przy każdym stanowisku trzy. Przy monitorach pochyleni żołnierze grupy opracowań geograficz-

TRZY PYTANIA DO

płk. Andrzeja Merskiego

Jacy żołnierze byliby dobrymi wojskowymi geografami?

Geografia jest uznawana za naukę humanistyczną, ale faktycznie jest to nauka ścisła. W jednostkach geograficznych potrzebujemy żołnierzy z wykształceniem geodezyjnym kartograficznym i geograficznym, ludzi gotowych do ciężkiej pracy, wykonujących swoje obowiązki z zamiłowaniem.

Jak się dostać do służby w jednostkach geograficznych?

W wypadku oficerów trzeba ukończyć Wydział Inżynierii Lądowej i Geodezji Wojskowej Akademii Technicznej. W ubiegłym roku

WOJSKOWI GEOGRAFOWIE STOSOWALI TECHNIKĘ 3D, ZANIM TAK NAPRAWDĘ STAŁA SIĘ POPULARNA

nych (GOG), najczęściej chorążowie z dwudziestokilkuletnim stażem. Oto serce leszczyńskiej jednostki. „Tu właśnie powstają mapy w wersji cyfrowej", tłumaczy mjr Maciej Ludwicki, pełniący obowiązki dowódcy GOG. „W tej chwili opracowujemy nowe mapy polskich poligonów". Podchodzę do jednego ze stanowisk. Na pierwszym z monitorów szarozielone zdjęcie lotnicze. „To poligon w Biedrusku", opowiada major. „Zdjęcia lotnicze czy zobrazowania satelitarne zawsze stanowią jeden z filarów nowego wydania mapy. Pobieramy je z serwera informacji i usług geograficznych, czyli tzw. geoserwera.

Stanowi on ciągle uzupełnianą bazę danych, które dla wojska są kluczowe na każdym etapie planowania działań, zarówno na poziomie taktycznym, jak i operacyjnym. Ze zgromadzonego tam zasobu możemy się dowiedzieć m.in., jaka jest szerokość danej drogi wraz z poboczem, czy biegnie ona po nasypie, czy w obniżeniu terenu, z jakiego materiału została zbudowana, jak bardzo jest wytrzymała. W sumie kilkanaście różnych parametrów. Rzecz w tym, by dowódcy poszczególnych wojsk wiedzieli, czy może tamtędy przejechać kolumna ciężarówek, jak szybko pomkną transportery opancerzone, czy szosa nie zacznie pękać pod gąsienicami czołgów. Kolumny danych wyświetlają się na środkowym monitorze. Na ostatnim informacje z bazy są nanoszone na zdjęcia lotnicze. Zielonoszara powierzchnia pokrywa się różnokolorowymi nitkami dróg, plamami lasów i bagien.

„Dane dotyczące poszczególnych części kraju muszą być nieustannie weryfikowane", podkreśla płk Nowak. „Krajobraz zmienia się bardzo dynamicznie. Od czasu wstąpienia Polski do Unii Europejskiej powstaje u nas dużo nowych dróg, stare są remontowane, miasta się rozrastają. Różnego rodzaju inwestycje są przeprowadzane również w infrastrukturze wojskowej, zwłaszcza na poligonach", wylicza. Geografowie zbierają dane z różnych źródeł, często nawet proszą o pomoc samorządy, które są zarządcami danej nieruchomości czy drogi, lub śledzą Google Earth. To jednak nie wystarczy. Zwykle trzeba samemu ruszyć w teren, aby zweryfikować wiele informacji. „Na szczęście tutaj również sprzęt znacząco się zmienił", dodaje płk Nowak.

O tym z kolei mam okazję się przekonać w sąsiedniej sali, gdzie w równym rzędzie stoi kilka urządzeń wspartych na trójnożnych stojakach. „To tachimetry elektroniczne", wyjaśnia ppłk Sebastian Wojtkowiak, dowódca grupy →

w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych uruchomiliśmy też 12-miesięczny kurs oficerski dla absolwentów geografii, kartografii i kierunków pokrewnych z uczelni cywilnych. Bardziej skomplikowane jest to w wypadku podoficerów, bo w wojsku nie ma szkolenia specjalistów w tej dziedzinie. Na razie na stanowiskach podoficerskich są żołnierze, którzy ukończyli w przeszłości Szkołę Chorążych Wojskowej Służby Topograficznej. Obecnie nie ma bezpośredniej ścieżki naboru podoficerów i żołnierz musi przejść przez służbę w korpusie szeregowych. Wyszukujemy osób z wykształceniem technicznym, zwłaszcza tych, które ukończyły technikum geodezyjne, studium policealne lub studia licencjackie w tej specjalności.

Na czym polega atrakcyjność służby w jednostkach geograficznych?

W naszych jednostkach są szerokie możliwości rozwoju. Żołnierze zdobywają wiedzę z bardzo różnych dziedzin. Poza tym dla wielu osób atrakcyjna jest praca z użyciem najnowocześniejszego sprzętu, w tym informatycznego. ■

PŁK ANDRZEJ MERSKI JEST SZEFEM GEOGRAFII WOJSKOWEJ.

zabezpieczenia geograficznego. Kiedyś, dokonując pomiaru, geografowie byli zdani na przyrządy optyczne i swoje oczy. Dziś są wspomagani przez skomputeryzowane systemy. „Nowoczesny tachimetr może bardzo precyzyjnie określić współrzędne z odległości kilkuset metrów", tłumaczy podpułkownik. Kilka dekad temu dokonujący pomiaru żołnierz kreślił zręby mapy ręcznie, korzystając ze specjalnego rozłożonego na miejscu stolika. Dziś wyniki zapisuje się w komputerowych plikach, po czym trafiają one do bazy i są analizowane w zaciszu pracowni.

W leszczyńskich koszarach można też znaleźć pomieszczenie wyposażone w skaner i plotery. „Tutaj drukujemy próbne egzemplarze map", zaznacza płk Nowak. Ostateczny druk, po odpowiedniej weryfikacji, odbywa się w nowoczesnej drukarni 22 Wojskowego Ośrodka Kartograficznego w Komorowie. „Mapy, które ją opuszczają, są wykonane zgodnie z najwyższymi reżimami technologicznymi i jakościowymi. Potem, za pośrednictwem wojskowych oddziałów gospodarczych, trafiają do poszczególnych jednostek", tłumaczy płk Nowak. Mimo że technika poszła bardzo do przodu, żołnierze ciągle korzystają i będą korzystać przede wszystkim z map papierowych. „Odbiorniki GPS nieprzyjaciel może zakłócić, a współczesne urządzenia elektroniczne uzależnione od źródeł zasilania wymagają ładowania w najmniej oczekiwanym momencie. Papierowa mapa jest na te czynniki odporna i wyjątkowo trwała w każdych warunkach atmosferycznych", podkreśla ppłk Ślusarz. „Bez względu na to, czy mamy do czynienia z mapą elektroniczną, czy papierową kluczowa pozostaje jedna rzecz: mapa musi być aktualna".

MAPA WEDŁUG MARSZAŁKA

Podstawowa skala dla wojskowych geografów to 1:50 000. „Opracowujemy również mapy w skali 1:100 000 i 1:250 000", wyjaśnia płk Andrzej Merski, szef geografii wojskowej. Drugi z tych produktów służy przede wszystkim sztabowcom do planowania różnych operacji połączonych z udziałem wojsk lądowych i sił powietrznych. Z pracy geografów korzystają także wojska specjalne, a nawet, w ograniczonym stopniu, marynarka wojenna. Choć siły morskie na co dzień używają map Bałtyku opracowanych przez Biuro Hydrograficzne MW, muszą mieć informacje na temat terenu do kilku kilometrów w głąb Wybrzeża. Taka wiedza jest pomocna przy planowaniu operacji desantowych. Poza tym marynarka ma również swoich przeciwlotników czy saperów. Odrębne zadania geografowie wykonują na rzecz lotników. Na mapach cyfrowych i papierowych określają np. wysokość przeszkód, na które muszą uważać nisko przelatujące samoloty i śmigłowce, czy punkty orientacyjne wokół lotnisk.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

POLSKA ARMIA MA DWA MOBILNE ZESPOŁY ZABEZPIECZENIA GEOGRAFICZNEGO. NA CO DZIEŃ STACJONUJĄ W LESZNIE I TORUNIU

POCZĄTKI POLSKIEJ GEOGRAFII WOJSKOWEJ SIĘGAJĄ 1918 ROKU.

Po odzyskaniu przez Rzeczpospolitą niepodległości za kwestie zabezpieczenia geograficznego armii odpowiadały Oddział Geograficzny w Sztabie Generalnym WP oraz sekcja topograficzna w Departamencie Technicznym Ministerstwa Spraw Wojskowych.

23 lutego 1919 roku został powołany Instytut Wojskowo-Geograficzny. W rocznicę jego powstania geografia wojskowa obchodzi obecnie swoje święto. Dwa lata później nowo utworzona struktura zmieniła nazwę na Wojskowy Instytut Geograficzny. W 1935 roku WIG otrzymał nowoczesny budynek w warszawskich Alejach Jerozolimskich. Jego ozdobą stał się umieszczony w westybulu fresk, jeden z największych w stolicy, zatytułowany „Bolesław Chrobry wytycza zachodnie granice Polski". Namalowali go Bolesław Cybis i Jan Zamoyski. Budynek do dziś jest siedzibą geografii wojskowej (mieści się tu też Wojskowy Instytut Wydawniczy).

W czasie II wojny światowej struktury instytucji zajmującej się mapami dla armii zostały odtworzone w Wielkiej Brytanii. Straty wśród specjalistów były jednak ogromne. W ciągu kilku wojennych lat zginęło 165 oficerów i pracowników wojska. 51 z nich zostało zamordowanych w Katyniu, Charkowie i Twerze.

Tymczasem w roku zakończenia wojny, już w nowej rzeczywistości politycznej, w Warszawie ponownie został powołany Wojskowy Instytut Geograficzny. W kolejnych latach podlegał on licznym przekształceniom i rozbudowie. Do ostatnich restrukturyzacji doszło 1 lutego 2012 roku, kiedy rozpoczęło funkcjonowanie Szefostwo Geografii Wojskowej jako jednostka podporządkowana szefowi Sztabu Generalnego WP i 1 marca 2014 roku, gdy Szefostwo Geografii Wojskowej przeszło w podporządkowanie Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Historia 19 Samodzielnego Oddziału Geograficznego rozpoczęła się 11 września 1953 roku, kiedy na bazie 22 Samodzielnego Oddziału Geograficznego w Komorowie został powołany Samodzielny Oddział Topograficzny. 17 lat później przeniósł się on do Leszna. Został wówczas podporządkowany dowódcy Śląskiego Okręgu Wojskowego. W kolejnych latach zmieniały się nazwy, ale oddział w leszczyńskich koszarach stacjonuje do dziś. ■

Ale fachowców od tworzenia map interesuje nie tylko Polska. „NATO podzieliło świat na obszary i przyporządkowało je specjalistom z różnych państw. Nasi przygotowywali też mapy obejmujące część Ameryki Południowej. Nie musieli jednak jechać na miejsce. Aby tworzyć produkt w skali 1:250 000, wystarczy analiza zdjęć lotniczych i satelitarnych", podkreśla płk Merski. Międzynarodowa współpraca obejmuje też inne sfery działalności. „Tak było chociażby podczas tworzenia map afgańskiej prowincji Ghazni, w której służyli żołnierze Polskiego Kontyngentu Wojskowego", wspomina płk Merski. Wojskowi kartografowie przygotowali 29 arkuszy w skali 1:50 000, opierając się na opracowaniach cyfrowych specjalistów z Czech. Społeczność międzynarodowa korzysta również ze wspomnianych już mobilnych zespołów zabezpieczenia geograficznego. Pomysł ich utworzenia narodził się na początku wieku, tuż przed szczytem NATO w Pradze. Państwa członkowskie przyjęły na nim deklarację, która wyznaczyła Polsce wiodącą rolę w dziedzinie gromadzenia i analizy informacji geograficznej, doradztwa kartograficznego oraz mobilnych zdolności zabezpieczenia geograficznego. Od tego czasu m.in. MZZG z Leszna pełnił dyżur w ramach grupy bojowej Unii Europejskiej.

Kiedy powstawała geografia wojskowa, marszałek Józef Piłsudski mówił: „Mapa jest daleko skuteczniejszą bronią w rękach oficera niż jego pałasz, i nawet jego rewolwer". Jak przekonują geografowie, zdanie to pozostaje aktualne, mimo upływu lat i wielokrotnych zmian sytuacji geopolitycznej. ■

KRZYSZTOF KOWALCZYK

Ostro pod górę

Na ostatnich metrach często krzyczeli, byleby dać z siebie wszystko, wykrzesać resztkę sił. Wspierali słabszych członków drużyny, czasem ciągnąc ich na kawałku sznura.

KRZYSZTOF KOWALCZYK

OBOWIĄZKOWYM EKWIPUNKIEM STARTUJĄCYCH BYŁ SPRZĘT BIWAKOWY, NIEZBĘDNY DO PRZETRWANIA ZIMĄ W GÓRACH

Przybijali piątki, ściskali się w objęciach. Później padali na ziemię. Na mecie na mokrym ciężkim śniegu, głośno dyszący, w długich nartach, z wykręconymi w dziwacznych pozycjach nogami wyglądali jak ofiary wypadków górskich. I choć niektórzy z nich właśnie tak się czuli, wszyscy się cieszyli. Zwycięzcy – dlatego że po wielu godzinach górskiego marszu mogą w końcu zdjąć 25-kilogramowe plecaki, wyładowane czym się dało: stalowymi ciężarami, torbami cukru, butlami z wodą. Pokonanych – jeśli w ogóle któryś z nich pokonanym się poczuł – cieszyło to samo.

„25 kg to optymalne obciążenie dla żołnierza piechoty górskiej. 35 kg – to maksymalny ciężar, ale wtedy efektywność działania spada o 60%, bo szacuje się, że każde dodatkowe 5 kg w plecaku osłabia żołnierza o 30%", wyjaśnia ppłk Andrzej Demkowicz. To on wymyślił te 25 kg. Wymyślił też 25 km, i to zimą, w Górach Izerskich. Na nartach skiturowych i na wyścigi. I nazwał to Military Ski Patrol.

PRZEDWOJENNE INSPIRACJE

Demkowicz to człowiek instytucja: kierownik zespołu rozpoznania i dowodzenia w Instytucie Dowodzenia w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu, a także szef jej sekcji szkoleń wysokogórskich. To też czynny ratownik GOPR-u Grupy Karkonoskiej i laureat Buzdyganów 2015.

Pytany, skąd wziął pomysł na Military Ski Patrol, odpowiada: „Czesi, Austriacy, Niemcy, Szwajcarzy mają takie ćwiczenia w górach i takie zawody. U nas podobnej formuły nie było. Co roku jako szkoła organizowaliśmy letnie zawody z technik wspinaczkowych i ratowniczych dla służb mundurowych. Brakowało nam zawodów zimą". Karkonosze i sąsiednie Góry Izerskie to dla Demkowicza naturalny górski poligon. To tu jest goprowcem. Ale też szkoleniowcem dla podchorążych, bo tu Wyższa Szkoła Oficerska ma swój ośrodek – położony pod Wysokim Kamieniem, z widokiem na całą Szklarską Porębę i górujący nad nią masyw Szrenicy w grzbiecie Karkonoszy.

Jak Demkowicz sam przyznaje, wymyślając formułę zawodów, kierował się nie tylko zazdrością wobec czeskich sąsiadów, którzy organizują takie rozgrywki po drugiej stronie gór. Przed wojną military patrol był konkurencją olimpijską rozgrywaną na igrzyskach zimowych. W 1924 roku w Chamonix wystartowało w niej sześć czteroosobowych drużyn. Byli wśród nich Polacy: Zbigniew Wóycicki (kapitan), Szczepan Witkowski, Stanisław Chrobak i Stanisław Kądziołka. Triumfatorami tamtych zawodów były ówczesne potęgi narciarskie – według kolejności: Szwajcarzy, Finowie i Francuzi. Czesi uplasowali się tuż za podium. Polacy oraz Włosi wycofali się z zawodów ze względu na bardzo złe warunki, ale sam start naszej drużyny, w tamtym wyjątkowym dla Polski okresie, w pionierskiej konkurencji olimpijskiej może dziś budzić szacunek. Military patrol rozgrywano też w kolejnych zimowych igrzyskach olimpijskich, choć wyniki z tych lat są uznawane za nieoficjalne. Kontynuacją tej konkurencji jest biathlon, który stał się oficjalną dyscypliną olimpijską ponad 30 lat później.

CUKIER, SÓL I HANTLE

25 lutego o godzinie 7.30 na starcie zawodów stanęło 13 trzyosobowych grup, wśród nich zespoły wojskowe z całego kraju, a także dwie drużyny straży granicznej. W trakcie biegu zawodnicy musieli wykonać dwa zadania techniczne: pozorowane poszukiwanie zasypanego przez lawinę oraz budowa z nart toboganu i transport rannego. Pierwotnie Demkowicz planował także konkurencję strzelecką. Z tej musiał jednak zrezygnować, gdyż sportowa strzelnica na Polanie Jakuszyckiej, z której korzystają podchorążowie, była tego dnia zarezerwowana na potrzeby mistrzostw polski juniorów w biathlonie.

Już samo pojawienie się na starcie okazało się niemałym problemem dla zawodników. Regulamin był rygorystyczny: plecaki startujących musiały ważyć nie mniej niż 24 kg, dokładnie tyle, ile w przedwojennym military patrolu. Taką wagę musiały mieć na początku i na końcu biegu. Niespełnienie tego wymogu oznaczało dyskwalifikację. Prowiant zabierany przez zawodników na 25-kilometrową turę był dodatkowym ciężarem dla każdego z nich i każdy samodzielnie decydował, ile zabrać jedzenia i wody, by ukończyć wyścig.

Obowiązkowym ekwipunkiem startujących był sprzęt biwakowy, niezbędny do przetrwania zimą w górach. Ale ten nie gwarantował wymaganego obciążenia. Dlatego drużyny wykazywały się dużą pomysłowością, by spełnić warunki uczestnictwa. Skorzystali na tym miejscowi sklepikarze. Dzień przed startem z półek miejscowych sklepików znikały kilogramowe torby cukru i soli kupowane przez zawodników jako balast. Takie samo zastosowanie znalazły butelki z wodą mineralną. Byli też tacy, którzy kwestię obciążenia potraktowali bardzo dosłownie, ku- →

pując w sklepie sportowym ciężkie hantle treningowe. „Pierwszy raz startujemy z takim obciążeniem na tak długim dystansie", stwierdzali wszyscy zawodnicy po założeniu plecaków tuż przed startem.

TRASA Z PRZESZKODAMI

Wysoki Kamień (1058 m n.p.m.) to pierwszy szczyt, na który musieli wbiec uczestnicy. Zaczynali, niosąc narty na plecach, bo na pierwszym odcinku trasy było za mało śniegu. Dopiero wyżej w górach mogli włożyć narty. Tuż za wojskowym ośrodkiem drużyny skręcały ostro pod górę i znikały w lesie. „To pierwsze podejście jest wymagające, później trasa biegnie grzbietami, po terenie pagórkowatym. Niestety dłuższe zjazdy popsuła nam słaba jakość pokrywy śnieżnej", opisywał trasę Demkowicz.

Wysoki Kamień, Kopalnia Stanisław, Kopa, Chatka Górzystów, schronisko Orle, Polana Jakuszycka to kluczowe punkty 25-kilometrowej trasy poprowadzonej w Górach Izerskich. „Najtrudniejszy jest półtorakilometrowy zjazd miedzy Kopą a Rozdrożem pod Kopą, gdzie spod śniegu wystają kamienie", oceniał kierownik zawodów. Zawodnicy trasę i postawione przed nimi zadania poznali na odprawie dzień wcześniej. Drużyny w górach były zdane wyłącznie na siebie.

Pierwsze zadanie techniczne zawodnicy musieli wykonać kilka kilometrów przed metą. W okolicy schroniska Orle miejscowi ratownicy GOPR-u sprawdzali ich umiejętności z posługiwania się detektorem lawinowym. Startujący docierali tam już po wielu godzinach marszu i nie kryli zmęczenia. Ponieważ czas poszukiwania zasypanego przez lawinę wliczał się do czasu biegu, zadanie musieli wykonać możliwie szybko. Zasypanego pozorował detektor lawinowy zakopany przez goprowców pod śniegiem. Ratownicy wyznaczyli również obszar poszukiwań, który odgrywał rolę lawiniska. Ustalenie pozycji zasypanego z dokładnością poniżej 0,5 m było uznawane za zadanie zaliczone.

RADOŚĆ I BÓL

Emocje sportowej rywalizacji udzielały się startującym dopiero po wyjściu z lasu na Polanę Jakuszycką, gdzie była meta zawodów. Nie oznaczała ona dla nich łatwego końca zmagań. Musieli wykonać jeszcze jedno zadanie techniczne: zbudować tobogan i przetransportować na nim jednego członka drużyny wraz z plecakiem. Po wielu godzinach marszu zrobienie z nart, elementów łopat lawinowych i kijów narciarskich, z użyciem linek i srebrnej taśmy klejącej, prowizorycznych sań było nie lada wyzwaniem. Podobnie jak dla dwóch idących na nartach przeciągnięcie przez linię mety ponadstukilogramowego ciężaru.

Dopiero na Polanie Jakuszyckiej, po zejściu z gór, można było zobaczyć wysiłek startujących, wcześniej zmagających się z trasą poza wzrokiem gapiów. I usłyszeć okrzyki finiszujących oraz doping kibiców – kolegów z podchorążówki i licznych w tym miejscu turystów. Radość z ukończenia zawodów szybko ustępowała zmęczeniu i bólowi. Opatrzenie ran na otartych do krwi stopach było dla zawodników ważniejsze od spekulowania o ostatecznej klasyfikacji w zawodach.

Na końcowy wynik wszyscy musieli poczekać kilka godzin, do oficjalnego ogłoszenia klasyfikacji i wręczenia nagród. Najszybszym zespołem okazała się drużyna wojsk specjalnych, z czasem cztery godziny i 22 minuty. Drugie miejsce przypadło bieszczadzkim pogranicznikom, którzy specjalsom pozwolili się wyprzedzić zaledwie o kilka minut. Trzecie miejsce zajęła drużyna bieszczadzkiej straży granicznej, ale w tym wypadku strata do najlepszych wyniosła ponad pół godziny. Ostatni zespół przekroczył linię mety po ośmiu godzinach i 28 minutach, W tym czasie nad Polaną Jakuszycką zapadał już zmrok. Na podsumowania i refleksje samych zawodników trzeba było poczekać do uroczystej kolacji, podczas której nagrody za ukończenie zawodów odebrali wszyscy startujący.

„Wygraliśmy, bo pokonaliśmy całą trasę płynnie. Nie robiliśmy zbędnych przestojów, żeby się napić czy zjeść. Nie zdejmowaliśmy fok, kiedy nie było trzeba. Szybko zrobiliśmy elementy techniczne: lawinówkę i tobogan. Nigdzie nie przyspieszaliśmy, ale byliśmy skuteczni na każdym etapie i to było kluczem do zwycięstwa", zdradził nam mjr Andrzej Gilarok z drużyny wojsk specjalnych. W ocenie jego i kolegów ważnym elementem, który miał istotny wpływ na wyniki poszczególnych zespołów, był sprzęt skiturowy. Specjalsi mieli ten najlepszy. Kilka drużyn nie ustępowało im pod tym względem, ale były też takie, które wystartowały na nartach nabierających już cech muzealnych.

„My mieliśmy sprzęt, który pozwalał na zjazdy nawet trudnymi technicznie żlebami, ale były zespoły wyposażone w taki z lat dziewięćdziesiątych, a na nim trudno walczyć o dobry wynik, nawet gdy się ma bardzo dobre umiejętności. Wydatek energetyczny będzie wtedy niewspółmierny do naszego, bo nasz sprzęt jest pewnie o połowę lżejszy", ocenili specjalsi. Innym ważnym elementem, który złożył się na ich wygraną, było doświadczenie narciarskie: „Jako wojska specjalne zajmujemy się takimi rzeczami na co dzień", podkreślili zwycięzcy.

KRZYSZTOF KOWALCZYK

KLASYFIKACJA KOŃCOWA

Drużyna wojsk specjalnych	4:22:27
Bieszczadzki Oddział Straży Granicznej zespół 1	4:30:40
Bieszczadzki Oddział Straży Granicznej zespół 2	4:53:59
5 Batalion Strzelców Podhalańskich zespół 1	5:24:19
6 Brygada Desantowo-Szturmowa	5:28:11
WSOWL zespół 1	5:44:44
5 Batalion Strzelców Podhalańskich zespół 2	5:45:57
WSOWL zespół 2	5:51:01
9 Warmiński Pułk Rozpoznawczy	6:01:40
21 Brygada Strzelców Podhalańskich	6:12:12
Ośrodek Szkoleń Specjalistycznych Straży Granicznej	6:41:53
17 Wielkopolska Brygada Zmechanizowana zespół 1	6:25:00
17 Wielkopolska Brygada Zmechanizowana zespół 2	8:28:00

RADOŚĆ Z UKOŃCZENIA ZAWODÓW SZYBKO USTĘPOWAŁA ZMĘCZENIU I BÓLOWI

Te uwagi potwierdziły się także w wypadku innych zespołów: „Ochraniamy granicę biegnącą w górach, więc wykorzystujemy sprzęt skiturowy. Dystanse też mamy opanowane, bo w zależności od tego, co się dzieje, pokonujemy i dłuższe, i krótsze trasy. Jesteśmy również ratownikami GOPR-u, więc zadania lawinowe czy ratownicze nie są dla nas niczym nowym. Trasa nie była najtrudniejsza, swoje zaś robił bagaż. Szacunek dla wszystkich zespołów za to, że ukończyły wyścig z takim ciężarem”, podzielił się uwagami mjr Tomasz Skawiński z bieszczadzkiej straży granicznej, którego drużyna zajęła drugie miejsce.

Pogranicznicy okazali się też wyjątkowo dobrym przykładem sukcesu osiągniętego wspólnym wysiłkiem całej drużyny: „Gdy okazało się, że jeden z nas słabnie, to go ciągnęliśmy na linie. Był w najgorszej formie tego dnia i żeby dojść razem do mety, wymyśliliśmy taki sposób. Sprawdził się, bo dzięki temu jako zespół poprawiliśmy prędkość marszu. Te zawody pokazują, że drużyna jest na tyle silna, na ile silny jest jej najsłabszy element”, przyznali.

SPOTKAMY SIĘ ZA ROK

Wszyscy uczestnicy zawodów deklarowali, że za rok będą chcieli ponownie wystartować. W ich ocenie takie zawody są potrzebne. „W zimie, w górach podstawową formą działania wojska będą narty skiturowe. Dlatego trzeba je promować w takich formacjach, jak piechota górska czy wojska specjalne, ale nie tylko w tych”, przyznał Gilarok.

„Dla nas ważne jest to, że te zawody w takim towarzystwie promują naszą służbę. Dzięki temu wojsko przekonuje się też, że w pewnych działaniach, chociażby na granicy, może na nas liczyć i w razie czego możemy się uzupełniać”, podkreślili pogranicznicy. Chęć uczestnictwa w kolejnej edycji Military Ski Patrolu już cieszy ppłk. Andrzeja Demkowicza, który zapowiada, że na kolejne zawody przygotuje trasę i zadania jeszcze ciekawsze, ale też znacznie trudniejsze. ■

ZAWSZE ELITARNI

Z Wojciechem Marchwicą

o przyszłości i tradycjach 6 Brygady Powietrznodesantowej rozmawia Tadeusz Wróbel.

W trakcie „Swift Response" na poligonie koło Torunia zostanie przeprowadzony największy od dziesięcioleci w Polsce desant spadochronowy.

Rzeczywiście jest przewidziany zrzut żołnierzy amerykańskiej brygady z 82 Dywizji Powietrznodesantowej i naszego 16 Batalionu Powietrznodesantowego. Gdy dowodziłem 6 Brygadą Powietrznodesantową, w planach było, że zostanie przeprowadzony zrzut mojego stanowiska dowodzenia. Teraz chcę to doprowadzić do skutku, chociaż zadanie wykona nowy dowódca brygady.

W armiach części europejskich członków NATO zredukowano jednostki aeromobilne lub wyposażono w pojazdy opancerzone. W tym drugim wypadku spadochroniarze de facto stali się piechotą zmotoryzowaną. Czyżby następował zmierzch tej wysoce wyspecjalizowanej formacji?

Nie wiem, czy wielofunkcyjność jest dobra w wypadku jednostek aeromobilnych. Trzeba przypomnieć, że pojawiły się takie pomysły, gdy się wydawało, że nie grozi nam duży konflikt konwencjonalny, a wojska mają jedynie w perspektywie misje zagraniczne. W obliczu nowych zagrożeń, które się pojawiły ostatno, takich jak działania hybrydowe czy międzynarodowy terroryzm, coraz bardziej są potrzebne właśnie wojska wysoce wyspecjalizowane. Co do budowania struktur organizacyjnych i wyposażenia jednostek spadochronowych w poszczególnych państwach to uważam, że wszystko zależy od stawianych im zadań. Dopiero po określeniu, do czego dany rodzaj jednostek, w tym wypadku powietrznodesantowych, ma być użyty, należy dokonać wyboru jego uzbrojenia i wyposażenia oraz określić struktury organizacyjne.

Jakie zadania może wykonywać 6 Brygada Powietrznodesantowa?

Jednym z nich jest opanowywanie wrogich lotnisk. W tej dziedzinie współpracujemy z amerykańską 173 Brygadą Powietrznodesantową, której specjalnością są takie właśnie działania. Nasza brygada jest również przygotowana do udzielania wsparcia wojskom specjalnym.

Czy są potrzebne jednostki aeromobilne, czy raczej wystarczy, by jak największa liczba batalionów piechoty była przygotowana do współdziałania ze śmigłowcami?

Dla mnie obie te sprawy można pogodzić. Są ludzie umiejący sprawnie grać na jakimś instrumencie muzycznym, ale są też wirtuozi. My spadochroniarze, czy szerzej – żołnierze wojsk aeromobilnych, jesteśmy wirtuozami w swojej dziedzinie. U nas inne zadania ma 6 Brygada Powietrznodesantowa, a inne 25 Brygada Kawalerii Powietrznej. I obie są nam potrzebne. Z drugiej strony jesteśmy świadomi, że musimy umieć współdziałać z różnymi rodzajami wojsk, z jednostkami czołgów czy też zmechanizowanymi – i dobrze, jeśli one również zostaną po części zapoznane ze specyfiką naszegp działania.

W przeszłości najważniejsze były jak największa liczba skoków i bezpieczeństwo podczas ich wykonywania. A przecież równie istotna jest kwestia szkolenia taktycznego.

Bardzo restrykcyjnie podchodzimy do szkolenia spadochronowego. W brygadzie nie wykonuje się skoków dla samego skakania, są elementem działań taktycznych.

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

WIZYTÓWKA

PŁK DYPL. WOJCIECH MARCHWICA

Jest szefem Zarządu Wojsk Aeromobilnych i Zmotoryzowanych w Inspektoracie Wojsk Lądowych Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Ostatnio był dowódcą 6 Brygady Powietrznodesantowej. Wcześniej przez 20 lat służył w 21 Brygadzie Strzelców Podhalańskich, w której był m.in. zastępcą dowódcy.

Tyle że obecne wyposażenie wojsk aeromobilnych nie jest wystarczające…

Jeśli chodzi o wyposażenie 6 Brygady Powietrznodesantowej, to nie ukrywam, że jeszcze wiele jest do zrobienia. Chciałem to zmienić jako dowódca i mam nadzieję, że zajmując wyższe stanowisko, będę miał na to większe szanse. Jedną z kluczowych potrzeb jest pojazd aeromobilny, który nie będzie przeznaczony do walki, lecz do transportu uzbrojenia, amunicji czy zaopatrzenia.

Pojazdy są potrzebne też do ewakuacji medycznej.

Z pewnością tak, bo podczas lądowań zdarzają się urazy i trzeba zabrać z lądowiska kontuzjowanego żołnierza. Niesienie go na noszach opóźnia działanie pododdziału.

Pojawiły się informacje, że wojska aeromobilne mogą otrzymać opancerzone pojazdy kupione w ramach programu „Pegaz".

Sprawa się toczy. Nas najbardziej interesują lekkie pojazdy i inne wyposażenie, które możemy zrzucić na spadochronach. Siły zbrojne niektórych państw mogą wyposażyć swe jednostki aeromobilne w pojazdy opancerzone, bo mają możliwości ich przerzutu drogą powietrzną. Nasze zdolności w tej dziedzinie są ograniczone, choć zwiększa je polski udział w działaniach w układzie sojuszniczym.

Czy brygada powietrznodesantowa nie powinna mieć dywizjonu artylerii?

Nie ma takiej potrzeby, bo każdy z batalionów ma własne środki artyleryjskie. Poza tym nie zakładamy masowych desantów, z wyjątkiem działań w układzie sojuszniczym.

W takim razie, czy dobrym rozwiązaniem jest używanie moździerza kalibru 98 mm? Broń o tym kalibrze jest tylko w naszych arsenałach. Oznacza to brak wymienności amunicji.

Moim zdaniem moździerz kalibru 98 mm jest też zbyt ciężki. W Zarządzie Wojsk Aeromobilnych i Zmotoryzowanych trwają prace nad zmianami w tym zakresie, ale za wcześnie jeszcze na szczegóły.

Piętą achillesową wojsk aeromobilnych na razie jest broń przeciwpancerna. Zestawów Spike nie można desantować, więc pozostaje tylko stary granatnik RPG-7.

Wiemy, jak przygotować spike'a do desantowania i w 6 Brygadzie Powietrznodesantowej będą przeprowadzone takie próby. RPG-7 całkowicie wycofałbym z jednostek aeromobilnych. Jego walory bojowe są niewielkie, do tego po zużyciu amunicji żołnierz musi nieść nieprzydatną rurę, bo formalnie jest to przypisana mu broń etatowa. Przyszłością są granatniki jednorazowego użytku i w zarządzie również w tej sprawie są opracowywane wymagania.

Czy widzi Pan potrzebę wprowadzenia nowego munduru polowego, w nowym kamuflażu?

Spadochroniarzom bardziej przydałby się kombinezon, bo mundur obecnie używany nie do końca sprawdza się podczas skoków, nadaje się jedynie do szkolenia na ziemi. Kwestia kamuflażu jest sprawą drugorzędną. Ważniejszy od munduru jest żołnierz, który go nosi.

Polscy spadochroniarze mają długą tradycję.

Wywodzą się z 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej, która walczyła pod Arnhem. Patronem krakowskiej brygady jest jej były dowódca, gen. Stanisław Sosabowski. Jako formacja elitarna nasi żołnierze mają znakomity esprit de corps, a jednym z ważnych elementów tradycji jest bordowy beret.

Ale spadochroniarze gen. Sosabowskiego nosili szare berety…

Z tego, co wiem, to dlatego, że prawa do używania beretu bordowego odmówili im Brytyjczycy. Gdy w drugiej połowie lat pięćdziesiątych XX wieku zaczęło się formowanie 6 Dywizji Powietrznodesantowej, tworzący ją wojskowi, wśród których nie brakowało weteranów spod Arnhem, przeforsowali tę barwę, choć wówczas już kojarzyła się ona jednoznacznie z jednostkami spadochronowymi armii NATO. Gdyby ci ludzie czerpali inspiracje z innego kierunku, to barwa spadochroniarskich beretów byłaby inna. Należy pamiętać, że bordowy beret jest wyróżnikiem elitarnych jednostek spadochronowych na całym świecie, a w naszym kraju nosili go żołnierze, którzy oddali swe życie ojczyźnie w misjach zagranicznych, w tym w Afganistanie i Iraku. Z dumą wkładał go dowódca operacyjny, gen. broni Bronisław Kwiatkowski, który 10 kwietnia 2010 roku zginął w Smoleńsku. Generał przez lata służył w krakowskiej jednostce, a w latach 1997–2000 dowodził brygadą. ■

ZDERZENIA W JEDNOSTCE

BOGUSŁAW POLITOWSKI

W społeczności, w której panuje zasada jednoosobowego dowodzenia i spotykają się ludzie o mocnych charakterach, często dochodzi do spięć. Czasami przybierają one większy wymiar i sprawy trafiają do sądu.

Gdyby w kraju nadal obowiązywał kodeks honorowy Władysława Boziewicza z okresu międzywojennego, w armii dochodziłoby do kilkudziesięciu pojedynków rocznie. Dzisiaj w zmazywaniu plam na honorze sekundantów zastępują żandarmi, prokuratorzy i sędziowie, a zamiast na ubitej ziemi skonfliktowani żołnierze spotykają się w salach rozpraw.

WALKA CHARAKTERÓW

Dzisiejsza armia zawodowa różni się od powojennej, bazującej na poborze przymusowym. Do wojska trafiają sami ochotnicy. Zniknęła tzw. fala, dzieląca żołnierzy na dziadków, tych ze sporym stażem służbowym, i na kotów, czyli młodych. Skończył się też czas samowolnych oddaleń. Nagminne stało się najwyżej nadużywanie zwolnień lekarskich. W społeczności, w której panuje zasada jednoosobowego dowodzenia i spotykają się ze sobą ludzie o mocnych charakterach, często jednak dochodzi do spięć, utarczek i nieporozumień. Czasami tego typu zjawiska są długotrwałe i prowadzą do sytuacji, które mogą zakończyć jedynie czyjaś mediacja lub wyrok sądu.

Według informacji ppłk. Janusza Wójcika, rzecznika prasowego Naczelnej Prokuratury Wojskowej, w 2014 i 2015 roku toczyło się po kilkanaście postępowań karnych o przestępstwa przeciwko zasadom postępowania z podwładnymi, potocznie określanym jako stosunki międzyludzkie (czyny zawarte w XLI rozdziale „Kodeksu karnego"). Niewielka część z nich skończyła się skierowaniem aktu oskarżenia do sądu. Z roku na rok maleje także liczba takich spraw.

ZŁY DOWÓDCA

Pod koniec stycznia 2016 roku niektóre media poinformowały o tym, że Prokuratura Wojskowa we Wrocławiu wszczęła śledztwo w sprawie fizycznego i psychicznego znęcania się dowódcy nad swoimi podwładnymi. Miało to miejsce w jednej z dużych jednostek na zachodzie kraju. Sprawę śledczym zgłosił pewien oficer z pododdziału. W mediach podano, że chociaż przesłuchano kilkunastu żołnierzy, to jak dotąd obwinianemu dowódcy nie postawiono żadnych zarzutów. W informacji prasowej przypomniano, że za znęcanie się psychiczne i fi-

RAFAŁ MNIEDŁO/11 LDKPanc

W roku 2015 w wojskowych prokuraturach zakończono 12 postępowań karnych o przestępstwa przeciwko zasadom postępowania z podwładnymi, o których jest mowa w rozdziale XLI „Kodeksu karnego”. Cztery sprawy zakończyły się skierowaniem aktu oskarżenia do sądu, dwie przekazano do sądu z wnioskiem o warunkowe umorzenie postępowania, w jednym wypadku postępowanie umorzono z powodu braku danych uzasadniających podejrzenie. Trzy sprawy umorzono z uwagi na znikomą społeczną szkodliwość czynu, a dwie z powodu innych okoliczności wyłączających ściganie.

zyczne nad podwładnymi kodeks karny przewiduje karę pozbawienia wolności do lat pięciu.

Chociaż upłynęło trochę czasu od ukazania się tych informacji w mediach, prokuratura nadal nie wypowiada się jednoznacznie na ten temat. Trwają dalsze przesłuchania. „Sprawa jest delikatna”, wyjaśnia płk Longin Kulik, wojskowy prokurator garnizonowy we Wrocławiu. „Zgłoszone zarzuty nie są jednoznaczne. Chodzi o oficera sztabu dużego pododdziału i jego dowódcę. Nie mamy do czynienia z kapralem, który zbyt mocno przeczołgał szeregowego, lecz z ludźmi na ważnych stanowiskach. W grę wchodzą m.in. trwające zbyt długo rozliczenia finansowe za przedsięwzięcia służbowe. Musimy dokładnie zbadać, czy tego typu zachowania mają charakter mobbingu i czy wyczerpują znamiona przestępstwa psychicznego znęcania się nad podwładnym. Musimy być precyzyjni, zanim sformułujemy ewentualne zarzuty”.

W tego typu sprawach ostrożność przedstawicieli wojskowych organów ścigania nie dziwi. W ciągu minionych dwóch lat prowadzili kilka podobnych postępowań. W wielu z nich nie dopatrzono się znamion przestępstwa. Niektóre umorzono.

NA CIENKIEJ LINIE

W 2014 roku żandarmeria oraz wojskowi prokuratorzy z Wrocławia zajmowali się wnioskiem o pociągnięcie do odpowiedzialności karnej dowódcy jednej z kompanii rozpoznawczych. Podwładni zgłosili, że ich przełożony w stopniu porucznika podczas szkolenia narażał ich na utratę zdrowia i życia. Chodziło o zajęcia wspinaczkowe oraz o pokonywanie przeszkody wodnej.

Według kilku żołnierzy w trakcie szkolenia w górach oficer kazał podwładnym wspinać się po linie metodą jumarowania, nie zezwalając na użycie drugiej liny jako asekuracji. Gdy w toku prokuratorskiego postępowania wypowiedzieli się biegli, okazało się, że zajęcia były prowadzone zgodnie z wszelkimi zasadami bezpieczeństwa. Zarówno oni, jak i instruktor nadzorujący szkolenie orzekli, że jumarować można się na jednej linie i druga nie jest potrzebna. Składający skargi na dowódcę, po zapoznaniu się z tymi opiniami, zarzuty wycofali.

Nadal było jednak badane doniesienie na temat spływu pontonowego na rzece. Porucznik, dowódca kompanii rozpoznawczej, przyznał, że aby uatrakcyjnić zajęcia, istotnie go zorganizował. Miał świadomość, że jego podwładni nie mają co prawda kamizelek ratunkowych, ale stan wody w rzece był wówczas bardzo niski i tylko w niektórych miejscach wynosił 1,5 m głębokości.

Żołnierzom takie atrakcje w pododdziale najwyraźniej nie przypadły do gustu, bo zgłosili sprawę do żandarmerii. Nie podobało im się również to, że po bardzo nieudanym starcie w zawodach brygadowych dowódca zakazał im noszenia naszywek wojsk rozpoznawczych. Zarzucili również porucznikowi, że podczas apelu użył wobec nich obraźliwych słów. Prokuratorskie postępowanie w sprawie trudnych kontaktów zwiadowców z przełożonym toczy się wiele miesięcy. Jak dotąd, wygrywa przełożony, bo wielu żołnierzy skargi wycofało.

SŁOWA JAK POCISKI

O tym, że podwładnych można zranić słowem, przekonał się też kapitan, dowódca kompanii szkolnej jednej z wojskowych uczelni. Doświadczony, odnoszący wiele sukcesów oficer miał zwyczaj nie przebierać w słowach. Jego „wiązanki" początkowo nie robiły wrażenia na słuchaczach drugiego rocznika podchorążych, z czasem przestało im się to jednak podobać. Kilku zgłosiło sprawę komendantowi uczelni. Rektor przekazał ją żandarmerii, a ta pod nadzorem prokuratury wszczęła śledztwo. Zostali przesłuchani wszyscy podchorążowie pododdziału. Zarzuty się potwierdziły. I chociaż zdecydowana większość uważała, że wulgaryzmy przełożonego nie robią na nich wrażenia, sprawa trafiła na wokandę. Kapitan musiał zapłacić karę grzywny w wysokości 1,5 tys. zł na cele społeczne, zwrócić koszty postępowania i został poddany rocznej próbie. Ukaranie dyscyplinarne sąd powierzył komendantowi uczelni.

Sprawa kapitana trafiła do prokuratury m.in. dlatego, że podchorążych, jako kandydatów na oficerów, nie obowiązują zasady „Kodeksu honorowego żołnierza zawodowego Wojska Polskiego". Opisane wcześniej sprawy dotyczące oficera sztabu i żołnierzy pododdziału rozpoznawczego nie musiały jednak do niej trafić. Mogły zostać rozstrzygnięte w jednostce na mocy wspomnianego kodeksu. Składający skargi do wojskowych organów ścigania albo o tym nie wiedzieli, albo dla większego efektu woleli wkroczyć od razu na ścieżkę prawną, pomijając organy społeczne w swojej jednostce.

St. chor. sztab. Krzysztof Gadowski, starszy podoficer Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych, przyznał, że w jednostce, gdzie dochodziło do konfliktu zwiadowców z dowódcą kompanii, organa przedstawicielskie korpusu podoficerów nie były o tym informowane. „A szkoda, bo po to powołujemy mężów zaufania, po to mamy w jednostkach pomocników dowódców ds. podoficerów, aby takie konflikty szybko i skutecznie rozwiązywać", zapewnia chor. Gadowski.

KODEKS HONOROWY

Od marca 2008 roku w siłach zbrojnych obowiązuje „Kodeks honorowy żołnierza zawodowego Wojska Pol-

TRZY PYTANIA DO

Mariana Babuśki

Do prokuratury wojskowej trafia wiele spraw, co do których nawet laik powie, że nie wskazują na popełnienie przestępstw, a są najwyżej wynikiem nieporozumień między żołnierzami. Czy takimi przypadkami nie powinny zajmować się organa przedstawicielskie?

Oczywiście, że tak. W każdej jednostce funkcjonują zebrania poszczególnych korpusów zawodowych, których organami wykonawczymi są mężowie zaufania szeregowych, podoficerów i oficerów.

Instancjami nadrzędnymi są zgromadzenia mężów zaufania na poziomie rodzajów sił zbrojnych i najważniejszych instytucji. Organami wykonawczymi tych zgromadzeń są dziekani. Kolejne zgromadzenie jest na szczeblu instytucji centralnych i podlega ministrowi właściwemu ds. społecznych. Jak widać, jest to wielopoziomowa struktura, złożona z ludzi wybieranych przez żołnierzy i powołana do załatwiania spraw wojskowego środowiska. Mamy dużą moc sprawczą.

Skoro struktura jest tak dobra i różne sprawy żołnierskie mogą

DLA NIEKTÓRYCH ŻOŁNIERZY WYMAGAJĄCY DOWÓDCA JEST ZAGROŻENIEM...

skiego". Zawarto w nim zasady obowiązujące wojskowego w służbie i poza nią. W jednym z punktów dokumentu zapisano, że w sprawach o naruszenie godności osobistej żołnierze zawodowi powinni dążyć do polubownego załatwienia sporu zaistniałego między nimi. Na wypadek, gdyby się to nie udało, przewidziano ścieżkę postępowania. Sprawy sporne powinny trafić do męża zaufania korpusu, do którego należy pokrzywdzony. Jeżeli jest taka potrzeba, zebranie żołnierzy może powołać zespół arbitrów, któremu przewodniczy mąż zaufania lub dziekan danego korpusu zawodowego. Wyniki prac takiego zespołu są przedstawiane później na zebraniach żołnierzy korpusu i na forum zapada decyzja, czy wniosek pokrzywdzonego był zasadny. Jeśli zgłaszane zarzuty się potwierdzają, na tym samym zebraniu zapadają decyzje o konsekwencjach wobec sprawcy niehonorowego postępowania.

Jest kilka możliwości oddziaływania na winnego. Na zebraniu w formie uchwały można nakazać, aby winowajca przeprosił pokrzywdzonego, można zobowiązać go do naprawienia wyrządzonej szkody oraz do przestrzegania w przyszłości zasad honorowego postępowania. Bardziej dotkliwe konsekwencje przewidziane w kodeksie dotyczą wyłączenia winowajcy na czas określony z udziału w zebraniach żołnierzy korpusu. Uczestnicy zebrania mogą też podać uchwałę do wiadomości wszystkich przedstawicieli środowiska danego korpusu pododdziału lub nawet całej jednostki wojskowej.

ZŁO KONIECZNE?

Dlaczego w opisanych wcześniej sprawach pokrzywdzeni żołnierze z takiej możliwości nie skorzystali? Czy wynikało to z braku zaufania do organów przedstawicielskich? A może jest skutkiem nieznajomości „Kodeksu honorowego…"? Oficer z linii, dowódca kompanii pragnący zachować anonimowość, podaje inną przyczynę. „W armii, jak wszędzie, zdarzają się malkontenci, osoby roszczeniowe, mało kreatywne i wygodnickie. Ograniczają się do minimum i każde trudniejsze zadania czy nowe polecenie traktują jak zło konieczne. Wielu z nich sądziło, że w armii można łatwo zarabiać spore pieniądze, nie dając nic w zamian. Gdy zaczyna być ciężko, wszelkimi sposobami próbują się migać", argumentuje oficer.

Jego zdaniem, tacy podwładni psują atmosferę w pododdziale. Do swoich racji i negatywnego sposobu postępowania w służbie próbują przekonywać innych żołnierzy. Dla nich wymagający dowódca jest zagrożeniem. Starają się więc w pewien sposób go zdyskredytować. Jeżeli to się nie udaje, czasami sięgają do pomówień. Oficer dodaje, że tacy ludzie celowo pomijają organy przedstawicielskie. Mężowie zaufania korpusów doskonale znają sytuację i ludzi w jednostce, i w oskarżenia takie mogliby nie uwierzyć. Kiedy zgłaszają sprawy do organów ścigania, te z urzędu muszą je rozpatrywać. ■

trafić na sam szczyt władz wojskowych, to dlaczego żołnierze wolą zwrócić się do żandarmów i prokuratorów?

Przyznam, że nie potrafię tego zrozumieć. Może to świadczyć o złej pracy zebrania korpusu i męża zaufania w danej jednostce, a na przedstawiciela danego środowiska został wybrany ktoś nieodpowiedni. Może też być tak, że żołnierz pokrzywdzony nie zna „Kodeksu honorowego żołnierza zawodowego Wojska Polskiego" i swoich praw wynikających z tego dokumentu. A może, w niektórych wypadkach, świadomie i celowo pominął taką drogę.

A może ktoś nie ma po prostu zaufania do swoich przedstawicieli i uważa, że będą się starali zamieść sprawę pod dywan? Jeżeli ktoś występuje przeciwko swojemu dowódcy batalionu, to sprawa jest poważna.

Przypadki złych stosunków międzyludzkich, konfliktów między żołnierzami i tzw. sprawy honorowe trafiają nie tylko do prokuratury. My również mamy doświadczenie w ich rozwiązywaniu. Oprócz jednego, wszystkie zgłoszone ostatnio konflikty udało się nam załatwić polubownie. Wystarczyły rozmowy i mądra mediacja.

Mogę zapewnić, że podczas spotkań środowiskowych będziemy częściej zwracali uwagę żołnierzy na korzystanie z praw wynikających z kodeksu honorowego. Mówimy oczywiście o sferze etycznej, bo czymś innym są sprawy dotyczące wykroczeń związanych z ustawą o dyscyplinie, regulaminem, zakresem obowiązków czy paragrafami kodeksu karnego... ■

Płk MARIAN BABUŚKA jest przewodniczącym Konwentu Dziekanów Korpusu Oficerów Zawodowych.

WOJSKOWY INSTYTUT MEDYCZNY

ZAPRASZA NA SZKOLENIA

ZAAWANSOWANE ZABIEGI RESUSCYTACYJNE U OSÓB DOROSŁYCH

(ACLS - AMERICAN CARDIOVASCULAR LIFE SUPPORT)

Dla lekarzy, pielęgniarek, ratowników medycznych.
Dwa dni zajęć, małe grupy, instruktor na maksymalnie trzech kursantów.
Punkty edukacyjne: 11 - dla lekarza, 12 - dla ratownika medycznego.

MOŻLIWOŚĆ OTRZYMANIA MIĘDZYNARODOWEGO CERTYFIKATU AMERICAN HEART ASSOCIATION.

Terminy: 7-8 kwietnia, 21-22 kwietnia, 12-13 maja, 9-10 czerwca 2016 r.

DIAGNOSTYKA ULTRASONOGRAFICZNA W MEDYCYNIE RATUNKOWEJ

Dla lekarzy. Trzy dni zajęć praktycznych, w tym dyżury w Centrum Urazowym WIM, małe grupy.
Punkty edukacyjne: 21 - WIL, 21 - PTU.

MOŻLIWOŚĆ OTRZYMANIA OTRZYMANIA CERTYFIKATU WOJSKOWEJ IZBY LEKARSKIEJ ORAZ POLSKIEGO TOWARZYSTWA ULTRASONOGRAFICZNEGO.

Członkowie Wojskowej Izby Lekarskiej mają możliwość refundacji kosztów kursu i pobytu w WIM.

Terminy: 19-21 maja 2016 r.

Zgłoszenia, informacje dodatkowe:
CENTRUM KSZTAŁCENIA PODYPLOMOWEGO WIM, UL. SZASERÓW 128, 04-141 WARSZAWA
TEL. 665-707-430, 261-817-748, E-MAIL: KSZTALCENIE@WIM.MIL.PL

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Prosta prawda

Nie byliśmy ani bohaterami, ani najemnikami. Jesteśmy żołnierzami.

Ilu ludzi zabiłeś?” albo „Jak to jest zabić człowieka? Co wtedy czułeś?”. Takie pytania padają często. Byli przecież na wojnie, choć minęły długie miesiące, zanim politycy, którzy ich tam wysłali, przyznali, że to nie była misja stabilizacyjna. O tej wojnie weterani z Iraku i Afganistanu opowiadali w wypełnionej po brzegi sali galerii Ostrołęckiego Centrum Kultury podczas spotkania z uczniami Zespołu Szkół Zawodowych po projekcji filmu „Karbala” oraz z uczniami klas mundurowych w szkołach w Myszyńcu i Kadzidle. Tym razem nikt nie zapytał o zabijanie.

NIE TYLKO DZIURY

Sześciu weteranów przyjechało do Ostrołęki na zaproszenie władz miasta oraz Stowarzyszenia na rzecz Obrony Terytorialnej Legia Nadnarwiańska: sierż. Franciszek Jurgielewicz, st. chor. sztab. Mariusz Korner, kpt. Witold Kurtyka, Marek Rzodkiewicz, st. sierż. Adam Buszko oraz „Łysy”, żołnierz wojsk specjalnych. Przybyli, by opowiedzieć o tym, co przeżyli na misji. Była to już druga taka wizyta w Ostrołęce. Władze miasta we współpracy z Legią Nadnarwiańską postanowił zorganizować cykl spotkań misjonarzy z mieszkańcami. „To region o silnych tradycjach patriotycznych”, uważa Marek Rzodkiewicz, wiceprezes Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że chociaż nie ma tu jednostek wojskowych, to z Ostrołęckiego stowarzyszenie dostaje znaczące wsparcie – najwięcej wpłat z 1% od podatku.

Na pytanie, skąd taka inicjatywa, Janusz Kotowski, prezydent Ostrołęki, wskazuje na członka Legii Nadnarwiańskiej Adama Kiziewicza, który większość weekendów spędza na proobronnych ćwiczeniach w tamtejszych lasach. „To dla nas ważne, aby młodzież spotkała się z tymi, którzy jako świadkowie mówią o służbie ojczyźnie i poświęceniu. Wtedy opowieść dociera głębiej, bo jest prawdziwa”, podkreśla prezydent i mimo napiętego kalendarza zjawia się na każdym spotkaniu.

NORMALNI FACECI

„Chcieliśmy wam przybliżyć nasz wizerunek: nie bohaterów, ale też nie najemników, lecz żołnierzy, któ- →

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

NA PYTANIE, SKĄD TAKA INICJATYWA, JANUSZ KOTOWSKI, PREZYDENT OSTROŁĘKI, WSKAZUJE NA CZŁONKA LEGII NADNARWIAŃSKIEJ ADAMA KIZIEWICZA, KTÓRY WIĘKSZOŚĆ WEEKENDÓW SPĘDZA NA PROOBRONNYCH ĆWICZENIACH W TAMTEJSZYCH LASACH

rzy wykonują rozkazy", powtarzał na każdym spotkaniu Marek Rzodkiewicz. I wyjaśniał: żołnierz tym różni się od najemnika, że obowiązuje go prawo, że na misji może użyć broni tylko wtedy, gdy użyto jej wobec niego. „Siedzi przed wami kilku normalnych facetów… gdzie tu bohaterstwo?", dodawał Witold Kurtyka, by po chwili podkreślić: „Trzeba o nas mówić. Bohaterstwo powinno być gloryfikowane, ale jako symbol".

Marek Rzodkiewicz opowiadał o trudnych początkach. Wspominał, jak w 2008 roku 15 żołnierzy założyło stowarzyszenie, bo ranni na misji byli zdani głównie na własne siły. Mówił o rehabilitacji, bez której trudno byłoby im czasem wstać z łóżka, o warsztatach terapeutycznych, które pomagają uporać się z demonami wojny. Do opowieści włączali się pozostali. Mówili o służbie z dala od kraju, o broni i sprzęcie, z jakich korzystali, o bazach, w których mieszkali. Padały także pytania o motywację i siłę, która pozwalała im pokonać strach.

Każdy z nich uczestniczył w operacjach poza granicami kraju, niektórzy nawet kilkakrotnie. Dopisało im żołnierskie szczęście, bo wrócili do domów, choć często z ranami na duszy i ciele. Mariusz Korner, ciężko ranny w Afganistanie, przeszedł 22 operacje, rok spędził w łóżku, a trzy lata na zwolnieniu. „Wróciłem, ale nie cały" – Franek Jurgielewicz lekko uniósł nogawkę spodni. Błysnął metal protezy. Nogę stracił w Afganistanie.

Obraz, czyli fotografie i filmy nakręcone na misji przemawiają bardziej niż słowa. Dlatego weterani przygotowali prezentacje multimedialne. Na jednym ze zdjęć, które pokazuje Witold Kurtyka, widać przewróconego honkera, powyginane kawałki metalu przypominają plątaninę pociętych kabli. „Jechałem tym samochodem na służbę na posterunku w Al-Hilli", wtrąca Marek Rzodkiewicz. Iraccy rebelianci przez radio odpalili pod nim „ajdika". Zginęło dwóch żołnierzy, dwóch zostało rannych.

CISZA W KINIE

Adama Buszkę, który ponad 24 godziny spędził pod ostrzałem irackich rebeliantów atakujących City Hall, nie zaskoczyła cisza, która zapadła w kinie ostrołęckiego centrum, gdy znikły napisy końcowe filmu „Karbala". Twierdzi, że często powtarza się podobny scenariusz: najpierw jest cicho, potem słychać pojedyncze brawa, a po chwili klaszcze cała sala. Czasem ktoś ukradkiem obetrze wilgotne oczy. „Te brawa są dla mnie podziękowaniem i wyrazem uznania", przyznaje. Potem padają pytania: dlaczego pojechał, czy był ranny, z jakiej broni strzelał, czy się bał?

Adam Buszko broni się, gdy ktoś nazywa go bohaterem, bo on przecież „tylko obronił budynek". Wskazuje na innych. Dla niego bohaterami są ranni koledzy, Franciszek Jurgielewicz (stracił nogę, gdy wszedł w Afganistanie na minę) albo Janusz Raczy (stał na posterunku w Iraku, gdy wjechał w niego autobus), którzy mimo własnych ułomności angażują się w prace stowarzyszenia i pomagają innym.

Takie produkcje jak „Karbala" służą budowaniu prawdziwego obrazu naszych żołnierzy – uczestników misji. Choć jest to film fabularny, wiele szczegółów zostało doskonale odwzorowanych. Adam opowiadał, że gdy zapadał zmrok, zaczynały ujadać psy, wtedy rozpoczynał się ostrzał. Na budynek City Hall spadał grad pocisków z moździerzy, granatników ręcznych przeciwczołgowych RPG-7 oraz karabinków AK-47. O świcie wszystko cichło. „Dostaliśmy rozkaz, by obronić City Hall, siedzibę irackich władz. Wykonaliśmy go", kończył opowieść. Żołnierzy obowiązywała klauzula milczenia, nie mogli mówić o obronie Karbali. Dlatego gdy w lipcu 2004 roku w Iraku wylądował kpt. Witold Kurtyka, nikt mu nie powiedział, co się stało w City Hall. Prawda wypłynęła dopiero po kilkunastu latach.

Jedno z pytań, które zazwyczaj pada na spotkaniach z weteranami, dotyczy kolejnego wyjazdu na misję. Nigdy nie słyszałam innej odpowiedzi, niż „mogę jechać, choćby jutro". Tym razem odpowiedział „Łysy": „za cztery godziny jestem gotowy do wyjazdu".

Dzięki takim spotkaniom jak w Ostrołęce do społecznej świadomości przebija się prosta prawda: za to, co polscy żołnierze robili na misjach, należy im się szacunek, a gdy tego potrzebują – także wsparcie. ■

JAROSŁAW RYBAK

Trzy sposoby

Wiele w wojsku się zmienia. Mam nadzieję, że metamorfozę przechodzą też sposoby komunikowania się podwładnych z przełożonymi. Te, które robiły na mnie największe wrażenie, dzielę na trzy kategorie.

Kategoria pierwsza: zawsze przyznajemy rację obecnemu przełożonemu, czyli „ty kamandir – ja durak, ja kamandir – ty durak". To obowiązywało w carskiej armii, ale sprawdza się do dziś. Największy szkopuł polega na tym, żeby odpowiednio odczytać oczekiwania „góry".

Kategoria druga: zaskakujemy przełożonego wiedzą profesjonalną. To dotyczy kontaktów z osobami, które do MON-u przyszły z zewnątrz i nie miały okazji poznać wojska od podszewki. Przykładów nie brakuje. W 2006 roku napisałem, że jedyna nasza brygada spadochronowa nie ma spadochronów. Opisana sytuacja była na tyle absurdalna, że wzbudziła zainteresowanie ówczesnego – młodego stażem – ministra obrony. Kilka dni po publikacji dostałem oficjalne sprostowanie z MON-u. Z pisma wynikało, że spadochronów mamy w wojsku za dużo. Sprawdziłem u źródła. Okazało się, że ministra wprowadzono w błąd. Pisząc najprościej: w obawie przed pytaniami szefa resortu pośpiesznie zmieniono etat brygady. Wcześniej wymagano wykonywania skoków od żołnierzy całej brygady, a po artykule ktoś wpadł na pomysł, że tylko jeden batalion będzie „spadochronowy", a pozostałe – „desantowo-szturmowe". Po przeliczeniu spadochronów w brygadzie i przydzieleniu ich do jednego batalionu okazało się, że jest ich nadmiar. Minister przyjął do wiadomości wyjaśnienia i nie wyciągał wniosków wobec ludzi kreatywnie podchodzących do statystyk. W 2007 roku wybuchła afera związana z zamówieniem do Afganistanu najsłabiej opancerzonych, amerykańskich pojazdów Humvee. Najprawdopodobniej błąd popełnił oficer, który pomylił klasy odporności i poprosił o te łatwe do zniszczenia „ajdikami". Miałem okazję słuchać, jak jeden z generałów tłumaczył ówczesnemu ministrowi obrony, że zamówiono lekko opancerzone pojazdy, ponieważ w Afganistanie działają… siły lekkie, dlatego nie mogą być mocno opancerzone. Akurat ten minister z dystansem podszedł do absurdalnych wyjaśnień i generał musiał pożegnać się z mundurem. Choć w mediach stał się ofiarą czystek „nowej władzy", to prawda była banalna – w żenujący sposób próbował tłumaczyć oczywiste błędy.

Kategoria trzecia: „zmiękczając" przełożonego, próbujemy ośmieszyć jego działania. W 2007 roku szef sekretariatu MON-u przygotował dokumenty, z których wynikało, że żołnierze służący w ministerstwie i instytucjach centralnych mają w czasie służbowym mieć na sobie mundury. Wcześniej powszechnym strojem w pracy był ubiór cywilny. Żołnierze mieli jeden dzień chodzić w mundurach polowych, a cztery dni – w wyjściowych. Decyzję adresowaną do „urzędów centralnych" ktoś rozesłał do wielu jednostek liniowych. Tam zaś żołnierze doszli do wniosku, że w MON-ie ktoś zwariował, bo minister nakazywał im przez cztery dni paradować w mundurach wyjściowych. Sprawę udało się szybko wyjaśnić, a nadgorliwcowi odbiła się czkawką.

Dlaczego zasady opisane w tych trzech kategoriach można było przez lata skutecznie stosować? Bo często obu stronom to nie przeszkadzało. Jedni udawali, że nie oszukują, drudzy – że nie są oszukiwani. ■

JAROSŁAW RYBAK JEST PUBLICYSTĄ ZAJMUJĄCYM SIĘ PROBLEMATYKĄ BEZPIECZEŃSTWA. AUTOREM KSIĄŻEK O POLSKICH JEDNOSTKACH SPECJALNYCH. BYŁ RÓWNIEŻ RZECZNIKIEM PRASOWYM MON I BBN.

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

CO Z KONTRAKTEM?

Sprawa dotyczy mojego podwładnego w stopniu szeregowego, któremu w kwietniu przyszłego roku kończy się kontrakt. Z opinii służbowej otrzymał ocenę bardzo dobrą, niestety egzaminu z wychowania fizycznego, z powodu kontuzji nabytej w czasie sprawdzianu, nie zdał. Nie wiedział też o możliwości zwolnienia się z niego w trakcie jego trwania. W kadrach uzyskał informację, że dowódca nie może przedłużyć kontraktu, ponieważ w kolejnym okresie opiniowanym nie uzyska minimum dobrej oceny (otrzymanie dwói z WF-u spowoduje, że ogólna ocena nie może być wyższa niż dostateczna). Czy zatem istnieje przepis, który umożliwiłby temu żołnierzowi kontynuowanie służby w ramach kolejnego kontraktu?

➔ **Zawarcie kontaktu nie jest możliwe.** Powyższą kwestię regulują przepisy ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych. Nie ma wątpliwości, że warunkiem zawarcia kolejnego kontraktu z żołnierzem jest ogólna ocena co najmniej dobra w ostatniej opinii służbowej. Przepis ten ma charakter obligatoryjny, a tym samym bez spełnienia określonych wymogów nie można zawrzeć z żołnierzem kolejnego kontraktu na pełnienie służby.

Należy nadmienić, że w opisywanej sytuacji żołnierz popełnił błąd polegający na braku skorzystania przez niego z możliwości zwolnienia go od zdawania egzaminu ze sprawności fizycznej. Regulacje na ten temat zostały zawarte w rozporządzeniu ministra obrony narodowej w sprawie przeprowadzania sprawdzianu sprawności fizycznej żołnierzy zawodowych. W myśl tego rozporządzenia dokumenty stanowiące podstawę zwolnienia ze sprawdzianu sprawności fizycznej żołnierz zawodowy przedstawia dowódcy jednostki wojskowej nie później niż w ciągu siedmiu dni od dnia ich wystawienia. Ten natomiast przyczynę zwolnienia ogłasza w rozkazie dziennym jednostki. Gdyby żołnierz skorzystał z tej możliwości, teraz mógłby liczyć na pozytywne rozpatrzenie jego wniosku. ■

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (DzU 2010 nr 90, poz. 593 z późn. zm.) – art. 15 ust. 3; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie przeprowadzania sprawdzianu sprawności fizycznej żołnierzy zawodowych z 12 lutego 2010 roku (DzU nr 27 poz. 138; tekst jednolity DzU 2014 poz. 848) – §1 pkt. 3, §10 ust. 1–2.

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej" mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

CZY TO NADGODZINY?

Dowódca jednostki pisemnym rozkazem zlecił pracę po godzinach służbowych – trzy dni po godzinie, czyli dodatkowe trzy godziny w tygodniu. Zaznaczył jednocześnie, że są to godziny nie do oddania. Czy w praktyce są to nadgodziny? Rozkaz dotyczy około 100 żołnierzy jednostki.

➔ **Rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych przewiduje, że w uzasadnionych okolicznościach żołnierz może zostać zobowiązany do wykonywania zadań w czasie przekraczającym czas służby określony w §4, ale tylko zgodnie z normą określoną w przepisach ustawy pragmatycznej.** W niej z kolei zapisano, że zadania służbowe żołnierzy zawodowych powinny być ustalane przez przełożonych w sposób pozwalający na ich wykonywanie w ramach 40 godzin służby w tygodniu. Wykonywanie zadań służbowych nie może przekraczać przeciętnie 48 godzin w tygodniu w czteromiesięcznym okresie rozliczeniowym. W zamian za czas służby przekraczający 40 godzin służby w tygodniu żołnierzowi zawodowemu przysługuje czas wolny.

W sytuacji opisywanej przez autora pytania będzie miał zastosowanie przepis §8 ust. 1 rozporządzenia. Według niego żołnierzowi, który na polecenie dowódcy jednostki wojskowej lub osoby upoważnionej przez tego dowódcę wykonywał zadania służbowe w wymiarze przekraczającym w danym tygodniu czas służby określony w §4, udziela się czasu wolnego w tym samym wymiarze czasowym. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 60 ust. 2; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych z 26 czerwca 2008 roku (DzU nr 122 poz. 786) – §4, 6, 8.

PRZEMUNDUROWANIE

Czy mogę chodzić w mundurze otrzymanym podczas służby w siłach powietrznych, jeśli teraz jestem w wojskach lądowych?

➔ **Kwestię tę regulują przepisy rozporządzenia ministra obrony narodowej w sprawie umundurowania i wyekwipowania żołnierzy zawodowych i żołnierzy pełniących służbę kandydacką.** Jest w nim mowa o tym, że żołnierz zawodowy wyznaczony na stanowisko służbowe w jednostce wojskowej rodzaju sił zbrojnych, w którym obowiązuje odmienny kolor mundurów, nie dostaje dodatkowo umundurowania i wyekwipowania. Przemundurowanie następuje z upływem okresu używalności wydawanych przedmiotów. Ponadto żołnierz może być przez dowódcę (szefa, komendanta) jednostki wojskowej zwolniony z tego obowiązku, jeśli skieruje taki wniosek.

W praktyce oznacza to, że przemundurowanie następuje dopiero z chwilą, gdy minie okres użytkowania munduru obowiązującego w siłach powietrznych. Żołnierz może również uzyskać zgodę na jego noszenie po tym okresie. Zgoda taka ma charakter decyzji uznaniowej dowódcy jednostki wojskowej.

Okresy używalności przedmiotów umundurowania reguluje w sposób ogólny treść §13 rozporządzenia. Jest w nim mowa o tym, że okres używalności umundurowania i wyekwipowania, wchodzącego w skład ubioru polowego, ćwiczebnego i specjalnego, liczy się od roku zaopatrzeniowego, w którym zostało pobrane, do roku, w którym mija okres używalności. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie umundurowania i wyekwipowania żołnierzy zawodowych i żołnierzy pełniących służbę kandydacką z 31 października 2014 roku (DzU 2014 poz. 1615) – §11, 13.

MIĘDZYNARODOWE TARGI MEDYCYNY WOJSKOWEJ I RATUNKOWEJ

MIL MED EXPO

22-23 KWIETNIA 2016
WARSZAWA

WWW.MME.ZTW.PL

DOKUMENTACJA MEDYCZNA

Podczas misji uległem wypadkowi. Przebywam pod stałą opieką lekarzy. Obecnie chciałbym skonsultować mój przypadek z innym specjalistą. Czy szpital, w którym się leczę, ma obowiązek wydać mi dokumentację medyczną dotyczącą mojego stanu zdrowia?

➔ **Obowiązek udostępnienia dokumentacji medycznej spoczywa na wszystkich podmiotach udzielających świadczeń zdrowotnych,** bez względu na to, czy jest to szpital publiczny, niepubliczny zakład opieki zdrowotnej, czy też mamy do czynienia z indywidualną lub grupową praktyką lekarską.

Pacjent w każdej chwili jest uprawniony do wglądu do dokumentacji, bez wnoszenia opłat, w siedzibie podmiotu udzielającego świadczeń zdrowotnych. Ponadto może żądać sporządzenia wyciągów, odpisów lub kopii, jednakże wówczas musi się liczyć z kosztami: za jedną stronę wyciągu lub odpisu dokumentacji medycznej – do 7,89 zł, za jedną stronę kopii dokumentacji – do 0,79 zł, za sporządzenie wyciągu, opisu lub kopii dokumentacji na elektronicznym nośniku danych – do 7,89 zł. Stawki te wynikają z przepisów.

Co do zasady tylko pacjent może uzyskać swoją dokumentację. Wyjątek stanowią pacjenci małoletni i ubezwłasnowolnieni – wtedy uprawnienie to przysługuje ich przedstawicielowi ustawowemu. Ponadto prawo dostępu do dokumentacji będzie miała osoba upoważniona przez pacjenta, przy czym wymaga się, aby było to upoważnienie pisemne.

Podmiot leczniczy może także udostępnić dokumentację medyczną wielu instytucjom w ramach prowadzonych postępowań i wykonywania obowiązków: innym podmiotom udzielającym świadczeń zdrowotnych, organom władzy publicznej, Narodowemu Funduszowi Zdrowia, organom rentowym i orzekającym o niepełnosprawności, sądom, prokuraturom.

Prośbę o udostępnienie dokumentacji medycznej pacjent lub osoba uprawniona może zgłosić bez względu na to, czy pacjent zakończył już leczenie w danej placówce, czy nie. Jednak należy pamiętać, że podmioty lecznicze przechowują ją przez określony czas. Regułą jest obowiązek przechowywania dokumentacji przez 20 lat od roku, w którym dokonano ostatniego wpisu. Zdjęcia rentgenowskie są przechowywane przez okres krótszy, bo tylko dziesięć lat, a skierowania na badania lub zlecenia lekarskie jedynie pięć lat. Po upływie tego czasu dokumentacja jest niszczona. Warto więc się zabezpieczyć i wcześniej skierować prośbę o wydanie kopii dokumentacji, w szczególności, gdy jesteśmy pacjentami borykającymi się z długotrwałą chorobą. ■

IZABELA STELMACH, prawnik
Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa

URLOP

Jestem podoficerem z dwunastoletnią wysługą. Na misji poza granicami państwa byłem w 2009 roku. Z tego tytułu mam status weterana i legitymację od 2012 roku. Czy należy mi się dodatkowy, pięciodniowy urlop wynikający z ustawy o weteranach? Jeśli tak, to co z urlopem za poprzednie lata?

➔ **Urlop nie może zostać przyznany.** Należy podkreślić, że urlop, o którym wspomina w swojej wypowiedzi autor pytania, należy się wyłącznie pracownikowi-weteranowi oraz weteranowi poszkodowanemu pozostającemu w stosunku pracy. Przyjmując, że autor pytania nadal pozostaje w stosunku służbowym zawodowej służby wojskowej – urlop taki mu się nie należy.

Zgodnie z art. 35 ust. 1 ustawy o weteranach działań poza granicami państwa z 19 sierpnia 2011 roku weteranowi oraz weteranowi poszkodowanemu pozostającemu w stosunku pracy przysługuje dodatkowy urlop wypoczynkowy w wymiarze pięciu dni w roku kalendarzowym. Urlop ten się nie należy, jeżeli weteran lub weteran poszkodowany ma prawo do urlopu wypoczynkowego w wymiarze przekraczającym 26 dni w roku kalendarzowym.

Prawo do pierwszego dodatkowego urlopu powstaje z dniem, gdy decyzja administracyjna o przyznaniu statusu weterana lub weterana poszkodowanego staje się ostateczna, przy czym jego realizacja może nastąpić nie wcześniej niż z dniem przedstawienia pracodawcy tej decyzji. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawa prawna: ustawa o weteranach działań poza granicami państwa z 19 sierpnia 2011 roku (DzU 2011 nr 205 poz. 1203) – §35 ust. 1–3.

Drodzy Czytelnicy, jeśli macie pytania dotyczące przepisów prawnych dla weteranów, przysyłajcie je na adres: niezbednik@zbrojni.pl

NIEZBĘDNIK / Z WOKANDY

Dodatek dla nurka

Eksperymentalne nurkowania wykraczały poza zwykłe obowiązki służbowe żołnierza.

Sprawa dotyczyła żołnierza zawodowego, który z racji zajmowanego stanowiska oraz obowiązków zleconych przez przełożonych wykonywał trzy nurkowania na głębokość większą niż 50 m w sprzęcie o półzamkniętym obiegu czynnika oddechowego przy użyciu sztucznych mieszanin oddechowych, w łącznym wymiarze dwóch godzin i dziewięciu minut. Odbywało się to w ramach projektu Zakładu Technologii Prac Podwodnych Akademii Marynarki Wojennej, na który MON przeznaczyło gratyfikację finansową.

Dowódca jednostki uznał jednak, że żołnierzowi nie należy się dodatek specjalny. Jego wypłata byłaby możliwa wtedy, gdyby wykonywał on czynności wykraczające poza czynności służbowe na zajmowanym stanowisku. Tymczasem żołnierz miał wpisane w zakresie obowiązków nurkowanie eksperymentalne. Można by mu było wypłacić jedynie dodatkowe wynagrodzenie na podstawie rozporządzenia ministra obrony narodowej z 7 kwietnia 2004 roku.

Żołnierz nie zgodził się z takim stanowiskiem. Podkreślił, że wykonywanie nurkowań doświadczalnych wykracza poza zwykłe obowiązki służbowe. Sąd uznał racje żołnierza, a ponadto podkreślił, że sprawy nie rozpoznano w należyty sposób, ponieważ nie przeprowadzono dokładnej analizy specyfikacji technicznej sprzętu do nurkowania. A to mogłoby uzasadniać uznanie sprzętu za doświadczalny, co stanowiłoby podstawę do zwiększenia dodatku specjalnego.

W październiku 2015 roku Wojewódzki Sąd Administracyjny w Szczecinie wydał wyrok (sprawa o sygn. akt. II SA/Sz 409/15), na mocy którego w całości uchylił decyzję dowódcy jednostki wojskowej w sprawie odmowy przyznania żołnierzowi prawa do zwiększenia dodatku specjalnego o 0,30 mnożnika kwoty bazowej z tytułu wykonywania nurkowań w głębinowym sprzęcie nurkowym, zasilanym mieszaniną oddechową. Wyrok nie jest prawomocny. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Uchylenie orzeczenia

Żołnierz nie zgadzał się z komisją lekarską, która uznała, że jest on niezdolny do służby.

Dowódca jednostki wojskowej skierował żołnierza zawodowego do komisji lekarskiej, gdzie uznano, że jest on trwale niezdolny do służby. Wojskowy odwołał się od orzeczenia pierwszej instancji do Centralnej Wojskowej Komisji Lekarskiej w Warszawie. Ta jednak utrzymała w mocy zaskarżone orzeczenie, a jednocześnie uznała, że nie ma potrzeby, aby ponownie badać orzekanego, ponieważ wyniki badań przeprowadzonych uprzednio są wystarczające do wydania orzeczenia ostatecznego.

Żołnierz nie zgodził się z takim stanowiskiem, uznając, że ma prawo do tego, aby przebadały go dwie niezależne od siebie komisje lekarskie. Taki też zarzut postawił w swojej skardze do sądu administracyjnego. Sąd początkowo oddalił skargę żołnierza, uznając, że nie może on kontrolować procedury orzekania komisji lekarskiej. Żołnierz zaskarżył wyrok sądu pierwszej instancji do Naczelnego Sądu Administracyjnego w Warszawie, a ten przyznał mu rację, polecając, aby sprawa została jeszcze raz rozpoznana. Przy ponownym procedowaniu sąd uznał jednak racje żołnierza i uchylił orzeczenia zarówno CWKL, jak i pierwszej instancji.

W styczniu 2016 roku Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie po rozpoznaniu sprawy (sygn. akt. II SA/Wa 1588/15) ze skargi żołnierza zawodowego w przedmiocie zwolnienia z zawodowej służby wojskowej uchylił orzeczenia komisji wojskowych obu instancji w części dotyczącej zdolności do służby. Ostatecznie pozycja prawna żołnierza jest taka, jak przed zwolnieniem ze służby w wojsku. Wyrok nie jest prawomocny. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

EKSTREMALNE KULINARIA / ŁATWE

Sałatka z mleczem

Dwie garście liści mlecza, awokado, dwa jajka na twardo, kawałek parmezanu, sok z cytryny, dwa ząbki czosnku, dwie łyżki oliwy, łyżeczka musztardy, filet anchois, sól i pieprz

Obieramy awokado i kroimy na plasterki, jajka kroimy w ósemki. Ucieramy na emulsję musztardę, czosnek i filet anchois, dodajemy oliwę i sok z cytryny. Doprawiamy solą i pieprzem. W salaterce układamy liście mlecza, awokado, jajka, polewamy sosem, posypujemy wiórkami parmezanu.

Mniszek, czyli mlecz, znajdziemy na łąkach, miedzach, polach, przydrożach. Zbieramy na przedwiośniu najmłodsze liście z roślin, które nie mają jeszcze kwiatów. Aby pozbawić liście goryczki, warto je wybielić, przykrywając folią lub garnkiem, albo wymoczyć przez pół godziny w słonej wodzie. Młode liście mlecza mają pikantny smak. Robi się z nich popularną we Francji sałatkę z musztardowym winegretem. Mniszek zawiera witaminy A, B i C oraz potas, magnez i krzem. Roślina ma działanie oczyszczające, wzmacniające i odtruwające. Zwiększa ilość żółci, normalizuje proces trawienia, a syrop z kwiatów jest środkiem na kaszel. AD ■

Z ŻOŁNIERSKIEGO KOTŁA

PIOTR BERNABIUK

Wielka wyżerka

Dawno, dawno temu… Nasza kompania mniej więcej trzy razy w miesiącu obejmowała służby w jednostce. Żołnierze odpowiedzialni i niebojący się ciemności wypełniali obowiązki wartownicze. Pozostali… różnie. Nie cierpieliśmy np. obieraka. Odzieranie ze skóry ziemniaków tępymi nożami z niezbędników trwało nieraz do bladego świtu. A świtem przychodził kucharz z fochami, że niedokładnie, że zostały oczka, że coś tam.

Nie było jednak większego upodlenia od służby w kuchni. Kuchnia była jedynym miejscem, w którym młody kucharz, „kot" w białym kitlu, mógł sponiewierać starego żołnierza. Cóż, nie było wyjścia, szorowaliśmy gary, dźwigaliśmy wory, walczyliśmy na zmywaku z syfem, wykonywaliśmy najdurniejsze prace na polecenie tychże kucharzy… Nie było szansy podskoczyć, bo zaraz nas pod…ł do swego szefa, ten do naszego szefa, a w efekcie tego podczas kolejnej służby lądowało się ponownie w rękach parzygnatów. A przecież byliśmy starym wojskiem, zasługującym na szacunek. Fanaberie i zagrywki kuchennego kociarstwa nie mogły ujść bezkarnie.

Zauważyliśmy pewnego razu, że nasi gnębiciele przygotowują fuchę. Rąbiąc padlinę na porcje, odkładali co lepsze kawałki. Wyraźnie szykował się bankiet! Mięsko zanurzyło się w panierce, wyzłociło na patelni, zapachniało przyprawami… Chłopaki były mistrzami godnymi złotej patelni! My również, tyle że w zupełnie innej konkurencji. Kucharze zabunkrowali fuchę w podręcznym magazynku, a drzwi zamknęli za nią na klucz. Zapomnieli o oknie! Wdarliśmy się tam w środku nocy. W chwilę później ogłosiliśmy w kompanii cichy alarm… No cóż, jak jest piwo (zdobycz chłopaków z plutonu alarmowego), to można mięsko jeść bez chleba. A kucharze? Co, mieli się poskarżyć? ■

/ TRUDNE

Zupa z podagrycznikiem

Szklanka posiekanych liści podagrycznika, trzy duże cebule, 0,5 kg mięsa z kurczaka z kośćmi, pęczek włoszczyzny, dwa liście laurowe, trzy ziarna ziela angielskiego, dwa ząbki czosnku, pół szklanki pęczaku, sól, pieprz, olej do smażenia, łyżka soku z cytryny

Mięso zalewamy 1,5 l wody. Dodajemy obraną i umytą włoszczyznę oraz nieobraną cebulę, liście laurowe, ziele angielskie, gotujemy na małym ogniu około 40 minut. W tym czasie osobno gotujemy pęczak, a pozostałą cebulę kroimy i szklimy na oleju. Do cebuli dodajemy posiekany czosnek i podagrycznik, doprawiamy solą, pieprzem i sokiem z cytryny, chwilę smażymy. Mięso i warzywa wyjmujemy z zupy, drobno kroimy. Łączymy razem wywar, warzywa, owoce i podagrycznik, jeszcze chwilę dusimy.

Podagrycznik rośnie w całym kraju w wilgotnych miejscach. Jadalne są jego młode liście. Roślina zawiera m.in. witaminę C, żelazo, wapń i potas. Ma właściwości regenerujące i odtruwające. AD ■

PAWEŁ HENSKI

ATOM POD LUPĄ

Kryzys, który w ostatnich latach dotknął amerykańskie siły atomowe, pokazał, jak trudne jest zachowanie zimnowojennych standardów w pozimnowojennej rzeczywistości.

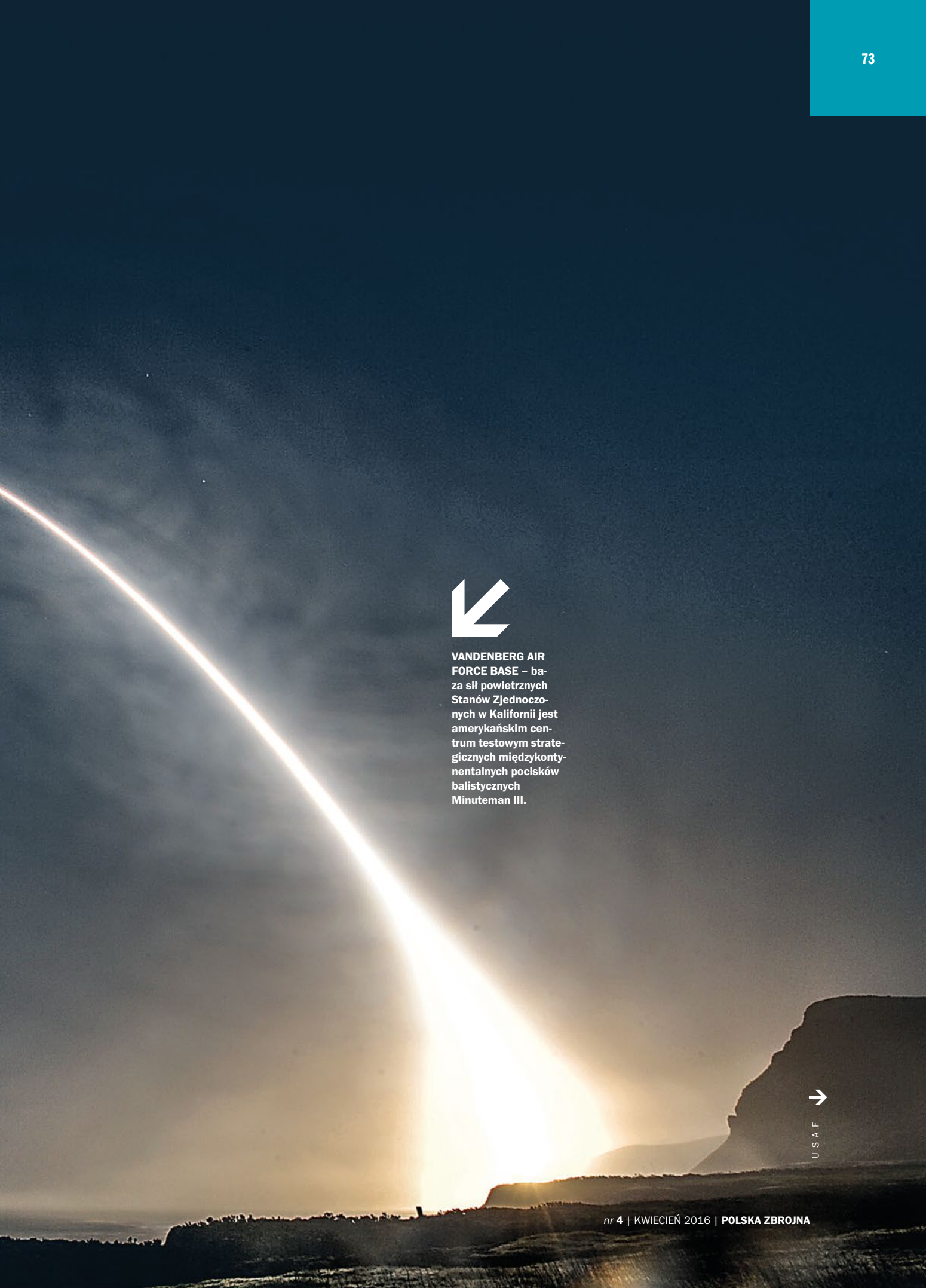

VANDENBERG AIR FORCE BASE – baza sił powietrznych Stanów Zjednoczonych w Kalifornii jest amerykańskim centrum testowym strategicznych międzykontynentalnych pocisków balistycznych Minuteman III.

USAF

Pierwszy i chyba najpoważniejszy objaw kryzysu miał miejsce w sierpniu 2007 roku w bazie sił powietrznych Minot. To tam przez pomyłkę podwieszono pod skrzydłem bombowca B-52 sześć pocisków samosterujących AGM-129 uzbrojonych w głowice termojądrowe. Załoga, nie wiedząc, że są to uzbrojone pociski, wykonała przelot do bazy Barksdale, gdzie po wylądowaniu bombowiec czekał na rozładunek przez dziesięć godzin i nie był specjalnie strzeżony ani zabezpieczony. Sześć głowic atomowych pozostawało poza systemem kontroli i nadzoru przez 36 godzin. W kolejnych latach w jednostkach międzykontynentalnych rakiet balistycznych (ICBM) zaczęto odnotowywać spadek dyscypliny oraz zaniedbania związane z procedurami bezpieczeństwa. Zdarzały się zaśnięcia na służbie, nienależyte zabezpieczanie książek kodowych, pozostawianie otwartych drzwi do tzw. kapsuł bojowych, w których dyżurują oficerowie odpowiedzialni za odpalanie rakiet.

Siły powietrzne odpowiedziały na tę sytuację wzmożonymi kontrolami w jednostkach atomowych oraz zwiększeniem częstotliwości testów kompetencyjnych i proceduralnych. Działania te doprowadziły do ujawnienia kryzysu, który od lat narastał w siłach atomowych. Jednostki rakietowe podlegające bazom Minot oraz Malmstrom miały problemy, żeby pozytywnie przejść kontrole bezpieczeństwa. Kilkunastu oficerom cofnięto certyfikaty i odsunięto ich od służby operacyjnej. Wielu miało trudności z zaliczeniem testów z procedur operacyjnych – popełniali błędy „szczebla taktycznego". Pod koniec 2013 roku ujawniono nielegalne posiadanie narkotyków przez kilku oficerów. Śledztwo w tej sprawie przez przypadek doprowadziło do odkrycia, że kilkudziesięciu oficerów oszukiwało lub wiedziało o oszukiwaniu na egzaminach z procedur operacyjnych. Afera ze ściąganiem na testach objęła wszystkie jednostki rakiet ICBM. Ponowne sprawdziany oraz różny stopień recertyfikacji musiało przejść ponad 500 oficerów. Kontrole oraz ćwiczebne alarmy wykazały również często niedostateczne przygotowanie jednostek ochrony baz i silosów atomowych.

Skandal nie ominął też najwyższego dowództwa. W 2013 roku z powodu nadużywania alkoholu i niestosownego zachowania podczas delegacji zagranicznej ze służby został zwolniony dowódca 20 Armii Powietrznej, której podlega amerykański arsenał rakiet ICBM.

UTRATA PRESTIŻU

Do kryzysu w amerykańskich siłach atomowych doszło na skutek kilku czynników, które nawarstwiły się w ciągu ostatniego ćwierćwiecza od zakończenia zimnej wojny. W 1959 roku zostało utworzone Dowództwo Operacji Strategicznych (SAC), któremu podlegały jednostki bombowców strategicznych oraz rakiet ICBM. SAC, na którego czele stanął niezwykle charyzmatyczny gen. Curtiss LeMay, miało w Pentagonie bardzo wysoki status. Misja odstraszania atomowego w obliczu napiętych stosunków z ZSRR była postrzegana jak służba pierwszoliniowa – w każdej chwili mogło przecież dojść do wojny atomowej. Gotowość bojowa, jakość wyszkolenia i procedury bezpieczeństwa stały na najwyższym poziomie w każdym z elementów atomowej triady. Służba w jednostkach ICBM wiązała się z prestiżem – zapewniała pewną ścieżkę kariery, a dowódcy oddziałów rakietowych mieli gwarantowane stanowiska na najwyższych szczeblach w Pentagonie oraz sztabie generalnym.

Odwilż w stosunkach z ZSRR, a później Rosją sprawiła, że w 1992 roku zlikwidowano SAC jako oddzielne dowództwo. Dywizjony ICBM podporządkowano na rok Dowództwu Operacji Powietrznych (ACC), a później Dowództwu Operacji Kosmicznych (SC). Dywizjony bombowców strategicznych wróciły pod

USAF

AMERYKAŃSKIE MIĘDZYKONTYNENTALNE RAKIETY BALISTYCZNE (ICBM)

Stany Zjednoczone mają 450 rakiet ICBM typu LGM-30G Minuteman III. Znajdują się one w uzbrojeniu trzech skrzydeł rakietowych: 90th Missile Wing (podlega bazie Francis E. Warren AFB w stanie Wyoming, a jego silosy znajdują się na terenie stanów Wyoming, Nebraska i Colorado), 91st Missile Wing (podlega bazie Minot AFB w stanie Północna Dakota, a jego silosy znajdują się w stanie Północna Dakota) oraz 341st Missile Wing (podlega bazie Malmstrom AFB w stanie Montana, a jego silosy znajdują się w stanie Montana). Każde skrzydło posiada po trzy dywizjony rakietowe i każde ma w uzbrojeniu 150 rakiet Minuteman III. Do 2018 roku zgodnie z postanowieniami tzw. nowego traktatu rozbrojeniowego START Stany Zjednoczone mają zmniejszyć liczbę rakiet ICBM do 400 sztuk. ■

bezpośrednie dowodzenie US Air Force (USAF). Po incydencie z pociskami manewrującymi, w 2009 roku utworzono samodzielne Dowództwo Ataku Globalnego (GSC). Była to próba odtworzenia czegoś w rodzaju mini-SAC, czyli ponownego skupienia pod jednym dowództwem wszystkich strategicznych jednostek sił powietrznych przenoszących broń atomową. Znamienny był jednakże fakt, że dowódca GSC miał być generałem trzygwiazdkowym, czyli o stopień niższym od innych, czterogwiazdkowych dowódców sił powietrznych.

SZTUKA PRZETRWANIA

Pomimo zapewnień Pentagonu, dowództwa USAF oraz wielu polityków amerykańskich o najwyższym priorytecie misji atomowego odstraszania, w ostatnim ćwierćwieczu jednostki ICBM były traktowane prawdziwie po macoszemu. Oprócz absolutnie niezbędnych modernizacji rakiet ICBM siły powietrzne do minimum ograniczyły inwestowanie w infrastrukturę jednostek rakietowych. W bazach oraz centrach dowodzenia i kontroli wciąż używa się sprzętu i wyposażenia pamiętających lata osiemdziesiąte, a nawet siedemdziesiąte XX wieku. Jednostki ochrony baz rakietowych zawsze dostawały gorsze wyposażenie i uzbrojenie w porównaniu np. z dywizjonami myśliwskimi USAF. Oddziały powietrzne ochrony do dziś mają w wyposażeniu przestarzałe śmigłowce UH-1N pamiętające wojnę w Wietnamie.

Już dobre 20 lat temu jednostki ICBM przestały być dla żołnierzy atrakcyjne. Tylko część lotników w siłach atomowych to ochotnicy – dla reszty odbycie służby jest często złem koniecznym. Nie gwarantuje ona już dalszej kariery w siłach powietrznych. Oficerowie z jednostek ICBM czują się jak żołnierze drugiej kategorii w porównaniu z personelem dywizjonów lotniczych. Żołd w takich oddziałach też nie odbiega od średniej w siłach powietrznych. Tymczasem służba ta jest niezwykle wymagająca, a ze względu na charakter wiąże się z olbrzymią presją. Młodzi oficerowie muszą się podporządkować rygorystycznym procedurom i przepisom, a najdrobniejsze uchybienia kończą się poważnymi konsekwencjami.

Wymogi dotyczące gotowości bojowej i bezpieczeństwa nie zmieniły się od czasów zimnej wojny. Siły atomowe muszą cały czas pozostawać w stanie gotowości, żeby na rozkaz prezydenta w ciągu kilku minut przeprowadzić uderzenie atomowe na dowolny cel na ziemi. Aby utrzymać stosowny reżim, dowództwo sił atomowych wypracowało system kontroli i nadzoru podległych im jednostek. Przez lata sprowadzał się on do niezwykle drobiazgowych i bardzo trudnych symulacji oraz testów pisemnych. Ich zdawanie miało gwarantować podtrzymywanie zdolności bojowej oraz wiedzy proceduralnej oficerów. Po 2007 roku częstotliwość kontroli, próbnych alarmów oraz sprawdzianów wzrosła jeszcze bardziej. Każdy oficer musiał zdawać średnio 36 testów rocznie, a każda jednostka prze- →

chodziła po 150 inspekcji. Uzyskanie na sprawdzianie mniej niż 95% poprawnych odpowiedzi mogło zaważyć na dalszej karierze oficerów. Często wiązało się z czasowym cofnięciem certyfikatów bezpieczeństwa i odsunięciem od dyżurów operacyjnych do czasu poprawienia wyników.

Doszło wreszcie do sytuacji, w której zdawanie testów stało się sztuką dla sztuki. Oficerowie szkolili się przede wszystkim po to, aby je zaliczyć, a nie zrozumieć dane procedury. Dla przełożonych z kolei – dowódców dywizjonów i skrzydeł rakietowych – jedynie osiąganie jak najlepszych wyników przez podwładnych było szansą na awans. Problem oszukiwania na testach pojawił się więc nie dlatego, że oficerowie nie byli przygotowani, lecz z chęci uzyskiwania 100% dobrych odpowiedzi. Zaistniał też efekt solidarności grupowej. Oficerowie „pomagali" sobie na testach, aby ich jednostka wypadła jak najlepiej, a bezpośredni przełożeni przymykali oko na cały proceder, bo od wyników podwładnych zależała również ich kariera.

AMERYKAŃSKIE SIŁY POWIETRZNE PRZEZNACZYŁY 160 MLN DOLARÓW NA MODERNIZACJĘ INFRASTRUKTURY BAZ RAKIETOWYCH ORAZ ZAKUP NOWEGO SPRZĘTU I UZBROJENIA OSOBISTEGO

SŁUŻBA CZY FIKCJA?

Wspomniane czynniki bezpośrednio przekładały się na problem braku motywacji wśród personelu sił atomowych. Coraz częściej służba ta jest postrzegana przez młodych ludzi jako fikcja – pełnienie dyżurów w oczekiwaniu na rozkaz, który nigdy nie nadejdzie. Zimnowojenna groźba wojny atomowej przestała istnieć. Pojęcie atomowego odstraszania wciąż jest ważnym hasłem dla Waszyngtonu, ale stało się też pojęciem abstrakcyjnym. Trudno sobie wyobrazić w pozimnowojennej rzeczywistości, że broń atomowa jest używana codziennie na podobnej zasadzie, jak samoloty myśliwskie czy latające cysterny, tym bardziej że kolejni prezydenci Stanów Zjednoczonych ogłaszają plany zmniejszania arsenału atomowego, a nawet roztaczają wizję świata bez broni atomowej.

Pomimo to codziennie, przez cały rok, 90 oficerów pełni służbę w centrach kontroli – podziemnych kapsułach, do których dostęp jest zamknięty siedmiotonowymi drzwiami pancernymi. W każdej kapsule dyżuruje przez 24 godziny po dwóch oficerów mających pod swoją kontrolą dziesięć międzykontynentalnych rakiet balistycznych. Te zaś, uzbrojone w jedną lub kilka głowic atomowych, czekają w gotowości bojowej w oddzielnych silosach rozsianych na polach Colorado, Montany, Nebraski, Północnej Dakoty oraz Wyoming. Miesięcznie każdy oficer kontroli rakietowej pełni osiem 24-godzinnych dyżurów. Każdy z nich, łącznie z odprawą przed służbą i po niej oraz transportem do i z centrum dowodzenia, może trwać do 40 godzin. Okres między dyżurami jest wypełniony szkoleniami na symulatorach oraz testami proceduralnymi i certyfikacyjnymi.

ŚRODKI ZARADCZE

Na początku 2014 roku ówczesny sekretarz obrony Chuck Hagel ogłosił program naprawczy, który z jednej strony miał zdiagnozować naturę kryzysu w siłach atomowych, a z drugiej przygotować i wdrożyć środki zaradcze. Od marca do czerwca 2014 roku w jednostkach atomowych działała specjalna komisja złożona z przedstawicieli zarówno sił powietrznych, jak i marynarki wojennej oraz ekspertów spoza kręgu sił atomowych. W raporcie końcowym zawarła ona ponad 300 rekomendacji, z których prawie wszystkie zostały zaakceptowane przez siły powietrzne. Już pod koniec 2014 roku zaczęto wprowadzać pierwsze zmiany. Należy podkreślić, że jest to niejako oddolny program, który realizuje wiele postulatów i wskazówek oficerów niższego szczebla.

Siły powietrzne przeznaczyły 160 mln dolarów na modernizację infrastruktury baz rakietowych oraz zakup nowego sprzętu i uzbrojenia osobistego. Dodatkowe fundusze wygospodarowano na zwiększenie żołdu na wszystkich stanowiskach oraz stworzenie nowych etatów. W marcu 2015 roku dowódcą GSC został gen. Robin Rand – po raz pierwszy generał czterogwiazdkowy.

Długo oczekiwana zmiana dotyczy systemu szkolenia i oceniania. Zintensyfikowano ćwiczenia na symulatorach, przy czym już nie podlegają one ocenianiu, tak jak to było wcześniej. Szkolenie ma pomóc w naprawianiu błędów i może być prowadzone do skutku. Zmniejszono częstotliwość testów certyfikacyjnych do jednego na kwartał. Nie są to już pytania wymagające mechanicznych odpowiedzi, lecz raczej testy symulujące konkretne procedury w różnych sytuacjach.

Wprowadzono też większą rotację stanowisk w ramach systemu „3+3". Służba liniowa w jednostce ICBM ma trwać trzy lata. W następnych trzech latach oficerowie liniowi mogą pełnić funkcję instruktorów, kontrolerów lub awansować na stanowiska dowódcze niższego szczebla. Ma to się wiązać również z rotacją personelu pomiędzy poszczególnymi dywizjonami i skrzydłami rakietowymi.

Przed Pentagonem i siłami powietrznymi stoi niezwykle trudne zadanie. Z jednej strony, muszą uatrakcyjnić służbę w jednostkach atomowych, aby przyciągnąć do niej kolejne pokolenia młodych oficerów, ale z drugiej – utrzymać standardy zarządzania arsenałem atomowym nieodbiegające od tych z czasów zimnej wojny. ■

TLSM

IV TARGI I FORUM LOGISTYKI SŁUŻB MUNDUROWYCH

10-11.05.2016

al. Politechniki 4, Łódź

expo Łódź

FORUM LOGISTYKI SŁUŻB MUNDUROWYCH

- **DEBATA - Innowacje dla bezpieczeństwa.** Nauka - Biznes - Służby Mundurowe.
  Partner merytoryczny: Polska Zbrojna
- **KONKURS** „Lider zaopatrzenia służb mundurowych"
- **WYSTAWA** służb mundurowych
- **NA RATUNEK-** pokazy dynamiczne ratownictwa medycznego służb mundurowych

DO ODWIEDZENIA TARGÓW ZAPRASZAMY PONAD 3000 PRZEDSTAWICIELI ODPOWIEDZIALNYCH ZA ZAOPATRZENIE MATERIAŁOWE W SŁUŻBACH MUNDUROWYCH MIN.:

Biura Ochrony Rządu, Sił Zbrojnych, Straży Granicznej, Policji, Straży Miejskiej, Służb Celnych, Straży Pożarnej, Służby Więziennej, Przedstawicieli Spółek Transportu Kolejowego i Miejskiego, Służby Leśnej, Ochrony.

Patronat honorowy:

Patronat branżowy:

Patronat medialny:

tlsm.pl

Organizator: MTŁ Międzynarodowe Targi Łódzkie

TADEUSZ WRÓBEL

Syndrom zagrożenia

Władze Australii zamierzają znacząco zwiększyć w najbliższym dziesięcioleciu wydatki na obronę.

Australia jest w gronie państw wydających na obronę najwięcej na świecie. W roku budżetowym 2015–2016 przewidziano na to 31,9 mld dolarów australijskich (AUD), a w następnym ma to być o pół miliarda więcej. Pomimo imponujących kwot jest to ciągle poniżej progu 2% produktu krajowego brutto.

W opublikowanej w końcu lutego „Defence White Paper 2016", czyli białej księdze, zapowiedziano szybsze zwiększenie wydatków na obronę. Poziom 2% PKB ma być osiągnięty już w roku budżetowym 2020–2021. Pięć lat później budżet wojskowy Australii wyniesie 58,7 mld AUD. Nie powinno to dziwić, jeśli przeanalizuje się sytuację militarną kraju i potencjalne zagrożenia w regionie.

CZYNNIK CHIŃSKI

Azja, podobnie jak Ameryka Północna, jest regionem świata, w którym wydaje się na obronę najwięcej, ponad 400 mld dolarów amerykańskich (USD). Tym samym wyprzedza obecnie Europę. Przy czym lwia część kwoty przypada na Chiny. Na początku 2015 roku Pekin podał, że przeznaczy na obronę 886,9 mld juanów, czyli równowartość 136,4 mld USD. Nie brak też szacunków, że może to być nawet 190 mld dolarów. Oznaczałoby to wzrost nakładów o 10–11%, choć chińskie PKB spowolniło do wartości jednocyfrowej. Według analityków IHS Jane's Defence Budgets, wydatki Chin na obronę już w 2020 roku przekroczą ćwierć miliarda dolarów, a około 2035 roku budżety obronne Państwa Środka i USA staną się porównywalne.

Australijczycy obawiają się, że wzrost potęgi wojskowej może zachęcać władze Chin do prowadzenia polityki z pozycji siły. Pekin już teraz próbuje przejąć kontrolę nad większością obszaru Morza Południowochińskiego, przez które przebiega jeden z największych szlaków żeglugi handlowej. Nic zatem dziwnego, że w australijskiej białej księdze uznano roszczenia terytorialne Pekinu na Morzu Południowochińskim za jeden z punktów zapalnych w regionie.

Eksperci dostrzegli, że w tegorocznej edycji białej księgi bardziej jednoznacznie wskazano na Chiny jako źródło potencjalnych zagrożeń, niż miało to miejsce wcześniej. Nie trzeba było długo czekać na reakcję na te zapisy. „Jesteśmy poważnie zaniepokojeni i niezadowoleni z negatywnych stwierdzeń dotyczących sytuacji na Morzu Południowochińskim i rozwoju siły militarnej Chin zawartych w białej księdze", oświadczyła Hua Chunying, rzeczniczka chińskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Jednocześnie wyraziła nadzieję, że władze Australii skorygują swój punkt widzenia na temat rozwoju Państwa Środka i jego strategicznych zamiarów, a także podejmą wspólny wysiłek, aby zwiększyć wzajemne zaufanie oraz zapewnić pokój i stabilność w regionie. Hua Chunying stwierdziła też, że wymienione przez nią strony zaprzestaną wzmacniania swej obecności militarnej w rejonie Azji – Pacyfiku.

John Blaxland z Centrum Badań Strategicznych i Obronnych australijskiego Uniwersytetu Narodowego przyznał, że prawie wszystkie państwa regionu niepokoi rozwój chińskiej potęgi militarnej, tym bardziej że polityka obronna Państwa Środka nie jest do końca przejrzysta.

WZMACNIANIE POTENCJAŁU

Australijczycy nie zamierzają bezczynnie przyglądać się rozwojowi sytuacji i planują zwiększyć swe zdolności militarne. W najbliższej dekadzie chcą wydać na moder-

Marynarka wojenna Australii dysponuje ośmioma fregatami rakietowymi typu ANZAC. Na zdjęciu: HMAS „Ballarat", HMAS „Anzac" i HMAS „Stuart"

ROYAL AUSTRALIAN NAVY (3)

W CIĄGU DZIESIĘCIU LAT LICZBA ŻOŁNIERZY W CZYNNEJ SŁUŻBIE MA SIĘ ZWIĘKSZYĆ Z OKOŁO 58 TYS. DO 62,4 TYS.

nizację techniczną 195 mld AUD. Jako państwo-kontynent priorytetowo traktują siły morskie. Około jednej czwartej wymienionej kwoty pochłonie program zakupu 12 nowej generacji okrętów podwodnych „dominacji regionalnej", które zastąpią sześć obecnie posiadanych jednostek typu Collins. Jeden ma kosztować 4 mld AUD. Co ważne, w białej księdze znalazł się zapis, że program ten ma być realizowany w taki sposób, aby przynieść jak najwięcej korzyści australijskiej gospodarce. Kwestia tego, czy nowe okręty zbudować w kraju, czy kupić za granicą, była w ostatnich latach przedmiotem gorących sporów politycznych. Nowe jednostki będą wprowadzane do służby od początku lat trzydziestych.

Jeśli chodzi o siły nawodne, to w toku jest już program budowy trzech niszczycieli przeciwlotniczych typu Hobart. Po 2020 roku ma być zaś uruchomiony projekt budowy dziewięciu nowych fregat zwalczania okrętów podwodnych. Pod koniec lat dwudziestych zastąpią one osiem jednostek typu Anzac. Znacznie wcześniej, bo prawdopodobnie już w 2018 roku, zostanie zamówionych tuzin nowych okrętów patrolowych, które zastąpią jednostki typu Armidable. Ich dostawy mają się zakończyć przed 2030 rokiem. Planuje się też kupno dużego wielozadaniowego okrętu patrolowego.

Znacząco będzie wzmocniony komponent lotniczy współdziałający z okrętami. W białej księdze znalazła się zapowiedź, że w końcu lat dwudziestych australijskie lotnictwo wojskowe będzie miało 15 uzbrojonych samolotów patrolowych P-8A Poseidon, niemal dwa razy więcej niż zamierzano kupić. Będą one współdziałać z siedmioma bezzałogowymi statkami powietrznymi MQ-4C Triton.

W lotnictwie bojowym kluczowym projektem pozostaje zakup 72 samolotów wielozadaniowych F-35A Lightning II, które zastąpią F/A-18 Hornet. Z powodu opóźnienia tego programu Canberra kupiła już 24 myśliwce Super Hornet. Od 2018 roku australijskie siły powietrzne będą też dysponować samolotami walki elektronicznej EA-18G Growler. Oprócz statków powietrznych niezwykle istotne będzie nowoczesne uzbrojenie precyzyjne, w tym pociski rakietowe dalekiego zasięgu i przeciwokrętowe. Aby zwiększyć zdolności wywiadowcze i wczesnego ostrzegania, zmodernizowanych zostanie sześć samolotów E-7A Wetgetail. Zaplanowano też kupno do pięciu nowych maszyn wywiadowczych na platformie Gulfstream G550. Zdecydowano się na modernizację naziemnego systemu radiolokacyjnego. Przewidziano również kontrakty na nowe rakietowe systemy obrony powietrznej krótkiego i średniego zasięgu.

Ze względu na powierzchnię państwa, a także interesy i zobowiązanie międzynarodowe Australia przywiązuje dużą wagę do transportu. Po dostarczeniu 4 listopada 2015 roku dwóch samolotów siły powietrzne tego kraju mają osiem strategicznych transportowców C-17 Globemaster III. Nadal będzie powiększana też flota maszyn wielozadaniowych transportowych i tankowania powietrznego KC-30A. Teraz jest ich pięć, a docelowo będzie dziewięć. Zwiększenie liczby KC-30A ma związek z planami zakupu dodatkowych posejdonów. W trakcie realizacji jest też kontrakt na dziesięć średnich transportowych C-27J Spartan. Ponadto planuje się modernizację tuzina już użytkowanych C-130J Herkules.

W transporcie morskim kluczowe będzie wprowadzenie do służby do 2026 roku dwóch nowych okrętów zaopatrzeniowych, z opcją zakupu trzeciego, choć nie jest przesądzone, czy będzie on taki sam jak dwa pierwsze.

W wojskach lądowych jeden z większych programów dotyczy zakupu nowych bojowych wozów piechoty i rozpoznawczych, następcy szturmowo-rozpoznawczych śmigłowców Tiger, lekkich maszyn wielozadaniowych dla jednostek specjalnych, a także systemu rakietowego dalekiego zasięgu (do 300 km). Mają też być modernizowane m.in. park pojazdów logistycznych oraz indywidualne wyposażenie żołnierzy. ■

KRZYSZTOF WILEWSKI

Leopardy po polsku

Ruszyła modernizacja czołgów Leopard 2PL.

Zmodernizowane czołgi podstawowe Leopard 2A4, a właściwie już Leopard 2PL, mają trafić do wojskowych badań i testów za rok. Gdy pierwsze dwa przejdą je pozytywnie, ruszy unowocześnianie wszystkich 128 maszyn kupionych w 2002 roku, które ma się zakończyć do 2020 roku. Wtedy również zapadną decyzje, co zrobić z ponad setką kupionych w 2013 roku leopardów 2A5.

PIERWSZE LEOSIE

Najnowocześniejszym czołgiem naszej armii jest Leopard 2. Polskie wojsko ma dwa typy tych maszyn: A4 oraz A5, i są w nie uzbrojone dwie jednostki 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej – 10 Brygada Kawalerii Pancernej (model A4) oraz 34 Brygada Kawalerii Pancernej z Żagania (model A5). 128 sztuk leopardów 2A4 polska armia kupiła w listopadzie 2002 roku za około 90 mln zł, otrzymując również pojazdy pomocnicze: wozy zabezpieczenia technicznego Bergerpanzer 2, mosty towarzyszące Biber na podwoziach leoparda 1, wozy dowodzenia i ewakuacji medycznej na podwoziach M113 i M577, samochody terenowe Mercedes MB290G, ciężarówki Unimog U1300L i zestawy do ewakuacji ciężkiego sprzętu Faun SLT 50-2 Elefant.

Specjaliści podkreślają, że choć pozyskaliśmy maszyny z połowy lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, to były one w bardzo dobrym stanie technicznym. „Starannie wybieraliśmy z niemieckich zasobów czołgi będące w najlepszym stanie technicznym. To był żmudny proces, ale bardzo zależało nam na tym, aby trafiły do nas naprawdę dobre egzemplarze", wspominał w jednym z wywiadów gen. broni Waldemar Skrzypczak, wówczas szefa Zarządu Operacji Lądowych G3 w Dowództwie Wojsk Lądowych.

Gen. Skrzypczak, już jako odpowiedzialny za zakupy nowego sprzętu i uzbrojenia wiceminister obrony narodowej, pilotował też w 2013 roku pozyskanie przez polską armię kolejnej partii leopardów 2, tym razem jednak już w wersji A5. Leopardy 2A5, o ponad dziesięć lat młodsze niż 2A4, oprócz znacznie lepszego i skuteczniejszego pancerza, mają również elektryczny, a nie hydrauliczny system napędu wieży, nowocześniejszy system sterowania bronią, zmodernizowane przyrządy obserwacyjne i celownicze – w tym kamerę cofania i kamerę termowizyjną. Kontrakt na dostawę 105 sztuk czołgów Leopard 2A5, 14 czołgów Leopard 2A4 oraz 18 ciągników pancernych Bergerpanzer 2, 160 ciężarówek DB1017A i U-1300L oraz 40 samochodów osobowych MB 250 popisano 22 listopada 2013 roku.

Kiedy Ministerstwo Obrony Narodowej negocjowało z niemieckim rządem sprzedaż leopardów 2A5 – przekonując sojuszników, że to właśnie naszemu krajowi, a nie Finlandii lub Chile należy odsprzedać popularne „piątki" z zasobów Bundeswehry, w resorcie zapadły również kluczowe decyzje dotyczące przyszłości leopardów 2A4 – postanowiono je zmodernizować do standardu określonego jako leopard 2PL i pod koniec października 2013 roku ogłoszono przetarg.

Do rywalizacji stanęły trzy konsorcja. Pierwsze tworzyły Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne z Poznania, Wojskowe Zakłady Łączności nr 2 z Czernicy oraz niemiecki Rheinmetall Landsysteme. Drugie konsorcjum składało się z Zakładów Mechanicznych Bumar-Łabędy, Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Urządzeń Mechanicznych oraz Polskiego Holdingu Obronnego. Trzecie konsorcjum utworzyło Przemysłowe Centrum Optyki (PCO) z tureckim Aselsanem. Kiedy jednak przyszło do złożenia ofert wstępnych, okazało się, że o kontrakt chce walczyć jedynie konsorcjum, na którego czele stały „Łabędy" i OBRUM. Mimo to ministerstwo zdecydowało się nie unieważniać przetargu i podjęło z firmami negocjacje handlowe. Po kilku miesiącach rozmów, w połowie 2014 roku, MON poinformowało jednak o odrzuceniu oferty konsorcjów i anulowaniu postępowania. Resort obrony zdecydował, że nie będzie drugiego przetargu na modernizację 2A4, a kontrakt na ich unowocześnienie zostanie powierzony – w trybie zachowania „bezpieczeństwa państwa" – nowo powstałemu narodowemu holdingowi obronnemu, czyli Polskiej Grupie Zbrojeniowej.

Wartą 2 mld 415 mln zł umowę na modernizację 128 czołgów Leopard 2A4 podpisano z Polską Grupą

Zbrojeniową i Zakładami Mechanicznymi Bumar-Łabędy, ale dopiero 28 grudnia 2015 roku. W kontrakcie określono, że unowocześnianiem wyprodukowanych w Niemczech czołgów podstawowych będzie się zajmować kilka firm wchodzących w skład narodowego holdingu, w tym, oprócz „Łabęd", PCO, Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne SA w Poznaniu, Zakłady Mechaniczne Tarnów, Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Urządzeń Mechanicznych oraz Rosomak SA.

KULISY PRAC

Wojsko wskazało również partnera, który ma dostarczyć niezbędną wiedzę i technologię do przeprowadzenia modernizacji leopardów 2A4. Został nim niemiecki koncern Rheinmetall Landsysteme GmbH. Kontrakt pomiędzy Zakładami Mechanicznymi Bumar-Łabędy a koncernem Rheinmetall podpisano 18 lutego 2016 roku.

Za 130 mln euro niemiecka firma opracuje projekt leoparda 2PL i jego dokumentację techniczną, zbuduje dwa prototypy oraz wykona partię próbną. Reszta, około 100 sztuk, ma być unowocześniana już w kraju. Trudno powiedzieć, jaki będzie polski czołg Leopard, bo Inspektorat Uzbrojenia MON utajnił jego dokładną specyfikację techniczną, więc bazujemy na bardzo skąpych informacjach. Jak wyjaśnia płk Sławomir Lewandowski z Inspektoratu Uzbrojenia MON, ulepszenia wprowadzone w 2A4 będą obejmowały trzy dziedziny: ochronę załogi czołgu, możliwości ogniowe oraz warunki eksploatacji. Będzie zatem m.in. wymienione opancerzenie wieży i zostaną zamontowane maty przeciwodłamkowe w przedziale bojowym i kierowania. Dzięki zastąpieniu hydraulicznego napędu armaty i wieży napędem elektrycznym oraz zainstalowaniu nowych przyrządów obserwacyjno-celowniczych zwiększa się natomiast możliwości ogniowe leoparda 2A4. „Zostanie również wymieniona kamera termowizyjna działonowego, a uzbrojenie zasadnicze będzie przystosowane do strzelania amunicją innych typów niż obecnie używane", wylicza płk Lewandowski. Jeśli chodzi o poprawę warunków eksploatacji leopardów 2PL, to najważniejsze będzie zainstalowanie dzienno-nocnej kamery kierowcy do jazdy wstecz oraz zamontowanie agregatu prądotwórczego (APU).

Nieco więcej informacji jest dostępnych na temat planowanego podziału zadań. Za integrację wszystkich podzespołów będzie odpowiadać niemiecki Rheinmetall Landsysteme, a spółka zależna tej firmy, czyli Rheinmetall Waffe Munition, zajmie się modernizacją armaty, Rheinmetall Defence Electronics – pracami nad celownikiem EMES-15 i SKO, a IBD Deisenroth Engineering – nowym opancerzeniem. W unowocześnianie leopardów 2A4 będą zaangażowane również spółki Airbus DS Optronics i Jenoptik Defence & Civil Systems ESW.

Pancerny potencjał naszej armii tworzą cztery jednostki stricte tego typu: 1 Warszawska Brygada Pancerna, 9 Brygada Kawalerii Pancernej, 10 Brygada Kawalerii Pancernej i 34 Brygada Kawalerii Pancernej, oraz cztery brygady dysponujące jednym batalionem czołgów –2 Brygada Zmechanizowana, 15 Giżycka Brygada Zmechanizowana, 20 Bartoszycka Brygada Zmechanizowana oraz 21 Brygada Strzelców Podhalańskich. Łącznie to ponad 900 maszyn –247 sztuk leopardów 2, 232 czołgi PT-91 Twardy oraz około 400 egzemplarzy T-72. ■

Jeśli chodzi o polskie podmioty, to poznańskie Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne SA będą odpowiedzialne za przeglądy i remonty czołgów oraz naprawę zespołów napędowych. Optoelektronikę, czyli kamery termowizyjne celownika działonowego, przyrządu obserwacyjnego dowódcy oraz przyrządy obserwacyjne kierowcy, w tym kamerę do obserwacji przestrzeni z tyłu czołgu, ma z kolei dostarczyć Przemysłowe Centrum Optyki.

Produkcją elementów dodatkowego opancerzenia wieży będzie się zajmować firma Rosomak (po transferze technologii z Niemiec), a Zakłady Mechaniczne Tarnów dostarczą elektryczne napędy obrotu wieży i układy stabilizacji uzbrojenia. OBRUM-owi powierzono zaś modernizację wojskowych symulatorów i trenażerów. ■

USA

Strzał w fregatę

Z kilkutygodniowym opóźnieniem poinformowano, że podczas testów nowego pocisku przeciwokrętowego zatopiono wycofaną ze służby fregatę rakietową USS „Reuben James" (FFG-57). 18 stycznia na morskim poligonie rakietowym Pacific Missile Range Facility w pobliżu Hawajów trafił ją pocisk Standard Missile 6 opracowany przez firmę Raytheon, który wystrzelono z niszczyciela rakietowego USS „John Paul Jones" (DDG-53). W ■

US NAVY

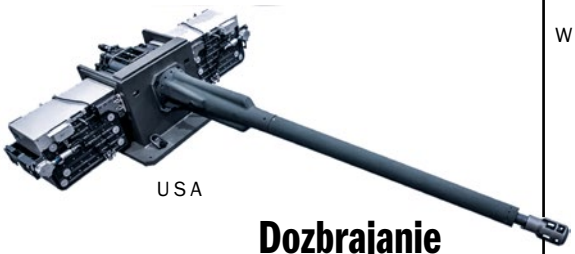

USA

Dozbrajanie strykerów

Armia amerykańska zamierza wzmocnić uzbrojenie kołowych wozów bojowych Stryker, których główną bronią jest wielkokalibrowy karabin maszynowy kalibru 12,7 mm. Dozbrajanie rozpocznie się od pojazdów, które posiada stacjonujący w Niemczech 2 Pułk Kawalerii. Na początek 91 strykerów, w tym osiem prototypów, ma zostać uzbrojone w armatę kalibru 30 mm. Wybrano wieżę MCT 30 norweskiej firmy Kongsberg i działko XM813 firmy ATK. US Army planuje również uzbroić część europejskich strykerów w wyrzutnie przeciwpancernych pocisków kierowanych Javelin, a także wzmocnić opancerzenie spodu kadłuba. TED ■

WIELKA BRYTANIA

Tańsza opcja

ROYAL NAVY ma dostać pięć dużych okrętów patrolowych – o dwa więcej niż wcześniej planowano.

ROYAL NAVY

Portal Defense News poinformował, że brytyjskie ministerstwo obrony negocjuje z firmą BAE Systems kontrakt na wstępną fazę projektu nowej fregaty zwalczania okrętów podwodnych. Zapowiedź opracowania nowego typu jednostki bojowej pojawiła się w ubiegłorocznym „Przeglądzie strategicznym obrony i bezpieczeństwa". Otóż brytyjski resort obrony ograniczy zamówienie na duże wielozadaniowe fregaty typu 26 z 13 do ośmiu. W zamian Royal Navy ma dostać pięć dużych okrętów patrolowych – o dwa więcej niż wcześniej planowano. W skład brytyjskiej floty wojennej ma wejść po roku 2020 pięć mniejszych, tańszych fregat zwalczania okrętów podwodnych, które oznaczono jako typ 31.

Nowe jednostki mają zastąpić 13 obecnie służących w Royal Navy fregat typu 23. Według harmonogramu jako pierwsza zostanie wycofana w 2023 roku HMS „Argyll". Najdłużej w służbie, do 2035 roku, pozostanie HMS „St Albans". WR ■

JAPONIA

Wzmacnianie floty podwodnej

Mitsubishi Heavy Industries Ltd. przekazała 7 marca japońskiemu ministerstwu obrony siódmy okręt podwodny typu Sōryū. „Jinryu" zbudowano w stoczni w Kobe.

Jednostki typu Sōryū są największymi na świecie okrętami podwodnymi o napędzie konwencjonalnym. W zanurzeniu mają wyporność 4100–4200 t. Wyposażono je w system napędu niezależny od powietrza, który pozwala na dłuższe przebywanie pod wodą.

Budowę jednostek typu Sōryū rozpoczęto w 2005 roku. Dotąd ukończono ich osiem. Ostatni z okrętów to „Sekiryu", którego przekazanie jest planowane na marzec przyszłego roku. W tym roku ma być zwodowany dziewiąty okręt. Plany zakładają, że Japońskie Morskie Siły Samoobrony otrzymają 11 takich jednostek. Konstrukcją tą interesuje się Australia, która poszukuje następcy okrętów typu Collins. W ■

NIEMCY

Trzecia z czterech

W stoczni w Hamburgu 4 marca zwodowano trzecią fregatę typu F125. Jednostce nadano imię „Sachsem-Anhalt".

Okręt zostanie przekazany niemieckiej agencji zamówień obronnych na początku 2019 roku. Jako pierwsza, w połowie 2017 roku, do agencji trafi, zwodowana w grudniu 2013 roku, fregata „Baden-Wurttemberg". W wypadku drugiej z jednostek, „Nordrhein-Westfalen", uroczystość ta odbyła się w kwietniu 2015 roku. Wartość podpisanego w 2007 roku kontraktu na budowę czterech fregat F125 wyniosła 2 mld euro. W niemieckiej marynarce wojennej zastąpią one osiem okrętów typu F122 (Bremen). W ■

THYSSENKRUPP

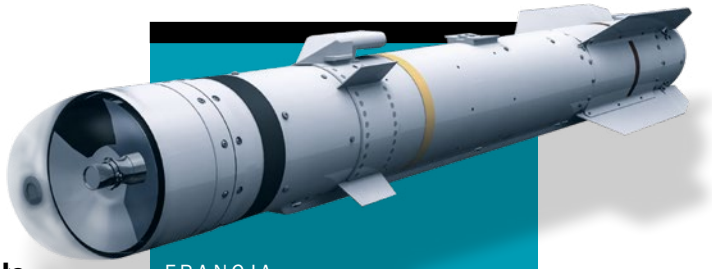

FRANCJA

Militarna współpraca

Brytyjski premier David Cameron i prezydent Francji François Hollande spotkali się w Amiens, gdzie rozmawiali o współpracy militarnej. Po spotkaniu pojawiła się informacja, że w przyszłości śmigłowce szturmowe używane w obu państwach, brytyjski Apache i francuski Tigre, będą uzbrojone w ten sam typ pocisku, bazujący na opracowanym przez MBDA UK Brimstone 2. Firma podała, że nowa rakieta ma tandemową głowicę kumulacyjną i podwójny (radarowo-laserowy) systemem naprowadzania. Przystosowana do jego przenoszenia będzie nowa wersja śmigłowca Airbus Helicopters Tigre Mk3. Obecnie posiadana przez lotnictwo armii francuskiej wersja Tigre HAD jest uzbrojona w amerykańskie pociski Hellfire 2, tak jak w armii brytyjskiej Apache AH.1.

Brytyjczycy rozważą też uzbrojenie swych niszczycieli w opracowane we Francji rakiety Aster Block 1 NT. Oba państwa zamierzają ponadto wydać 1,54 mld funtów szterlingów na opracowanie prototypu nowej generacji europejskiego drona bojowego. WRT ■

XII Międzynarodowa
Konferencja i Wystawa
Nowoczesne technologie
dla bezpieczeństwa kraju i jego granic
12.05.2016
www.nowoczesnetechnologie.ztw.pl

nr 28.

Żołnierz z 12 Brygady Zmechanizowanej (2014 rok)

rys. Monika Rokicka

NR 28.

UBIÓR POLOWY

ŻOŁNIERZ Z 12 BRYGADY ZMECHANIZOWANEJ (2014 ROK)

Wojskowy jest ubrany w mundur polowy wzór 1993 w kamuflażu pantera. Dodatkowo ma na sobie kurtkę z kapturem z ubrania ochronnego wodoodpornego wzór 128/MON. Jest ona w takim samym kamuflażu jak mundur. Na rękawach widać oznakę przynależności państwowej. Na głowie żołnierz nosi hełm kompozytowy z nałożonym na pokrowiec dodatkowym maskowaniem. Ubioru dopełniają trzewiki ćwiczebne i rękawiczki taktyczne. Wyposażenie żołnierza składa się z kamizelki taktycznej i torby. Jego bronią jest pistolet maszynowy PM-84P kalibru 9 mm. ■

12 BRYGADA ZMECHANIZOWANA

IM. GEN. BRONI JÓZEFA HALLERA W SZCZECINIE

Została utworzona w 1996 roku z rozformowanego 5 Pułku Zmechanizowanego. Decyzją ministra obrony narodowej nr 51 z 10 kwietnia 1996 roku przejęła tradycje jednostek piechoty oznaczonych cyfrą „5", a także trzech pułków strzelców kresowych i pułku artylerii 12 Dywizji Piechoty z czasów II Rzeczypospolitej. W 2007 roku – również tradycje rozformowanej 6 Brygady Kawalerii Pancernej ze Stargardu Szczecińskiego. Jej patronem jest dowódca sformowanej w czasie I wojny światowej Armii Polskiej we Francji, dlatego brygada obchodzi swe święto 15 maja, na pamiątkę przybycia Błękitnej Armii do ojczyzny w 1919 roku. ■

nr 29.

Podporucznik, Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Lądowych (2010 rok)

RAFAŁ CIASTOŃ

Cywilny e-świat

Zapewne mało kto z czytających te słowa wyobraża sobie dziś świat bez internetu. Cyberprzestrzeń to piąty wymiar pola walki (po lądowym, powietrznym, morskim oraz kosmicznym), a także wirtualny świat, w którym żyjemy, komunikujemy się, kupujemy. Cywilny e-świat narodził się jako potomek militarnych projektów czasów zimnej wojny.

Według raportu „Digital in 2016", przygotowywanego przez We are Social Media, na początku 2016 roku internetu używało ponad 3,4 mld ludzi, czyli 46% populacji, ponad 2,3 mld (31%) korzystało z mediów społecznościowych, co w obu wypadkach daje dziesięcioprocentowy wzrost w stosunku do roku ubiegłego. W Polsce te wskaźniki wynoszą odpowiednio 67% i 36%. Co ciekawe, nasz kraj jest też na 14. miejscu w kategorii e-zakupów – w ciągu miesiąca poprzedzającego badanie w sieci kupowało aż 53% rodaków. A początki były skromne…

W 1958 roku w USA powstała ARPA (Advanced Research Projects Agency), poprzedniczka dzisiejszej DARPA (D w nazwie oznacza Defense), a wśród realizowanych przez nią projektów był rozwój zdecentralizowanej sieci łączności, która nie miałaby jednego głównego, a więc podatnego na zniszczenie w razie wojny, ośrodka. Sieć komputerowa miała łączyć m.in. Pentagon, centralę NORAD, czyli dowództwa obrony powietrznej w Kolorado, oraz Dowództwo Strategiczne Sił Powietrznych (SAC) w Nebrasce. Do prac został zaangażowany również czołowy finansowany przez rząd USA think tank – RAND Corporation, włączono w nie również kilka uniwersytetów i ośrodków badawczych. 29 października 1969 roku nawiązano pierwsze w ramach nowej sieci ARPANET, jak ją nazwano, połączenie – między uniwersytetami w Los Angeles i Santa Barbara, Instytutem Stanforda (wszystkie w Kalifornii) oraz uniwersytetem Salt Lake City w Utah. Rok później ARPANET miała już 13 węzłów, w tym centralę RAND w Santa Monica oraz czołowe uczelnie Wschodniego Wybrzeża (m.in. Harvard i Massachusetts Insitute of Technology – MIT). W 1971 roku jeden z inżynierów współtworzącej sieć firmy BBN opracował pocztę elektroniczną i użył w adresie znaku „@", a po kolejnych dwóch latach do ARPANET-u przyłączono pierwszy ośrodek zagraniczny – norweski instytut zajmujący się geologią i sejsmografią. W 1982 roku wyłącznie już cywilna ARPANET (rozdzielenie dwóch części sieci nastąpiło dwa lata wcześniej), coraz częściej nieformalnie nazywana internetem, obejmowała około 100 węzłów. Stosunkowo wolny rozwój był efektem ograniczeń finansowych – niekomercyjna przecież sieć mogła się rozwijać tylko dzięki różnego rodzaju dotacjom, subwencjom zapewnianym przez państwa i ośrodki naukowe.

W 1990 roku sieć została oficjalnie uwolniona – DARPA zamknęła projekt nadzoru rozwoju internetu, rok później opracowano standard WWW. Wkrótce z Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego wysłano pierwszy polski e-mail. Dwa lata później na całym świecie do sieci było podłączonych już milion komputerów, lawina ruszyła. Dziś każdego dnia jest wysyłanych ponad 220 mld e-maili, ponad 600 mln tweetów, a w Google, najpopularniejszej wyszukiwarce świata, wystukuje się ponad 4,5 mld haseł. Czy już czują Państwo potrzebę sprawdzenia powyższych danych… w sieci? ■

AUTOR JEST DOKTORANTEM AKADEMII OBRONY NARODOWEJ, EKSPERTEM FUNDACJI IM. KAZIMIERZA PUŁASKIEGO.

STRATEGIE

/ **BLISKI WSCHÓD**

TOMASZ OTŁOWSKI

NA STRATEGICZNYM ZAKRĘCIE

Izraelczycy przywykli już do życia w cieniu działań wojennych. Nigdy wcześniej jednak nie musieli stawić czoła tak nieprzewidywalnym zagrożeniom wynikającym z niestabilnej sytuacji w regionie.

IDF

Wyraźne pogarszanie się pozycji Izraela w regionie bliskowschodnim ma wiele przyczyn, zarówno o charakterze wewnętrznym, jak i zewnętrznym. Jak się jednak wydaje, ta tendencja została zapoczątkowana już latem 2006 roku. To wtedy nierozstrzygnięta izraelska kampania militarna w Libanie przeciwko Hezbollahowi nadszarpnęła wizerunek Izraela jako dotychczas niezwyciężonego regionalnego hegemona. Począwszy od tej „cichej klęski" Izraelczyków w wojnie libańskiej, przez późniejsze faktyczne zahamowanie procesu pokojowego z Palestyńczykami, aż po przegraną operację „Płynny ołów" w Strefie Gazy na początku 2009 roku – rola i pozycja Izraela w regionalnym układzie sił stale, systematycznie się zmniejszała.

Miary niepowodzeń w tej materii dopełniły i inne czynniki: niekorzystny dla państwa żydowskiego rozwój wydarzeń w jego najbliższym otoczeniu międzynarodowym po 2011 roku, stopniowe umacnianie się Iranu i jego postępujący „reset" z Zachodem, a także narastająca wrogość wobec Izraela i jego polityki ze strony społeczeństw i rządów wielu krajów zachodnich, zwłaszcza europejskich. Chyba jednak nic tak nie zaszkodziło międzynarodowemu położeniu Izraela, jak faktyczne załamanie się jego relacji z największym dotychczasowym sojusznikiem, czyli USA. W rezultacie skumulowanego oddziaływania tak wielu czynników Izrael znalazł się w połowie drugiej dekady XXI wieku w niezwykle niekorzystnym położeniu strategicznym.

Obawy przed wrogimi sąsiadami towarzyszyły Izraelczykom od początku ich nowożytnej państwowości. Geopolityka Izraela – której osią jest nieustanna walka o przetrwanie w wyjątkowo trudnym środowisku strategicznym, w otoczeniu państw w większości zmierzających (mniej lub bardziej jawnie) do unicestwienia państwa żydowskiego – opiera się m.in. na jak najściślejszym sojuszu z mocarstwem zewnętrznym, położonym poza regionem bliskowschodnim. W takim układzie ta potęga daje Izraelowi nie tylko gwarancje bezpieczeństwa militarnego i wsparcie politycznie na arenie międzynarodowej, lecz także udostępnia na korzystnych zasadach finansowych nowoczesne militarne technologie i uzbrojenie.

ZMIANA POLITYKI

Przez wiele dekad takim strategicznym patronem dla Izraelczyków były Stany Zjednoczone. Ale około 2005 roku coś zaczęło w tym sojuszu szwankować. Bezpośrednią i najbardziej oczywistą przyczyną stało się „utknięcie" USA w Iraku. Niekorzystny dla Waszyngtonu obrót wydarzeń w tej operacji skutkował bowiem pojawieniem się istotnych zmian w amerykańskim postrzeganiu różnych aspektów sytuacji na Bliskim Wschodzie. Miało to także oczywisty związek z przetasowaniami na scenie politycznej w USA i przechyłem poparcia amerykańskiej opinii publicznej na rzecz demokratów.

Ośrodki eksperckie i akademickie za oceanem zaczęły usilnie promować tezę, że Stany Zjednoczone muszą zarzucić tradycję faktycznego dostosowywania swojej strategii bliskowschodniej do polityki Tel Awiwu-Jafy, i powinny zacząć kierować się przede wszystkim własnymi interesami. Za jedną z ważniejszych kwestii wymagających zmiany uznano politykę USA wobec świata islamu, a także wobec konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Ten ostatni Amerykanie zaczęli wtedy postrzegać jako źródło wszelkich kłopotów Zachodu na Bliskim Wschodzie.

Objęcie przez Baracka Obamę urzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych w 2009 roku przy-

WHITEHOUSE.GOV

W CZASIE KADENCJI BARACKA OBAMY STOSUNKI MIĘDZY IZRAELEM A STANAMI ZJEDNOCZONYMI ZACZĘŁY SIĘ POGARSZAĆ. AMERYKAŃSKI PREZYDENT ZARZUCIŁ PREMIEROWI BENIAMINOWI NETANJAHU ZNIWECZENIE BLISKOWSCHODNIEGO PROCESU POKOJOWEGO

pieczętowało kierunek niekorzystnych dla Izraela zmian w polityce amerykańskiej wobec Bliskiego Wschodu. Przesunięcia akcentów w polityce USA wobec tego regionu były jednak tylko zwiastunami nowości w strategii amerykańskiej. Podejmowane przez administrację prezydenta Obamy próby „nowego otwarcia" na świat islamu, „reset" względem Iranu czy też uporczywe popieranie niezbyt konstruktywnych działań Turcji i Arabii Saudyjskiej w regionie – wszystko to rodzi w Izraelu obawy o przyszłość strategicznego przymierza z USA. Zwłaszcza że Waszyngton zaczął również wywierać bezprecedensowe naciski na Tel Awiw-Jafę w celu szybkiego zawarcia układu pokojowego z Palestyńczykami, na warunkach godzących w istocie w interesy strategiczne Izraela, a także w zauważalny sposób obniżył poziom współpracy i wymiany informacji między różnymi organami władzy i instytucjami amerykańskimi a izraelskimi. Nic zatem dziwnego, że od kilku lat coraz częściej słychać w Izraelu opinie, iż Amerykanie faktycznie opuścili swego najwierniejszego sojusznika na Bliskim Wschodzie.

ŹRÓDŁO CHAOSU

Nieporozumienia w relacjach z USA nie stanowiłyby jeszcze problemu dla Izraela, gdyby nie inne czynniki, które pojawiły się w otoczeniu międzynarodowym tego państwa. Wybuch w 2011 roku rewolucji i wojen na Bliskim Wschodzie, a także w Afryce Północnej, składających się na Arabską Wiosnę, doprowadził w krótkim czasie do gwałtownego załamania kruchej równowagi strategicznej w tej części świata. Efektem takiego obrotu wydarzeń stał się totalny chaos, jaki zapanował od Libii, przez Egipt, Jemen, aż po Syrię i Irak. Relatywnie przewidywalne i do niedawna w miarę ustabilizowane (w skali realiów Bliskiego Wschodu) otoczenie państwa żydowskiego stało się tym samym całkowicie niestabilne i niemożliwe do jakiejkolwiek strategicznej kontroli oraz analitycznej predykcji. Szczególnie negatywna rola przypadła tu Syrii, która po 2011 roku stała się rozsadnikiem anarchii i chaosu w całym regionie.

Prawdziwe problemy nadeszły jednak w 2014 roku, gdy Islamskie Państwo Iraku i Lewantu (ISIS) powołało do życia kalifat. Pojawienie się na scenie bliskowschodniej kolejnego aktora szybko wpłynęło na dalsze dramatyczne pogorszenie sytuacji geopolitycznej Izraela. Bo choć na razie Państwo Islamskie (IS) nie czyni z postulatu wymazania Izraela z mapy świata swego pierwszorzędnego celu, to ideologia kalifatu nie pozostawia złudzeń, że raczej prędzej niż później kwestia „wyzwolenia" Al-Quds (Jerozolimy) znajdzie się na samym szczycie listy jego priorytetów. Tym bardziej że oddziaływanie ideologiczne i wpływy IS w regionie systematycznie rosną i zwiększa się liczba miejsc, w których powstają prowincje (wilajety) kalifatu. Jedną z najaktywniejszych i najbardziej skutecznych w działaniu jest prowincja Synaj, „flankująca" Izrael od południowego zachodu i w dalszej przyszłości mogąca zagrozić bezpośrednio terytorium państwa izraelskiego.

Chaos i niestabilność, które ogarnęły cały Bliski Wschód po 2014 roku, umożliwiły także szybki wzrost znaczenia i pozycji Islamskiej Republiki Iranu – tego „arcywroga" państwa żydowskiego. Iran latem 2014 roku stał się ostatnią deską ratunku dla chwiejącego się w posadach Iraku, ratując to państwo przed upadkiem, a jego stolicę przed zajęciem przez hordy siepaczy kalifatu. Od tego momentu Teheran – choć nieformalnie – stanowi w istocie bardzo ważny element skomplikowanego międzynarodowego układu sił, spajanego jednym wspólnym celem – powstrzymaniem (a potem zniszczeniem) Państwa Islamskiego. Irańczycy szybko odnaleźli się w tej dość dwuznacznej sytuacji. Korzystając z okazji, że ich zaangażowanie w Iraku w istocie jest warunkiem przetrwania rządu w Bagdadzie, przekuli to w dyplomatyczny sukces podczas genewskich rokowań, dotyczących porozumienia z Zachodem w sprawie programu nuklearnego. Zawarcie tego układu, a w nieodległej perspektywie realna szansa na zniesienie międzynarodowych sankcji ekonomicznych i finansowych, stanowi duży strategiczny sukces Teheranu, umacniający jego pozycję w regionie.

Ten „rapprochement" między Iranem a Zachodem ma jednak poważny skutek uboczny w postaci zwiększenia swobody działań Teheranu zmierzających do realizacji jego dalekosiężnych interesów strategicznych i ideologicznych. Nie dziwi więc, że Irańczycy zintensyfikowali ostatnio swe zaangażowanie w Syrii po stronie rządu Baszszara al-Asada, zwiększyli wsparcie dla Hezbollahu w Libanie, →

IZRAELCZYKOM NIE POZOSTAJE NIC INNEGO, JAK UWAŻNA OBSERWACJA WYDARZEŃ ROZGRYWAJĄCYCH SIĘ W OTOCZENIU ICH PAŃSTWA

ruchu Hutich w Jemenie oraz społeczności szyickich rozsianych po całym Bliskim Wschodzie. To z kolei, na zasadzie geopolitycznego domina, musiało wywołać reakcję Arabii Saudyjskiej, głównego rywala Iranu w regionie i w świecie islamu.

W sytuacji, w której Irańczycy i Saudyjczycy stoją niemalże na krawędzi otwartej konfrontacji militarnej, Izrael powinien być beneficjentem. W istocie jednak ostatnie gwałtowne zaognienie relacji między Arabią a Iranem – dwiema regionalnymi potęgami, od dawna skonfliktowanymi – jeszcze bardziej osłabia geopolityczną pozycję państwa żydowskiego. Ponowne rozniecenie ognia religijnej konfrontacji sunnicko-szyickiej na Bliskim Wschodzie (a nawet i w Azji Południowej) jest bowiem czynnikiem, który dodatkowo pogarsza i tak fatalną sytuację pod względem bezpieczeństwa w całym regionie.

SYRYJSKA PUŁAPKA

Obecnie Izrael nie ma wielu możliwości działania. Całkowita nieprzewidywalność zachodzących w regionie wydarzeń sprawia, że nie pozostaje mu nic innego, jak uważna obserwacja wydarzeń w otoczeniu państwa i reagowanie na nie. Nie jest to jednak wbrew pozorom działanie proste, nawet dla tak wysoce wyspecjalizowanych i doświadczonych służb, jak izraelskie. O pewnej nieporadności elit politycznych i wojskowych Izraela w kwestii redefinicji środowiska strategicznego kraju może świadczyć choćby to, że wciąż za największe zagrożenie dla bezpieczeństwa są uznawane „klasyczne" kierunki, a więc nie tylko Hezbollah czy Iran, lecz także reżim Al-Asada w Damaszku. To zapewne dlatego kilkakrotnie w ostatnich latach izraelskie lotnictwo bojowe dokonywało nalotów na magazyny wojskowe w ogarniętej wojną Syrii, w których miało się znajdować uzbrojenie przeznaczone dla libańskich sojuszników Damaszku. Prawdopodobnie także z tych samych powodów Izraelczycy nieformalnie wspierają w południowej Syrii tzw. umiarkowanych islamistów, walczących z syryjskimi siłami rządowymi. A istnieją też liczne i dobrze udokumentowane doniesienia, że w tym samym regionie ze wsparcia izraelskiego korzystali nawet lokalni komendanci Frontu al-Nusra, czyli syryjskiej ekspozytury Al-Kaidy. Rzecz zakrawająca na paradoks, ale jak najbardziej mieszcząca się w skomplikowanej „poetyce" realiów bliskowschodnich.

Z pewnością u podstaw tych działań – oprócz samej chęci osłabienia reżimu w Damaszku, będącego zdeklarowanym wrogiem Izraela – leży także dążenie do wykreowania w Syrii sytuacji, która wymusiłaby dalsze i mocniejsze zaangażowanie się Iranu. Stratedzy w Tel Awiwie-Jafie zdają sobie bowiem doskonale sprawę, że chaos w sąsiedniej Syrii, choć groźny, jest równocześnie doskonałą okazją do założenia swego rodzaju strategicznej pułapki, przeznaczonej zarówno dla Iranu i jego regionalnych sojuszników, jak i np. dla skłóconej z Izraelem Turcji. Izraelczycy mają zapewne nadzieję, że przedłużający się konflikt w Syrii stanie się dla interweniujących w obronie Al-Asada Irańczyków tym, czym ponad dekadę temu Irak okazał się dla Amerykanów – czyli strategicznym koszmarem, drenującym siły i środki oraz wymuszającym skupienie nań niemal całej uwagi i aktywności państwa kosztem innych ważnych kierunków i celów polityki międzynarodowej.

Szybko rosnące ostatnio zaangażowanie, zarówno samego Iranu, jak i Hezbollahu, w konflikt syryjski staje się zatem z perspektywy izraelskiej swoistą polisą ubezpieczeniową. Trudno bowiem oczekiwać, aby np. Hezbollah – od ponad trzech lat utrzymujący w Syrii stały kontyngent 10–15 tys. swych najlepszych bojowników i ponoszący tam znaczne straty – miał teraz ochotę i militarne możliwości na otwarcie drugiego frontu, czyli rozpoczęcie kolejnej wojny z Izraelem. Podobnie Iran, zajęty wspieraniem swych syryjskich, irackich, jemeńskich i bahrajńskich sprzymierzeńców, nie ma już zbyt wielu możliwości, aby skutecznie wywierać bezpośrednią presję na Izrael. Cierpi na tym bez wątpienia proirański Hamas oraz sama sprawa palestyńska. Geopolityka kieruje się jednak bezwzględnymi zasadami. A jeśli w taką pułapkę syryjską udałoby się złapać także i coraz bardziej buńczuczną Turcję, strategiczny sukces Izraelczyków byłby więcej niż pełny.

Czas pokaże, czy te izraelskie zamiary uda się zrealizować. Warto jednak odnotować, że Izrael jest obecnie jedynym państwem regionu, z którym Rosja zawarła formalne porozumienie o szczegółowej notyfikacji swych działań w przestrzeni powietrznej Syrii. Takiej umowy nie mają nawet Amerykanie, którzy jedynie otrzymują od Moskwy ogólnikowe zapowiedzi dotyczące działań rosyjskiego lotnictwa w takim czy innym regionie Syrii, co zresztą skutecznie blokuje (i tak wątłą) aktywność koalicyjnego lotnictwa nad tym krajem.

Dla Izraela i jego mieszkańców życie w cieniu ciągłego zagrożenia to od dawna codzienność. Nigdy jednak sytuacja w otoczeniu państwa izraelskiego nie była aż tak nieprzewidywalna. Wszystko to sprawia, że niemal dokładnie w 70. rocznicę powstania, państwo żydowskie znalazło się na ostrym zakręcie swej historii i chyba po raz pierwszy w jego dziejach przyszłość rysuje się raczej w ciemnych barwach. ■

TĘSKNOTA ZA OTWARCIEM

Z Anną Krasnowolską

o powyborczych łamigłówkach i teherańskiej ofensywie rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

W Iranie odbyły się pierwsze po zniesieniu zachodnich sankcji wybory parlamentarne. Czy ich wynik może zdecydować o kierunku zmian w tym kraju?

Wydaje się, że jest uzasadniony ostrożny optymizm, bo wszystko wskazuje na to, że przewagę uzyskali reformatorzy. Nie spodziewam się jednak gwałtownych zmian. Od końca wojny z Irakiem i śmierci ajatollaha Chomejniego widać tendencję do powolnej ewolucji tego anachronicznego systemu narzuconego przez rewolucję islamską. Świadczą o tym wyniki ostatnich wyborów parlamentarnych i prezydenckich, ale trzeba pamiętać, że rząd i parlament w Iranie nie są głównymi ośrodkami władzy decydującymi o kierunkach polityki.

Obóz umiarkowany zdobył większość w parlamencie, ale nie ma samodzielnej większości. Skrzydło konserwatywne jest nadal silne.

Jedni i drudzy twierdzą, że stali się mocniejsi. Te dwa skrzydła nie są jasno rozgraniczone, dopiero podczas głosowań w parlamencie się okaże, kto jakie ma poglądy. Z jednej strony są posłowie określani jako fundamentaliści, związani z duchowym przywódcą Iranu ajatollahem Alim Chameneim. Z drugiej zwolennicy reform, którzy weszli z listy nazwanej listą nadziei, którą Chamenei przed wyborami nazwał listą brytyjską, czyli sterowaną z zagranicy. Jest także grupa kandydatów umiarkowanych, pragmatyków określanych jako prorządowi, czyli popierających prezydenta Hasana Rouhaniego, a także kandydaci niezależni, o których niewiele wiadomo. Obie strony sceny politycznej chciałyby ich zawłaszczyć.

Irańczycy wybierali także Zgromadzenie Ekspertów, które wyłoni kolejnego przywódcę religijnego.

System polityczny Iranu jest dość skomplikowany. Są w nim instytucje demokratyczne, np. parlament czy prezydent, wybierani w wyborach powszechnych. W tym roku obchodzimy 110. rocznicę powołania pierwszego parlamentu i przekształcenia monarchii absolutnej w konstytucyjną – przypomnę, że było to w 1906 roku. Długa jest tradycja koabitacji władzy demokratycznej najpierw z monarchią, a potem z najwyższym autorytetem religijnym. Parlament jest jednak kontrolowany przez władzę nadrzędną, dawniej – przez szacha, dziś – przez najwyższego przywódcę i podległe mu instytucje, które dublują instytucje państwowe →

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

i je ograniczają. Jest to m.in. 12-osobowa ortodoksyjna Rada Nadzorcza, nazywana u nas Radą Strażników, która opiniuje osoby mające kandydować na posłów oraz do Zgromadzenia Ekspertów – ciała wybierającego najwyższego przywódcę religijnego, a także osobę na urząd prezydenta. Przez jej sito nie przechodzi większość kandydatów opozycyjnych. W tym roku odrzuciła wielu znanych polityków z pierwszego szeregu. Kontroluje działanie Madżlesu, czyli parlamentu, w taki sposób, że każda procedowana ustawa musi zyskać jej akceptację. Czuwa, aby ustrój Iranu nie zatracił charakteru muzułmańskiego.

Czy wszyscy członkowie Zgromadzenia Ekspertów są konserwatystami?

To gremium ze swej natury jest bardziej konserwatywne niż parlament, a jego członkowie są wybierani przede wszystkim spośród duchownych. Do Zgromadzenia weszło sporo zwolenników reform, w tym urzędujący prezydent Hasan Rouhani i były prezydent Ali Akbar Haszemi Rafsandżani, a nie udało się to kilku ważnym ideologom konserwatywnym. Ponadto wewnątrz Zgromadzenia ujawnia się spór między uczonymi z wielkich szkół teologicznych a duchownymi, którzy weszli do aparatu władzy i stali się politykami. Klasycznym przykładem jest tu Chamenei, który nie miał autorytetu religijnego, gdy został najwyższym przywódcą, i nadal nie jest poważany w kręgach teologów szyickich.

Został jednak wskazany przez Chomejniego.

Chamenei gwarantował kontynuację bardzo konserwatywnej polityki, choć w momencie gdy Chomejni desygnował go na swego następcę, nie był on religijnym autorytetem, nie był nawet ajatollahem. Aby nim zostać, trzeba mieć dorobek w postaci traktatu prawno-religijnego, będącego zwykle komentarzem do pism któregoś z poprzedników. Ale tylko nieliczni z szyickich ajatollahów zostają uznani za „wzór do naśladowania" dla wiernych. Według konstytucji z 1979 roku najwyższy przywódca miał być wybierany spośród takich właśnie osób, ale w wersji z roku 1989 wystarczającym warunkiem wyboru może być wiedza prawno-religijna lub doświadczenie polityczne kandydata. Prawdopodobnie następna osoba wybrana na stanowisko najwyższego przywódcy także będzie bardziej politykiem niż autorytetem religijnym, ponieważ taką praktykę usankcjonował wybór Chameneiego. Najwyższy przywódca religijno-polityczny wyznacza kierunki polityki kraju, jest głównodowodzącym sił zbrojnych i ma szerokie prerogatywy, pozwalające kontrolować bezpośrednio lub przez podległe mu ciała wszystkie instytucje polityczne, nie wyłączając wybieranego w wyborach powszechnych prezydenta.

Nie wierzę w to, aby Teheran miał zamiar użyć broni atomowej, choć nie wątpię, że zależy mu na jej posiadaniu

Rada Nadzorcza nie dopuściła do wyborów wnuka ajatollaha Chomejniego, bo jak tłumaczyła, „nie można było zweryfikować jego kompetencji religijnych".

Hasan Chomejni został „wycięty", bo sympatyzuje z obozem pragmatycznym. W Iranie toczy się spór o Chomejniego, który można do pewnego stopnia porównać z naszym o Wałęsę – w obu wypadkach chodzi o interpretację postaci założyciela i mitu założycielskiego. Niektórzy doszukują się w pismach i wypowiedziach Chomejniego elementów, które pozwoliłby zliberalizować ustrój.

W połowie stycznia 2016 roku Stany Zjednoczone wraz z Unią Europejską zniosły sankcje nałożone na Iran, uznając, że Teheran spełnił warunki społeczności międzynarodowej, domagającej się rezygnacji reżimu ajatollahów z programu atomowego. Czy wierzy Pani Irańczykom, że dotrzymają tego porozumienia?

Zależy od tego, jak będzie się rozwijała sytuacja międzynarodowa. Nie wierzę w to, aby Teheran miał zamiar użyć broni atomowej, choć nie wątpię, że zależy mu na jej posiadaniu. Jest ona ważnym atrybutem prestiżu i siły militarnej, a Iran dąży do odbudowania swojej roli w regionie. Po zakończeniu zimnej wojny Irańczycy czuli się osaczeni – otoczeni krajami proamerykańskimi. Czy zrezygnują z kontynuowania programu? Trudno powiedzieć. Zniesienie sankcji bardzo jednak zmienia sytuację w tym kraju i regionie.

Kto zyska, a kto straci na tym nowym otwarciu związanym ze zniesieniem sankcji?

Najwięcej zyskuje Iran, i gospodarczo, i politycznie. Sankcje dusiły Iran gospodarczo, powodując ostry kryzys i obniżenie standardów życia. Wprawdzie niskie ceny ropy utrudniają odbudowę gospodarki, ale nadzieję na to dają inwestycje zagraniczne, bo natychmiast po zniesieniu

sankcji ruszyły rozmowy z wieloma zagranicznymi koncernami. Prezydent Rouhani podpisał kontrakty z Włochami i Francuzami. Zachęca też do inwestowania Amerykanów. Zyskują także Stany Zjednoczone – na pewno walka z Państwem Islamskim leży we wspólnym interesie USA i Iranu. Poza tym w USA mieszka około miliona emigrantów irańskich, bogatych i dobrze wykształconych. Są oni zainteresowani gospodarczą współpracą z Iranem. Beneficjentem otwarcia Iranu na świat staje się też Turcja. Mimo różnic dzielących te dwa kraje na tle konfliktu syryjskiego, nasilają się kontakty gospodarcze – Turcja np. importuje irański gaz.

A Rosja? W ostatnich latach dostarczała Teheranowi sporo broni.

Zniesienie sankcji otwiera nowe możliwości udziału Rosji w modernizacji irańskiej armii oraz Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. Długa jest lista planowanych zakupów w Rosji, znajdują się na niej m.in. rakiety S-300 i S-400, samoloty Su-30 MS, Jak-130, śmigłowce transportowe Mi-17, rakiety manewrujące, naddźwiękowe pociski przeciwokrętowe Jachont, czołgi T-90, okręty podwodne i nawodne. Rosja planuje zakup irańskiej ropy naftowej w regionach przygranicznych oraz budowę linii kolejowej na północy Iranu. Na południu takie połączenia chcą wybudować Hindusi oraz Chińczycy. Równocześnie powrót ropy irańskiej na rynek światowy oznacza dalszy spadek jej ceny, niekorzystny dla Rosji.

Regionalnym rywalem szyickiego Iranu w świecie muzułmańskim jest Arabia Saudyjska.

To największe i najbogatsze państwo arabskie. Arabia Saudyjska jest także poważnym naftowym rywalem Iranu. Chce przewodzić sunnitom w regionie. Problem polega na tym, że w krajach z przewagą sunnitów żyją także mniejszości szyickie. W Jemenie np. szyici stanowią połowę ludności. Choć ten szyizm jest inny niż irański, Teheran chce przewodzić szyitom i ingeruje tam, gdzie dochodzi do konfliktu. Kompromisu nie widać, ale można się spotkać z opinią, że jeśli ocieplenie między Turcją a Iranem się utrzyma, to Ankara, która jest w dobrych stosunkach z Rijadem, mogłaby się stać mediatorem między Arabią a Iranem, a Iran mógłby być podobnym mediatorem między Turcją a Rosją. Na razie są to jednak tylko pobożne życzenia.

Jaka jest rola Iranu w walce z Państwem Islamskim?

Irańczycy walczą z Państwem Islamskim w Iraku, gdzie zagraża ono ludności szyickiej, i w Syrii, gdzie jest wrogiem szyickiego prezydenta Baszszara al-Asada. Fundamentalizm sunnicki jest także potencjalnym zagrożeniem dla Iranu, który ma własne mniejszości sunnickie, dyskryminowane dodatkowo jako mniejszości etniczne i żyjące w biednych, zaniedbanych gospodarczo regionach przygranicznych, więc mające powody do niezadowolenia. Iran mógłby ewentualnie stać się sojusznikiem USA w walce z Państwem Islamskim, gdyby oba kraje miały podobne plany co do przyszłości Syrii. Tymczasem Stany Zjednoczone chcą odsunąć Asada od władzy, podczas gdy Iran pomaga mu ją utrzymać, zwalczając zarówno Państwo Islamskie, jak i bardziej umiarkowane grupy opozycyjne. Nie popiera też idei przekształcenia Syrii w państwo federacyjne.

Czy Iranowi uda się odzyskać pozycję regionalnego mocarstwa, jakim niegdyś była Persja?

Pozycja Iranu zależy m.in. od losów wojny syryjskiej. Pewnie uda się mu zbudować silniejszą gospodarkę. Sporo zależy od wewnętrznych reform, do których nie dojdzie gwałtownie, lecz ewolucyjnie. Jeśli Iran ma odbudować międzynarodową pozycję, musi zliberalizować się wewnętrznie. Nowy parlament może w tym pomóc, zmieniając powoli prawo w dziedzinach, w których jest to możliwe. To przede wszystkim kwestie praw człowieka i kultury. Drakońskie prawo karne szafujące karą śmierci, także wobec nieletnich, prawo rodzinne dyskryminujące kobiety, represje wobec opozycji, cenzura polityczna i obyczajowa – to dziedziny, które może da się zliberalizować.

Skoro złożona z 12 konserwatywnych prawników Rada Nadzorcza sprawdza zgodność ustaw z prawami islamu, to może chyba zastopować liberalne zmiany przyjęte przez parlament?

Może, ale zmienia się atmosfera, poszerza się sfera dyskusji i zwiększa społeczny nacisk wymuszający zmiany. Wyniki wyborów pokazują determinację ludzi do wytyczenia nowego i bardziej pragmatycznego kursu polityki wewnętrznej i zagranicznej. Reformatorzy w Madżlesie będą naciskać na prezydenta, by spełnił swoje obietnice wyborcze, poszerzając sferę wolności i otwarcie na świat zewnętrzny. Nie można lekceważyć tęsknoty ludzi za większą otwartością i wyższymi standardami życia. Obserwatorzy sygnalizują bardziej zdecydowane niż dotychczas wypowiedzi prezydenta, ośmielonego zniesieniem sankcji i korzystnym przebiegiem wyborów. ■

PROF. ANNA KRASNOWOLSKA JEST KIEROWNIKIEM ZAKŁADU IRANISTYKI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO. SPECJALIZUJE SIĘ W LITERATURZE I KULTURZE OBSZARU PERSKOJĘZYCZNEGO.

POLSKA
ZBROJNA

PRENUME-RATA: 8 WYDAŃ (OD NR 5 DO 12)

ZAMÓW PRENUMERATĘ NA 2016 ROK

e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl
online: www.polska-zbrojna.pl
telefonicznie: +48 261 840 400

Warunkiem rozpoczęcia wysyłki jest wpłata 52 zł do 22 kwietnia 2016 roku
na konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

MICHAŁ ZIELIŃSKI

W obliczu terroryzmu

Zbliżające się szczyt NATO oraz Światowe Dni Młodzieży mogą się okazać kluczowe dla bezpieczeństwa wewnętrznego Polski, ponieważ potencjalnie stanowią atrakcyjne cele dla terrorystów.

Świat z niedowierzaniem oglądał 13 listopada 2015 roku relacje z dramatycznych wydarzeń we Francji. W wyniku zamachów w Paryżu oraz Saint-Denis zginęło 137 osób, a ponad 300 zostało rannych. Niespełna pięć miesięcy później podobna tragedia dotknęła Brukselę, gdzie bilans ofiar wyniósł przeszło 30 zabitych i powyżej 200 rannych. I chociaż nie były to najtragiczniejsze zamachy we współczesnej Europie, po raz pierwszy terroryści wykorzystywali działanie tzw. samotnych wilków w skoordynowanych atakach na masową skalę. Niewielka grupa osób luźno powiązana z tzw. Państwem Islamskim udowodniła, że do przeprowadzenia skutecznych zamachów nie potrzeba wielomiesięcznych przygotowań poprzedzonych szkoleniami w specjalnych ośrodkach. Determinacja w połączeniu z dostępem do broni wystarczyła, by nie tylko wywołać chaos w ponaddwumilionowych miastach, ale także zakłócić funkcjonowanie jednych z najważniejszych państw Unii Europejskiej.

WZROST ZAGROŻENIA W POLSCE

Masakra w teatrze Bataclan czy wybuchy bomb przy Stade de France zmusiły francuskie służby do przewartościowania podejścia względem bezpieczeństwa wewnętrznego. Ataki przeprowadzane przez samotne wilki są zbyt nagłe i krótkotrwałe. Nie ma zatem czasu na negocjacje, które dają służbom czas na planowanie operacji. Dlatego kluczem do szybkiej reakcji w razie takiego ataku mogą być rozproszone po miastach i utrzymywane w stałej gotowości pododdziały antyterrorystyczne. Jednocześnie nad Sekwaną planuje się szkolić i doposażać zwykłych policjantów w taki sposób, by część z nich uzyskała umiejętności zbliżone, w pewnym stopniu, do tych, które mają funkcjonariusze jednostek antyterrorystycznych.

„Skuteczność w walce z terroryzmem jest o wiele większa niż ze zwykłą przestępczością kryminalną. Jednocześnie jest niemożliwe, by zapobiec wszystkim atakom. Zawsze znajdzie się jakaś komórka albo nawet jedna osoba, która samodzielnie przygotuje zamach", tłumaczy ppłk rez. dr Tomasz Białek, były oficer służb specjalnych i ekspert ds. terroryzmu. Zwraca on uwagę na trudności, jakich przysparza nadzorowanie bądź wychwytywanie osób, które dotychczas nie były kojarzone z przestępczością tego typu. Zwykle są to ludzie młodzi, niewchodzący w konflikt z prawem. Zarazem często osoby po konwersji, więc niekojarzone z islamem, a co dopiero z ugrupowaniami terrorystycznymi.

Terroryści nurtu religijnego, w tym wypadku islamu, działają na bazie diaspory europejskiej. To właśnie tam mogą werbować nowych członków czy pozyskiwać fundusze. Ze względu na odsetek muzułmanów względem całego społeczeństwa oraz ich realną liczbę, sytuacja w Polsce jest o wiele bardziej bezpieczna niż we Francji, w Hiszpanii lub Niemczech. Według różnych szacunków, w Polsce muzułmanów jest od 15 do 25 tys. Większość z nich skupia się wokół rodzimych, dobrze zintegrowanych kręgów wyznaniowych, przez co terrorystom ciężko je infiltrować. Nie chroni nas to jednak przed zagrożeniami z zewnątrz.

„W związku z organizacją szczytu NATO oraz Światowych Dni Młodzieży znacznie rośnie poziom zagrożenia", podkreśla ppłk Tomasz Białek. „Strefa Schengen umożliwia łatwe przedostanie się do naszego kraju. Rozwiązaniem mogłyby być tymczasowe kontrole na granicach, ale przy wzmożonym ruchu i randze wydarzeń to nie wystarczy. Nie trzeba jednak działać nerwowo, lecz postępować zgodnie z procedurami. Każda służba powinna znać zadania nie tylko już teraz, na etapie przygotowania, ale i wiedzieć, co będzie robiła podczas bezpośrednich zabezpieczeń".

DZIAŁANIA POŁĄCZONE

W chwili, w której Ministerstwo Obrony Narodowej zdecydowało o przyłączeniu Polski do koalicji państw walczących z Państwem Islamskim, pojawiły się głosy o nadmiernej ekspozycji na ewentualny odwet islamistów. Obawy nie są nieuzasadnianie, ale zadania wykonywane poza →

granicami kraju mają bezpośredni wpływ na bezpieczeństwo Polaków, a polska armia, w tym wchodzące w jej skład siły specjalne, legitymuje się olbrzymim doświadczeniem w walce z terrorystami.

Podczas operacji „Enduring Freedom" („Trwała wolność"), Międzynarodowych Sił Wsparcia Bezpieczeństwa (ISAF) i „Resolute Support" w Afganistanie operatorzy Jednostki Wojskowej Komandosów i GROM-u nie tylko eliminowali cele z listy najbardziej niebezpiecznych terrorystów (Joint Prioritized Effect List – JPEL), lecz także przeprowadzali akcje odbijania zakładników. Komandosi z Lublińca wykonali też spektakularną operację „Sledgehammer". To właśnie w prowincji Paktika nasze siły specjalne stanęły oko w oko z fanatycznymi terrorystami samobójcami. Wszyscy zakładnicy zostali wówczas uwolnieni, a terroryści zneutralizowani przy braku strat własnych.

Doświadczeniami zdobytymi w operacjach bojowych operatorzy z JWK dzielą się z samodzielnymi pododdziałami antyterrorystycznymi policji (SPAP) województw śląskiego i dolnośląskiego, a także z sekcją antyterrorystyczną policji opolskiej. SPAP-y muszą operować w ramach uprawnień policji, dlatego w stosunku do charakteru działań w Afganistanie, przez wielu określanych działaniami wojennymi, umiejętności te należy adaptować. Komandosi zapoznają policyjnych antyterrorystów z taktyką i technikami działania islamskich grup terrorystycznych oraz przestępczych. Pokazują także metody walki z tymi zagrożeniami, które zakładają fizyczne zwalczanie terroryzmu. Nie są to jednak ćwiczenia jednostronne. Specjalsi z Lublińca również czerpią z nich korzyści. Wiedzę zdobytą podczas wspólnych zajęć wykorzystują, szkoląc jednostkę antyterrorystyczną policji w Afganistanie, tzw. ATF-444 (popularną i odnoszącą sukcesy Triple Four).

Wnioski płynące z tego typu aktywności są pozytywne. Specyficzność sił specjalnych oraz środki i sprzęt, jakimi dysponują, mogą znacząco usprawnić działanie policji. Przykładem są ćwiczenia „Bezpieczny Śląsk" zorganizowane pod koniec 2015 roku pod egidą Urzędu Marszałkowskiego Województwa Dolnośląskiego i Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu. Ich głównym celem było ujednolicenie i synchronizacja działań jednostek policyjnych oraz wojskowych. Scenariusz ćwiczeń przewidywał wiele połączonych ze sobą ataków terrorystycznych przypominających wydarzenia we Francji lub w Bombaju. Symulowane ataki przeprowadzono w środkach komunikacji publicznej i obiektach miejskich. Duży nacisk położono nie tylko na siłową neutralizację zagrożenia oraz ratunek zakładników, ale również na elementy tzw. czerwonej taktyki. Za pomoc ofiarom odpowiadali zarówno medycy z grup szturmowych, jak i ratownicy lokalnych szpitalnych oddziałów ratunkowych. Na przykładzie wydarzeń z Bataclanu widać, że przeprowadzenie natychmiastowego szturmu wymaga nie tylko doborowych oddziałów, ale także zaplecza mogącego minimalizować ryzyko zgonów wśród rannych.

Ćwiczący podkreślają, że mimo złożoności zadań ich realizacja nie budziła zastrzeżeń. „Współpracę prowadziliśmy na każdym szczeblu, łącznie z wymianą operatorów w zespołach bojowych. Nawet przy odmiennej charakterystyce służby, bardzo dobrze wyszkolony operator bez trudu odnajdzie się w nowej roli. Komunikacja przebiega bez żadnych problemów, a jednocześnie wsparcie wojska przenosi nasze działania na nowy poziom", tłumaczą dowódcy grup szturmowych wrocławskiego SPAP-u. Jest ważne, by polskie prawo nadążało za takim podejściem.

PRAWO DO UŻYCIA SIŁY

Istnieje wiele aktów prawnych dopuszczających użycie wojska na terytorium Rzeczypospolitej. Odniesienia do tego typu operacji znajdziemy m.in. w ustawach o Policji, Żandarmerii Wojskowej, stanie wyjątkowym, zarządzaniu kryzysowym, a także w art. 3.2 ustawy o powszechnym obowiązku obrony Rzeczypospolitej Polskiej. W „Strategii obronności Rzeczpospolitej Polskiej" możemy znaleźć zapisy o udziale Sił Zbrojnych RP w działaniach antyterrorystycznych w kraju i poza jego granicami. Zgodnie z „Narodowym programem antyterrorystycznym 2014–2019" polska armia ma utrzymać gotowość do wsparcia policyjnych działań antyterrorystycznych. Obowiązujące prawo reguluje każdy aspekt współdziałania służb z wojskiem, jednak o jego sile decydują nie tylko zapisy, ale przede wszystkim kompetencje dowódców i wymiaru sprawiedliwości.

„Przepisy prawne mają to do siebie, że podlegają ocenie. Ich interpretacja powinna nie

MICHAŁ ZIELIŃSKI

tylko przebiegać na korzyść bezpieczeństwa państwa, ale również otaczać opieką funkcjonariuszy, którzy w granicach swoich uprawnień chronią życie ludzkie". Płk rez. Tomasz Białek uczestniczył m.in. w pracach nad ustawą o środkach przymusu bezpośredniego i broni palnej. Strzelanie jest skrajną formą przeciwdziałania terroryzmowi, ale to właśnie na tym przykładzie widać najlepiej, jak wykładnia prawa może wpływać na sprawność działania służb.

Dowódcy grup specjalnych JWK oraz SPAP-u przyznają, że przepisy mogłyby zostać usprawnione pod kątem przyspieszenia procesów sztabowych, ale sugestie dotyczą także zmian na poziomie uprawnień operatorów. Za przykład może posłużyć ułatwiony dostęp do broni palnej po godzinach służbowych, co pozwoliłby im na natychmiastową reakcję niemal w dowolnym momencie. W końcu każdy z nich prowadzi prywatne życie – robi zakupy w centrach handlowych, chodzi do kina i na koncerty. Mierząc się z sytuacją zbliżoną do tej z Paryża, która zastanie ich w czasie wolnym, nie musieliby stawać naprzeciw terrorystów nieuzbrojeni. Za argument w tej sprawie mogą posłużyć wydarzenia z 2014 roku z Chorzowa. Chcący zrabować broń automatyczną i amunicję mającą posłużyć do masakry w jednym ze śląskich centrów handlowych, uczęszczający na strzelnicę mężczyzna zabił swojego instruktora. Nieoficjalnie mówi się, że żołnierze wraz z policjantami przeprowadzili symulację, która miała ukazać skutki tego zajścia. W sytuacji, w której sprawca przed przyjazdem antyterrorystów musiałby zmierzyć się z operatorem po służbie, liczba ofiar malała diametralnie.

Istotny jest także łatwy dostęp do obiektów użytku publicznego, które mogą się stać celem ataków. Przetrenowanie działań w ich wnętrzach, zaznajomienie się z infrastrukturą oraz rozkładem pomieszczeń jest kluczowe, zwłaszcza przy szturmie natychmiastowym. W tym wypadku dużą rolę odgrywa chęć właścicieli budynków, by na prośbę wojska udostępnić je do ćwiczeń. Jednocześnie coraz więcej zarządców tego typu obiektów dostrzega, że ponosząc minimalny koszt, znacząco podnoszą poziom bezpieczeństwa gości. Operatorzy ćwiczyli już m.in. w katowickim Spodku oraz wrocławskiej archikatedrze.

SZCZEGÓLNE ROZWIĄZANIA

Czerwone punkty na mapie ukazującej miejsca zamachów terrorystycznych przeprowadzonych po 11 września powoli zbliżają się do granic Polski. Powinno to przede wszystkim zmobilizować władze do opracowania rozwiązań, które umożliwią służbom oraz wojsku błyskawiczną reakcję. Niedawno Rada Ministrów przyjęła projekt specustawy o szczególnych rozwiązaniach dotyczących organizacją wizyty papieża Franciszka podczas Światowych Dni Młodzieży. Minister spraw wewnętrznych i administracji Mariusz Błaszczak zapowiedział również, że jeszcze przed lipcowym szczytem NATO zostanie przyjęta ustawa antyterrorystyczna .

„Obecnie jesteśmy przygotowani, ale mam nadzieję, że w ciągu najbliższych paru miesięcy poziom gotowości będzie jeszcze wzrastał. W świecie antyterroryzmu sytuacja zmienia się bardzo dynamicznie. Jedna źle podjęta decyzja może zaprzepaścić wiele pracy, którą funkcjonariusze wkładają w przeciwdziałanie zagrożeniu", podsumowuje ppłk rez. Tomasz Białek.

W związku z nowym zagrożeniem służby wypracowały odpowiednie metody działania, co znacząco wpływa na liczbę przeprowadzonych zamachów. Po zeszłorocznych wydarzeniach we Francji opinię publiczną obiegły informacje o masowych aresztowaniach członków Państwa Islamskiego oraz Al-Kaidy działających na terenie Europy. Potwierdza to nie tylko skuteczność stosowanych rozwiązań, lecz także jest formą profilaktyki. Z jednej strony pokazuje, że władza dysponuje środkami, które zapewniają bezpieczeństwo obywatelom, a z drugiej terroryści dostają sygnał, że szanse powodzenia zamachów są nikłe. ■

SZKOLENIA WSPÓLNIE Z ŻOŁNIERZAMI SIŁ SPECJALNYCH MOGĄ ZNACZĄCO USPRAWNIĆ DZIAŁANIE POLICJI

KAMIL SZUBART

Kolejny cios

Za najkrwawszymi zamachami w historii Belgii stoją członkowie komórek terrorystycznych, które przeprowadziły symultaniczne ataki we Francji.

W atakach terrorystycznych na międzynarodowy port lotniczy Zaventem i brukselską stację metra Maelbeek, znajdującą się w pobliżu budynków instytucji Unii Europejskiej, śmierć poniosło ponad 30 osób, a 200 zostało rannych. Według komunikatu Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP w zamachach było poszkodowanych trzech polskich obywateli, którzy zostali poddani hospitalizacji w szpitalach brukselskich.

TERRORYŚCI PRAWDOPODOBNIE WYKORZYSTALI KLASYCZNEJ KONSTRUKCJI IMPROWIZOWANE URZĄDZENIA WYBUCHOWE

ATAK NA CELE MIĘKKIE

Za najkrwawszymi zamachami w historii Belgii stoją członkowie komórek terrorystycznych, które przeprowadziły symultaniczne ataki w Paryżu i Saint-Denis 13 listopada 2015 roku. Modus operandi zamachów w Paryżu i Brukseli został oparty na ataku na tzw. cele miękkie, czyli infrastrukturę użyteczności publicznej, która gwarantuje maksymalizację liczby ofiar przy jednoczesnej minimalizacji ryzyka wykrycia potencjalnych zamachowców przed dokonaniem detonacji, względnie otwarciem ognia z broni maszynowej.

W dwóch eksplozjach na lotnisku Zaventem oraz w składzie metra na stacji Maelbeek użyto ładunków wybuchowych o konstrukcji podobnej jak w zamachach w Paryżu. Wykorzystano nadtlenek acetonu (TATP) oraz od kilku do kilkunastu kilogramów drobnych metalowych przedmiotów, działających na zasadzie szrapneli. Niewykluczone, że w metrze posłużono się tzw. pasem szahida zawierającym około kilograma TATP i 3–4 kg szrapneli. W detonacjach na Zaventem, według belgijskich służb przeprowadzonych przez braci Ibrahima i Khalida el-Bakraoui, prawdopodobnie wykorzystano klasycznej konstrukcji improwizowane urządzenia wybuchowe (IED), które, jak wskazują nagrania z lotniskowego monitoringu, zostały ukryte w czarnych torbach podróżnych umieszczonych na wózkach bagażowych prowadzonych przez obu braci i trzeciego mężczyznę, najprawdopodobniej Najima Laachraoui. Jest on uważany za konstruktora wszystkich bomb użytych podczas ataków w Paryżu i Brukseli. Biorąc pod uwagę, że ładunek wybuchowy skonstruowany na bazie TATP jest podatny na przypadkową i niezamierzoną detonację, np. w wyniku gwałtownego wstrząsu, wymaga on zaawansowanej wiedzy pirotechnicznej, którą Najim Laachraoui zdobył w obozach szkoleniowych Państwa Islamskiego w Syrii w 2013 roku.

EFEKT DOMINA

Działania francuskich i belgijskich służb, które od listopada 2015 roku przeprowadziły ponad 100 akcji, zatrzymując 58 osób, w tym 30 związanych bezpośrednio z atakami we Francji, prawdopodobnie przyspieszyły realizację planów zamachowców. Kluczowe znaczenie miały tutaj wspólne belgijsko-francuskie operacje w Forest, Brukseli i Namur. W jednej z nich 15 marca na Rue du Dries w Forest w Regionie Stołecznym Brukseli zginął 35-letni Algierczyk Mohamed Belkaid. Mężczyzna był odpowiedzialny za finanse terrorystów.

W operacji w Namur, około 70 km na południe od Brukseli, przeprowadzonej równolegle ze szturmem w Forest, uderzono na jeden z lokali konspiracyjnych, który został wynajęty przez Najima Laachraoui. Niestety belgijskim służbom nie udało się zatrzymać dwóch podejrzanych, którymi najprawdopodobniej byli bracia El-Bakraoui. Sukcesem zakończyła się jednak obława z 18 marca w brukselskiej dzielnicy Maelbeek, w której zatrzymano Salaha Abdeslama. Na konferencji prasowej dzień przed zamachami w Brukseli prokuratorzy generalni: Belgii – Frédéric Van Leeuw, i Francji – François Molins, poinformowali, że Salah Abdeslam zdecydował się na współpracę ze śledczymi, ujawniając niesprecyzowane co do czasu i miejsca informacje o planowanych zamachach. ■

GRZEGORZ JANISZEWSKI

Efekt propagandowy

Decyzja Władimira Putina o wycofaniu kontyngentu sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej z Syrii podjęta 14 marca 2016 roku była sporym zaskoczeniem, podobnie jak ta o jego użyciu z września ubiegłego roku. Zaangażowanie rosyjskiego wojska nie doprowadziło do zakończenia konfliktu w Syrii. Dobrze wpisuje się natomiast w ogłoszony niedawno rozejm pomiędzy walczącymi ugrupowaniami.

Wycofaniu z Syrii części sił, głównie samolotów transportowych i myśliwsko-bombowych, towarzyszyło wprowadzenie tam innych rodzajów uzbrojenia, w tym śmigłowców Mi-28 i Ka-52. Pozostały też siły pancerne i zmechanizowane, a przede wszystkim zestawy obrony przeciwlotniczej. Dalsza ich obecność ogranicza swobodę działań sił zbrojnych Turcji i Arabii Saudyjskiej w tamtym rejonie. Negocjowanie rozwiązania konfliktu, do czego wstępem miało być zawieszenie broni bez udziału Rosji, będzie niemożliwe. Reżim Baszszara al-Asada pod ochroną Rosji wydaje się niezagrożony, a zniszczenie tzw. Państwa Islamskiego spadnie na innych aktorów konfrontacji. Decyzja ta świadczy więc raczej o rozpoczęciu następnej fazy udziału w niej wojsk FR, a nie o ich wycofaniu z Syrii. Chodzi prawdopodobnie o podtrzymanie rządów zależnego od Rosji Baszszara al-Asada w zajmowanej przez podległe mu siły zbrojne części Syrii i dalszą obecność militarną i polityczną Rosji w tej części Bliskiego Wschodu.

Udział w interwencji zapewnił Moskwie miejsce przy stole negocjacyjnym i partnerskie traktowanie przy próbach rozwiązania konfliktu. Jednocześnie FR nie została wciągnięta w konfrontację w pełnej skali na Bliskim Wschodzie, która kosztowałaby życie rosyjskich żołnierzy i narażałaby na poważne wydatki nadszarpnięty sankcjami budżet. Sukcesy zostały więc osiągnięte relatywnie niskim kosztem.

Trwałe korzyści z udziału w syryjskiej wojnie nie odpowiadają jednak z pewnością rosyjskim ambicjom. Zapowiadane cele operacji, wbrew ostatnim twierdzeniom prezydenta Putina, nie zostały osiągnięte. Sukcesy mają wymiar raczej lokalny, chociaż ważny dla Rosji i Baszszara al-Asada. Należy do nich zaliczyć dalsze rządy w części Syrii tego izolowanego przez świat przywódcy oraz utrzymanie tam rosyjskich wpływów i baz wojskowych. Z drugiej strony Moskwa nie jest w stanie ani w siłowy, ani w dyplomatyczny sposób doprowadzić do kompleksowego rozwiązania konfliktu po swojej myśli. Wbrew pozorom i zapowiedziom nie weszła więc ponownie do światowej ligi mocarstw, ale kontynuuje swoją politykę osiągania celów politycznych za pomocą środków militarnych. Po raz kolejny doprowadziła do strategicznego pata, w którym każdy ruch w kierunku jego rozwiązania wymaga jej zgody. Szumne ogłoszenie decyzji o wycofaniu części kontyngentu należy więc oceniać jako działanie obliczone przede wszystkim na efekt propagandowy i na użytek wojny informacyjnej prowadzonej przez Federację Rosyjską. ■

MJR GRZEGORZ JANISZEWSKI JEST DOKTORANTEM NA WYDZIALE HUMANISTYCZNYM UNIWERSYTETU SZCZECIŃSKIEGO. SPECJALIZUJE SIĘ W TEMATYCE SIŁ ZBROJNYCH PAŃSTW BYŁEGO ZSRR. PEŁNI SŁUŻBĘ W DOWÓDZTWIE 3 SKRZYDŁA LOTNICTWA TRANSPORTOWEGO W POWIDZU.

JAKUB NAWROCKI

OSTATNI POLSKI ATAMAN

Do Bałachowicza idą ludzie na urok jego istnienia, na urok postaci jego oficerów.

GEN. STANISŁAW BUŁAK-BAŁACHOWICZ (drugi od lewej we frontowej grupie) w towarzystwie m.in. prezesa Legii Wołyńskiej księdza Święcickiego i komendanta głównego Szczawińskiego przechodzi przed frontem oddziału Legii Wołyńskiej. Ukraina, Kowel, maj 1930 rok

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Typowy warchoł i partyzant, lecz doskonały żołnierz. Bije bolszewików w wielu wypadkach lepiej od sztabowych generałów. Dajcie mu być sobą, bo innym być nie potrafi", tak Józef Piłsudski scharakteryzował jednego z najdzielniejszych żołnierzy wojny polsko-bolszewickiej.

NIEKONWENCJONALNY OFICER

Stanisław Bułak-Bałachowicz urodził się w 1883 roku na Wileńszczyźnie, w rodzinie szlacheckiej. Po ukończeniu studiów rolniczych zarządzał majątkiem hrabiów Platerów. Gdy wybuchła I wojna światowa, zgłosił się do carskiej kawalerii. Zasłynął jako żołnierz odważny i ofiarny. Dowodził szwadronem w formacji operującej na tyłach wojsk niemieckich. Jej dowódca – ppłk Punin – osobiście dobierał sobie żołnierzy. Byli to kawalerzyści o wysokiej inteligencji, znający kilka języków i ponadprzeciętnie wytrzymali fizycznie. Szybko awansował, a na jego piersi znalazły się najwyższe carskie odznaczenia wojskowe. Po wybuchu rewolucji bolszewickiej w Rosji na krótko został wciągnięty do bolszewików. Bałachowicz jednak odmówił Lwu Trockiemu, który zaproponował mu dowodzenie kawalerią. Stworzył pułk jazdy, w którego skład wchodził polski szwadron. Był prześladowany przez Czeka za „zbytnią polskość jego i jego ludzi". On i wielu jego kawalerzystów na mundurach nosili np. polskie symbole zamiast bolszewickich.

Gdy został wysłany do stłumienia rozruchów antybolszewickich wokół miejscowości Ługa (tzw. bunt barona Korfa), doprowadził do pokojowego porozumienia, zamiast krwawo stłumić rewoltę. Został jednak wezwany do Piotrogrodu. Przeczuwając, jakie może ponieść konsekwencje, wraz ze swoimi ludźmi przebił się do Estonii. Tam, gorąco przyjęty, brał udział w walkach z bolszewikami o niepodległość. Został nawet przez dowództwo wojsk estońskich awansowany do stopnia pułkownika. W 1919 roku wraz ze swoimi ludźmi wstąpił w szeregi białej armii gen. Nikołaja Judenicza, który chciał odbić Piotrogród z rąk bolszewików. Carskim oficerom nie podobało się jednak jego epatowanie polskością. Napięcie między już wtedy gen. Bałachowiczem a Judeniczem narastało. Ten pierwszy był znakomitym zagończykiem, ale nie działał w konwencjonalny sposób. Judenicz, typowy oficer sztabowy, nie rozumiał stylu walki swojego podwładnego. W końcu został przez Bałachowicza aresztowany, gdy w obliczu klęski próbował uciec z ogromną sumą pieniędzy.

Od dłuższego czasu Bułak-Bałachowicz próbował nawiązać kontakt z Wojskiem Polskim, by móc walczyć w jego szeregach. Przez polski konsulat w Finlandii oraz attaché wojskowego w Rydze uzyskał zgodę od samego Józefa Piłsudskiego na przejście wraz ze swoimi ludźmi pod komendę Marszałka. Na czele ponad 800 kawalerzystów w brawurowym rajdzie przez pozycje bolszewików przedarł się do polskich żołnierzy walczących w okolicach Dynenburga w lutym 1920 roku.

RYCERZE ŚMIERCI

Generał razem z bratem Józefem, carskim pułkownikiem, na bazie swoich ludzi rozpoczął tworzenie ochotniczej formacji kawalerii. Jego legenda, oficera nietuzinkowego, który niezwykle skutecznie walczył z Niemcami i bolszewikami, był bohaterem walk o niepodległość Estonii i legendarnym „białym" zdobywcą Pskowa, sprawiła, że do formacji Bałachowicza masowo ściągali żądni przygód i wojennych wrażeń młodzi ludzie.

Dozbrojona i na nowo wyposażona Ochotnicza Sprzymierzona Armia gen. Stanisława Bułak-Bałachowicza, w liczbie 8 tys. żołnierzy, wyruszyła na front w rejon Wołynia pod koniec czerwca 1920 roku. Była to formacja niepodobna do żadnej innej. Służyli w niej ludzie pocho-

PAMIĘĆ O GENERALE JEST WCIĄŻ ŻYWA. W ESTONII BUŁAK-BAŁACHOWICZ JEST SYMBOLEM WALK O NIEPODLEGŁOŚĆ, A NA BIAŁORUSI DO DZIŚ UWAŻA SIĘ GO ZA BOHATERA NARODOWEGO

dzący z najróżniejszych zakątków świata. Jak wspomina ppor. Stanisław Lis-Błoński, polski oficer łącznikowy przy gen. Bałachowiczu: „Nie było języka na kuli ziemskiej, który by był obcy dla ludzi tej grupy. Japoński, tatarski, mongolski, angielski, włoski czy urugwajski – nie przedstawiały dla nich trudności". Gros sił tej formacji stanowili Białorusini, Rosjanie i Ukraińcy. Nie brakowało też Tatarów, Kozaków, Estończyków, Finów, Żydów i oczywiście Polaków. Wspólny dla nich wszystkich był symbol noszony na ramieniu lub na czapkach – trupia główka z mieczem skrzyżowanym z pochodnią.

Metody działania polskiego atamana sprawdzały się w ciągu lat zmagań wojennych. Prowadził wojnę podjazdową i partyzancką na tyłach wroga – atakował z zaskoczenia pułki i brygady bolszewickie zmierzające na front oraz przeprowadzał liczne wypady na obozowiska Armii Czerwonej. Zdarzało się, że żołnierze jego formacji byli przez miejscową ludność traktowani jako wojska bolszewickie i witani przez miejscowe komitety rewolucyjne – co spotykało się z natychmiastową zemstą ze strony bałachowców. On i jego ludzie byli bezwzględni dla komisarzy politycznych i członków Czeka, których od razu rozstrzeliwano, bez wyroków sądów. Zupełnie inaczej postępowano natomiast ze zwykłymi żołnierzami sowieckimi. Setkami brano ich do niewoli i po dogłębnej weryfikacji wielu wciągano do formacji bałachowców. W opinii Karola Wędziagolskiego, polskiego polityka i działacza rosyjskich kół emigracyjnych, „do Bałachowicza idą ludzie na urok jego istnienia, na urok postaci jego oficerów, z których wielu jest w swojej przeszłości mniejszymi Bałachowiczami, wodzami i watażkami. Trzymają się mocno w klubach rozbójniczo-rycerskich tradycji, które zowią się partyzantką. […] Przypatrując się blisko żołnierzom, stwierdza się, iż są to wyborowi na wytrzymałość, na awanturniczą energię ludzie, którzy są dalece we krwi skąpani, pogardzający przeto i swoim życiem".

Bałachowcy uwielbiali swojego dowódcę. Żołnierze zwracali się do niego po prostu „baćka" lub „batka", czyli ojciec, ojczulek. Z zachowanych wspomnień wynika, że

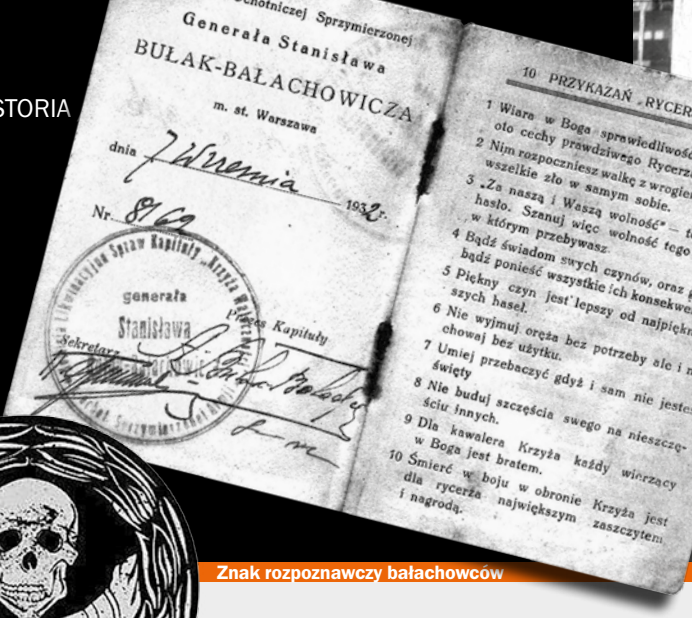

Legitymacja kawalera Krzyża Waleczności Stanisława Bułak-Bałachowicza

Znak rozpoznawczy bałachowców

Stanisław Bułak-Bałachowicz (z lewej) w 1919 roku w Pskowie

generał z kolei podwładnych nazywał swoimi dziećmi. Starał się utrzymać dyscyplinę w jednostkach. Jeśli ktoś dopuścił się przewinienia względem ludności cywilnej, wymierzał mu sprawiedliwość. Przy czym wszystkich starał się traktować jednakowo.

W sierpniu 1920 roku, w czasie kontrofensywy znad Wieprza, gen. Bałachowicz otrzymał polecenie przejścia na Polesie i dalszego marszu na wschód. Na samą wieść o zbliżających się bałachowcach czerwonoarmiści uciekali w popłochu. Armia Czerwona ogłosiła nawet nagrodę w wysokości 3 mln rubli za głowę Bałachowicza i 50 tys. za schwytanie któregokolwiek z jego żołnierzy.

NIESPEŁNIONE MARZENIE

Jedną z najsłynniejszych akcji partyzantów „baćki" było zdobycie 27 września 1920 roku Pińska, gdzie stacjonowała komendantura sowieckiej 4 Armii. Gen. Bałachowicz wziął wówczas 3 tys. jeńców oraz zdobył 500 wozów taborowych, pociąg pancerny i pełne magazyny wojskowe. Z całego dowództwa 4 Armii udało się uciec jedynie szefowi sztabu.

W październiku 1920 roku Ochotnicza Sprzymierzona Armia dowiedziała się o zawieszeniu broni. Generał i większość jego żołnierzy marzyli o utworzeniu za wschodnią granicą Polski niezależnego państwa, a nawet o odbiciu Moskwy z rąk bolszewików. Bałachowicz, mając poparcie i ciche przyzwolenie Piłsudskiego, który optował za koncepcją federacji niepodległych państw na wschodniej granicy Polski, tworzących strefę buforową między krajem i sowiecką Rosją, zaczął przygotowywać wyprawę wyzwoleńczą na tereny zachodniej Białorusi, za strefę demarkacyjną.

5 listopada 1920 roku prawie 20 tys. zaprawionych w boju bałachowców przekroczyło linię frontu i uderzyło na pozycje bolszewików. W wyniku szybkich rajdów kawaleryjskich wojska atamana zajmowały coraz większe tereny. Gdy 10 listopada gen. Bułak-Bałachowicz zdobył Mozyrz, ogłosił niepodległość Białorusi i powołał rząd Republiki Białoruskiej. Sam obwołał się głównodowodzącym Narodowej Armii Ludowej. Liczył na zryw powstańczy społeczeństwa i wybuch uczuć patriotycznych miejscowej ludności. Ci natomiast byli wyczerpani latami wojen lub nie mieli jeszcze rozbudzonego poczucia odrębności narodowej.

Po pierwszych sukcesach militarnych bałachowców wojska sowieckie okrzepły i przeszły do kontrofensywy. Oddziały partyzantów generała, pozbawione zaopatrzenia i odwodów, były spychane w stronę granicy polskiej. Bułak-Bałachowicz przekroczył ją 28 listopada 1920 roku i wraz ze swoimi żołnierzami został internowany. Na terenie Białorusi do 1925 roku trwały walki z bolszewikami prowadzone przez parutysięczną partyzantkę niepodległościową Zielonego Dębu.

TAJEMNICZY ZAMACH

Stanisław Bułak-Bałachowicz osiedlił się w Polsce na terenie Białowieży, a jego partyzantom przyznano polskie obywatelstwo. Generał otworzył tartak i założył gospodarstwo leśne, gdzie zatrudnił około 1000 swoich byłych żołnierzy. Bolszewicy domagali się wydania Bałachowicza i jego oficerów przez stronę polską. Komunistyczne grupy dywersyjne próbowały dokonać na niego zamachu. W trakcie jednego z nich, w 1923 roku, zginął brat Stanisława.

Polskie władze nigdy nie zweryfikowały stopnia wojskowego Bałachowicza, choć w okresie dwudziestolecia międzywojennego występował on w mundurze generała brygady WP. W trakcie kampanii 1939 roku zorganizował ochotniczy oddział kawalerii, biorący udział w obronie Warszawy, którym dowodził. Po klęsce wrześniowej zaczął tworzyć konspiracyjną Konfederację Wojskową. Zginął w trakcie próby aresztowania przez gestapo 10 maja 1940 roku w Warszawie. Wśród historyków istnieje hipoteza, że za śmiercią generała stało NKWD, które w tym okresie bardzo blisko współpracowało z Niemcami. Nie wiadomo, gdzie został pochowany. Jego symboliczny grób znajduje się na warszawskich Powązkach. ■

WŁODZIMIERZ KALETA

Wątpliwości są dla cywilów

Kiedy płk Jerzy M. był porucznikiem, dowódcą pododdziału, sens służby wojskowej określało parę banalnych prawd: wymagalność, wysoka dyscyplina, dawanie z siebie jak najwięcej i dbanie o rozwój własnej kariery. W wojsku nie ma miejsca na filozofię, dywagowanie nad sensem każdej decyzji. Liczy się zdecydowanie, odwaga, czasem nawet ryzyko. Mazgajstwo, ograniczające działania, obawy, rozterki moralne – to dobre dla cywilów.

Pułkownik twierdzi, że jedną z najważniejszych nauk w wojsku, jaką wyniósł ze służby, jest przekonanie, że teoria często rozmija się z rzeczywistością. Doświadczył tego na własnej skórze. Ważyły się akurat losy jego awansu kapitańskiego i kariera w batalionie, kiedy stanął przez jedynym, niezapomnianym do końca służby wyzwaniem.

Żołnierz, rezerwista, pobił kaprala. Z poboru wprawdzie, dopiero po szkółce, ale jakie to miało znaczenie? W wojsku to wypadek nadzwyczajny. Prokurator, dochodzenie, sąd i… No właśnie. Porucznik zaczął się zastanawiać, co będzie później. Ocena za dyscyplinę w pododdziale siądzie, a wraz z nią nota w opinii jego dowódcy. Miał już na koncie spóźniony powrót żołnierza z urlopu… Co gorsza, niedawno zameldował dowódcy pułku o samowolnym oddaleniu jednego z podwładnych. Musiał. Dłuższe ukrywanie tego faktu nie wchodziło w grę. Żołnierza nie było w koszarach już od siedmiu dni. To pachniało dezercją. Gdyby złapali go żandarmi i wyszło na jaw, że przełożony nie zgłosił tego wypadku, miałby za swoje.

Porucznik M. był przekonany, że kolejne przewinienie, do tego tak drastyczne, godzące w najważniejsze w wojsku zasady zwierzchności i hierarchii, stanie się początkiem końca jego zaczynającej się tak dobrze kariery. Zdecydował błyskawicznie: kapral, po zapewnieniu, że zapomni o incydencie, otrzymał urlop i obietnicę, że jak tylko wróci, stanie przed komisją wojskową, bo wygląda na chorowitego. Żołnierz, który uderzył kaprala, zamiast przed sąd trafił do drużyny sanitarnej. Wraz z dwoma kolegami, świadkami tego zdarzenia.

Mijał czas i nic się nie działo. Najpierw z jednostki odszedł żołnierz, który dopuścił się przestępstwa, następnie kapral. Dwaj świadkowie do końca służby pracowali w drużynie gospodarczej. Potem odszedł porucznik. Z jednym samowolnym oddaleniem, był najlepszym dowódcą w pułku. Inni mieli co najmniej dwa takie wypadki albo więcej. W armii z poboru była to prawdziwa plaga.

W następnych latach kariera Jerzego M. rozwijała się bez przeszkód. Doszedł do stopnia pułkownika, odbył kurs w NATO i zajmował ważne stanowiska dowódcze. Wciąż też nachodziła go myśl, co by było, gdyby wówczas postąpił zgodnie z regulaminem? I czy nie należało tak właśnie zrobić? Niby wszystko skończyło się dobrze, ale rozterki moralne, wątpliwości, pozostały do dziś. Przekonał się, że wspomnienia złych uczynków męczą wszystkich jednakowo, bez względu na to, czy są w mundurze, czy w marynarce. To ważne doświadczenie. ■

PPŁK W ST. SPOCZ. WŁODZIMIERZ KALETA SŁUŻYŁ W 7 ŁUŻYCKIEJ DYWIZJI DESANTOWEJ.

95 LAT

ANNA DĄBROWSKA

Spieszą z pomocą

Na wsparcie żołnierzy społeczeństwo może liczyć nie tylko w czasie klęsk żywiołowych.

W okresie międzywojennym łamy „Polski Zbrojnej" nie obfitowały w doniesienia o akcjach pomocy wojska dla społeczeństwa. Młoda armia sama borykała się z wieloma problemami i szukała wsparcia wśród polskich obywateli. Apelowała m.in. o składki na okręt podwodny, samolot czy rozwój obrony przeciwlotniczej.

CHLEB DLA BOHATERÓW

Nie znaczy to jednak, że nie zdarzało się, iż wojskowi ofiarnie reagowali, kiedy cywile potrzebowali ich pomocy. „Wczoraj dwóch dzielnych żołnierzy z 1 Pułku Piechoty Legionów uratowało topiącego się chłopca", donoszono w „Polsce Zbrojnej" w 1927 roku. Jak informowano, dziesięcioletni Jakub kąpał się z kolegami, gdy nagle zachłysnął się wodą i zniknął pod powierzchnią jeziora. „Odpoczywający nad brzegiem żołnierze bez namysłu rzucili się na pomoc chłopcu i po chwili wyciągnęli go z wody. Na szczęście Jakub nie napił się dużo wody i nie potrzebne było sztuczne oddychanie. Wieczorem wdzięczna za uratowanie syna rodzina zjawiła się w jednostce z podziękowaniami i pachnącym bochenkiem domowego chleba dla wojskowych bohaterów".

Z kolei w 1933 roku pododdział 12 Pułku Ułanów Podolskich podczas jesiennych ćwiczeń pomógł staruszce i jej wnuczkom. Co dzień żołnierze, wracając z manewrów, mijali znajdujący się na krańcu wsi dom niejakiej Maciejowej. „Okazało się, że w chałupce z dziurawym dachem mieszka staruszka z dwiema osieroconymi wnuczkami. Żołnierze postanowili pomóc im przed zimą. W niespełna tydzień wyremontowali dach domu, kupili też zapas drewna, które sami porąbali", czytamy w „Polsce Zbrojnej".

BOGUSŁAW POLITOWSKI

FRONT ŻNIWNY

W czasach PRL-u do prac na rzecz cywilów kierowano całe oddziały. Najczęściej wojskowi pomagali w robotach polowych: wykopkach, orce, sianokosach czy żniwach. „W batalii żniwnej prowadzonej zwycięsko przez nasz zespół duży udział miało wojsko. W tym roku sami nie zdążylibyśmy na czas sprzątnąć bogatych zbiorów i części plonów groziło niebezpieczeństwo, gdyby przyszły deszcze", czytamy w liście kierownictwa PGR-u Mścice skierowanym do „Żołnierza Wolności" w 1954 roku. Na szczęście robotnikom pomogło wojsko. „Pracą swą dali wyraz głębokiemu zrozumieniu znaczenia trudnej walki o chleb dla kraju. Zapał i entuzjazm żołnierzy udzielił się naszej załodze".

W tym samym roku armia zorganizowała wyjazd wojskowej ekipy lekarskiej do spółdzielni produkcyjnej w Osuchowie koło Grodziska Mazowieckiego. W budynku szkoły zorganizowano tymczasowe gabinety lekarskie. „To była bezcenna pomoc dla spółdzielni, o czym świadczy frekwencja. Najwięcej pacjentów przyjęło czterech dentystów. Dużym zainteresowaniem cieszył się też internista, pediatra i okulista". Po udzieleniu pomocy wojskowi lekarze uczestniczyli w zabawie ludowej zorganizowanej dla nich przez aktyw produkcyjny w ramach podziękowań.

Żołnierze wzięli też udział w bardziej nietypowych inwestycjach, takich jak budowa w 1960 roku skoczni narciarskiej w Zakopanem. Jak podawano w wojskowej gazecie, choć generalnym wykonawcą był Mostostal, z powodu braku rąk do pracy zwrócono się o pomoc do wojska. „Teraz saperów na budowie jest tylu, że cywile stanowią tylko 25 procent załogi. Grupa inżynierska kapitana Jana Podolskiego ma za zadanie odstrzelić w skale 3000 metrów sześciennych kamienia oraz wykopać 50 tysięcy metrów sześciennych ziemi".

WALKA Z ŻYWIOŁEM

Najczęściej jednak saperzy pomagali powodzianom. „Na wezwanie Głównego Komitetu Przeciwpowodziowego do akcji w rejonie miejscowości Skoczów i Oświęcim przystąpiły wojskowe jednostki saperskie wyposażone w sprzęt przeprawowy. Na łodziach i pontonach ewakuują z zagrożonych miejscowości ludność i jej dobytek", podawano w dzienniku w 1974 roku.

Z kolei podwładni kpt. Stanisława Ziemińskiego odbudowali most w Śmiałowicach nad rzeką Bystrzyca. „Zniszczyła go powódź w 1977 roku i od tego czasu nowej przeprawy nie było. Tym razem, kiedy do pracy przystąpiło wojsko, most stanął w obiecanym terminie dwu miesięcy".

Armia zaangażowała się też w pomoc w czasie powodzi tysiąclecia w 1997 roku. W akcji usuwania jej skutków uczestniczyły pododdziały wojsk chemicznych. „Wykonywały dezynfekcję obiektów użyteczności publicznej, mieszkalnych i gospodarczych oraz usuwały z zalanych obszarów padłe zwierzęta".

W 2013 roku z kolei informowano w „Polsce Zbrojnej", że powstała pierwsza wojskowa jednostka odbudowy w 2 Pułku Inżynieryjnym w Inowrocławiu. „W armii będzie dziesięć takich jednostek. Trzy kolejne powstaną w tym roku z 3 Batalionu Inżynieryjnego w Nisku, 4 Batalionu Inżynieryjnego w Głogowie oraz 1 Batalionu Drogowo-Mostowego w Dęblinie. Sześć następnych zostanie utworzonych w 2014 roku". Jak podawano w miesięczniku, formacje będą przygotowane do natychmiastowej pomocy w wypadku klęsk żywiołowych i sytuacji kryzysowych, ewakuacji ludności cywilnej, transportu poszkodowanych, uzdatniania wody czy dostarczania energii elektrycznej.

SPEŁNIONE MARZENIA

Armia pomagała też cywilom na terenach działania polskich kontyngentów. „Ponad 279 ton żywności dostały najbiedniejsze afgańskie rodziny z dystryktu Qarabagh. Była to jedna z największych akcji humanitarnych w Ghazni, w której pomagali polscy żołnierze z 4 Taktycznego Zespołu Wsparcia CIMIC", informowano w wojskowym tygodniku w 2011 roku. Każda rodzina otrzymała około 100 kg pszenicy, kilogram soli, kilka kilogramów soi oraz kilka litrów oleju. Rozdawano także koce.

W tym samym roku mieszkańcom biednych miejscowości w Kosowie pomagali żołnierze zespołów łącznikowo-monitorujących. Jedną z takich wiosek było Vaganes, zamieszkałe przez ludność pochodzenia serbskiego. „Żołnierze nie mają funduszy na pomoc socjalną, zorganizowali więc zbiórkę na skromne zakupy spożywcze, by choć w ten sposób wesprzeć mieszkańców".

Dzięki zaangażowaniu armii także dzieci spełniły swoje marzenia. „W 15 Wielkopolskiej Brygadzie Kawalerii Pancernej zebrano pieniądze dla niepełnosprawnego chłopca, który potrzebował nowego akumulatora do wózka inwalidzkiego. Na prośbę rodziców żołnierze zgromadzili potrzebną sumę i chłopiec znów może swobodnie się poruszać i jeździć do szkoły".

Chory na białaczkę sześcioletni Szymon z kolei chciał zostać żołnierzem. Pomogli mu w tym wojskowi z 20 Bartoszyckiej Brygady Zmechanizowanej. „Szymon przez jeden dzień mógł poczuć się żołnierzem, jeździł czołgiem, strzelał, zwiedził brygadę. Dzięki wojsku chłopiec przeżył radosny dzień, oderwał się od bolesnej rzeczywistości i myśli o chorobie". ■

Lancaster jest uważany za najlepszy strategiczny nocny bombowiec II wojny światowej. Część tych maszyn przystosowano do przenoszenia potężnych, kilkutonowych bomb, największych, jakimi dysponowało w tym czasie lotnictwo brytyjskie.

BOMBOWIEC
DO ZADAŃ SPECJALNYCH

TADEUSZ WRÓBEL

LANCASTER B.I., przystosowany do przenoszenia gigantycznych bomb Tallboy. Aby zmniejszyć masę startową samolotu, usunięto nosową i grzbietową wieżyczkę. Jednocześnie zwiększono moc silników i wzmocniono podwozie.

W trakcie bitwy o Anglię brytyjskie Królewskie Siły Powietrzne (Royal Air Force – RAF) rozpoczęły odwetowe, nocne naloty bombowe na Niemcy, w tym na Berlin. Tym samym czczymi przechwałkami okazały się zapowiedzi dowódcy Luftwaffe marsz. Hermanna Göringa, że żaden wrogi samolot nie przedostanie się nad stolicę Niemiec. Początkowo efektywność działań RAF-u była ograniczona, ponieważ dysponowano tylko dwusilnikowymi średnimi bombowcami przenoszącymi ładunki o stosunkowo niewielkiej masie. Sytuacja zaczęła się zmieniać na początku 1941 roku, gdy do służby wchodziły pierwsze strategiczne dwusilnikowe bombowce Avro Manchester. Maszyny te zabierały ponad dwa razy więcej bomb niż podstawowy wówczas brytyjski bombowiec Vickers Wellington, ale ich słabą stroną był niewielki zasięg. O wiele większy miały czterosilnikowe bombowce typu Hangley Page Halifax i Short Stirling, które RAF zaczął wykorzystywać w operacjach bojowych również na początku 1941 roku. W następnym roku do użycia wszedł Avro Lancaster, który jest uznawany za najbardziej udaną konstrukcję, jeśli chodzi o bombowce nocne.

WYMIANA SILNIKÓW

Jeszcze przed wybuchem II wojny światowej, w 1936 roku, brytyjskie ministerstwo lotnictwa przedstawiło wymagania taktyczno-techniczne (specyfikacja P.13/36) dla dwusilnikowego średniego bombowca, który miał być uzbrojony w bomby o masie około 5,5 t lub dwie torpedy. Jako jego jednostkę napędową wskazano 24-cylindrowowy silnik Rolls-Royce Vulture o zakładanej mocy 1760 KM, ale faktycznie jego osiągi były słabsze. Opracowania samolotu, który spełniałby oczekiwania ministerstwa, podjęła się m.in. firma Avro. 26 lipca 1939 roku pierwszy raz wzbił się w powietrze prototyp jej samolotu, nazwany Manchester. Drugi oblatano 26 maja 1940 roku, gdy trwała już bitwa o Francję.

Ministerstwo lotnictwa zamówiło początkowo 200 bombowców Manchester, a potem podwoiło zamówienie. W dalszej perspektywie zamierzano nabyć ich jeszcze więcej. Jednak szybko się okazało, że niższa niż zakładano moc nie jest jedynym mankamentem silników Vulture. Z powodu częstych awarii RAF stracił ponad 30 bombowców Manchester. Dlatego ich produkcję przerwano po wykonaniu 209 egzemplarzy.

Roy Chadwick, który był szefem projektu w Avro, postanowił zmienić jednostkę napędową. Vulture zastąpił silnikiem Rolls-Royce Merlin. Ponieważ miał on mniejszą moc, Chadwick podwoił liczbę silników. Nie był w tym oryginalny, wcześniej na zamontowanie czterech merlinów zamiast pary vulture w swym halifaxie zdecydowała się firma Handley Page.

Czterosilnikowy bombowiec otrzymał nazwę Manchester III, ale potem zmieniono ją na Lancaster. Jego uzbrojenie defensywne początkowo rozmieszczono w czterech wieżyczkach. W nosowej FN-5A (Frazer Nash) były zamontowane dwa karabiny maszynowe Browning kalibru 7,7 mm. Pod kadłubem ulokowano wieżyczkę FN-64 również wyposażoną w parę karabinów maszynowych. Jednak w praktyce okazała się ona mało skuteczna i dość szybko z niej zrezygnowano. W późniejszej fazie wojny, gdy niemieckie nocne myśliwce uzbrojono w działka zamontowane na grzbiecie i strzelające skośnie do góry, niektóre samoloty dozbrojono w karabin maszynowy kalibru 12,7 mm lub działko 20-milimetrowe. Na grzbiecie kadłuba lancastera była wieżyczka FN-50, a potem FN-150. Część samolotów wyprodukowanych w Kanadzie miała wieżyczkę Martin 250 CE 23A z karabinami maszynowymi Browning kalibru 12,7 mm. Jako że myśliwce najczęściej atakowały bombowce od tyłu, w ulokowanej na ogonie wieżyczce FN-20 znajdowały się cztery karabiny maszynowe. Tyle samo miała ich montowana w późniejszych egzemplarzach wieżyczka FN-120. Wyprodukowane przed końcem wojny w Wielkiej Brytanii bombowce Lancaster wyposażono w wieżyczkę FN-82 z parą karabinów maszynowych kalibru 12,7 mm.

ZAPORY NA CELOWNIKU

Lancaster miał komorę bombową o długości około 10 m, udźwig bomb wynosił prawie 6400 kg. Brytyjski bombowiec mógł przenosić zarówno zasobniki z minibombami o masie 1,8 kg lub 14 kg, jak również wielkie o masach 1800, 3600 lub 5400 kg, tzw. cookies. Powstały też wersje lancastera, które przenosiły specjalne uzbrojenie.

W 1943 roku Brytyjczycy przebudowali 21 bombowców wersji B. Mk. III z 617 Dywizjonu RAF-u na potrzeby operacji pod kryptonimem „Chastise". Jej celem było zniszczenie mającego strategiczne znaczenie Zagłębia Ruhry. Głównymi celami były zapory na sztucznych jeziorach Möhnesse, 45 km na wschód od Dortmundu, i Sorpesse koło miejscowości Sundern. Jako cel dodatkowy wybrano zaporę na rzece Eder, która uchodzi do Wezery.

Na potrzeby tej operacji Barnes Wallis, konstruktor z firmy Vickers, opracował tzw. skaczące bomby. Miały one kształt beczki o długości 152 cm i średnicy 127 cm. Ważyły prawie 4,2 t i zawierały około 3 t ładunku wybuchowego torpex, który miał o 50% większą moc wybuchu niż trotyl. W ramach przystosowania bombow- →

PIERWSZY RAZ **TALL-BOYA** UŻYTO Z 8 NA 9 CZERWCA 1944 ROKU W NALOCIE NA TUNEL KOLEJOWY SAUMUR WE FRANCJI

ców do ich przenoszenia usunięto drzwi komory bombowej. Dodatkowo zdemontowano też wieżyczkę grzbietową, za to zamontowano specjalne urządzenie, które nadawało ruch wirowy bombom jeszcze przed ich zrzutem. W komorze bombowej i pod nosem samolotu umieszczono lampy, które miały pozwolić pilotom ocenić wysokość lotu nad powierzchnią wody. Zakładano, że po zrzuceniu z wysokości 20 m nad wodą, kilkaset metrów przed zaporą, bomby, skacząc jak „kamienne kaczki", uderzą w nią i ją zniszczą.

Ostatecznie do ataku przeprowadzonego w nocy z 16 na 17 maja 1943 roku wysłano 19 bombowców, z których osiem utracono. Te, które powróciły, przebudowano ponownie do konfiguracji standardowej. Podczas operacji „Chastise" zginęło 53 ze 133 jej uczestników. Liczbę ofiar na ziemi szacuje się na co najmniej 1650 zabitych. Niestety ponad połowę z nich stanowili jeńcy i robotnicy przymusowi.

Największym sukcesem zakończył się atak na zaporę Möhne, która została przerwana. Brytyjczycy przewidywali, że jej zniszczenie spowoduje zakłócenia w dostawie energii z hydroelektrowni. Dużą wagę przykładano do przerw w zaopatrzeniu w wodę ośrodków przemysłowych, miast oraz kanałów żeglownych. I rzeczywiście przez pewien czas dostawy były mniejsze o trzy czwarte. Brytyjscy planiści spodziewali się, że po uszkodzeniu zapór nastąpią niszczące powodzie. Woda zalała spore obszary i kilka kopalń. Jednak straty w niemieckim przemyśle nie były duże, choć zostało zniszczonych 11 niewielkich zakładów przemysłowych, a ponad 100 innych uszkodzono. Większe poniosło rolnictwo, gdyż woda zniszczyła uprawy i potopiły się zwierzęta gospodarskie.

Niemcy stosunkowo szybko naprawili uszkodzenia i usunęli zniszczenia po brytyjskim rajdzie. Jednak odbił się on negatywnie na morale niemieckiej ludności, która zrozumiała, że nie może się czuć bezpiecznie nawet tysiące kilometrów od frontu. Niemieckie dowództwo musiało zaś pozostawić do obrony kraju samoloty i działa przeciwlotnicze, które były potrzebne na frontach.

ZABÓJCZE BOMBY

Pomimo wielkich strat wśród załóg lancasterów brytyjskie dowództwo uznało operację przeciwko zaporom za sukces. Doceniono też koncepcję skaczącej bomby Wallisa. Zaakceptowano jego wcześniej odrzuconą propozycję budowy potężnych bomb, które miały wywoływać efekty podobne jak trzęsienie ziemi. Konstruktor zabrał się do pracy i jeszcze przed zakończeniem wojny powstała ważąca 5400 kg bomba Tallboy, zawierająca 2400 kg torpexu, oraz Grand Slam, której masa wynosiła niemal 10 t, w tym było ponad 4 t torpexu.

Do ich przenoszenia przystosowano 32 lub 33 bombowce Lancaster B.I. W wypadku bomb Tallboy drzwi komory były wybrzuszone, a w maszynach przenoszących grand slamy całkowicie je usunięto. Aby zmniejszyć masę startową samolotu, usunięto nosową i grzbietową wieżyczkę. Jednocześnie zwiększono moc silników i wzmocniono podwozie.

Pierwszy raz tallboya użyto w nocy z 8 na 9 czerwca 1944 roku w nalocie na tunel kolejowy Saumur we Francji. Bomba przebiła się przez kilkanaście metrów wzgórza i eksplodowała wewnątrz. Niebawem tallboye wykorzystano podczas operacji „Crossbow", której celami były instalacje związane z niemieckimi latającymi bombami V-1 i rakietami V-2. Zrzucano też je na kontrolowane przez Niemców francuskie porty, zwłaszcza znajdujące się w nich potężne schrony dla U-Bootów.

Potężnych bomb użyto też przeciwko niemieckim okrętom wojennym nawodnym. Pierwszym celem był pancernik „Tirpitz". Stacjonującą w Norwegii jednostkę uważano za zagrożenie dla arktycznych konwojów. Brytyjskie bombowce atakowały ją od września do listopada 1944 roku. Ostatecznie została zatopiona 12 listopada koło Tromso. 16 kwietnia 1945 roku lancastery z 617 Dywizjonu RAF-u ciężko uszkodziły w Kanale Piastowskim koło Świnoujścia niemiecki pancernik kieszonkowy „Lützow".

Ostatni atak, w którym użyto bomb Tallboy, przeprowadzono 25 kwietnia 1945 roku na Berghof, alpejską kwaterę Adolfa Hitlera. Pod koniec wojny, w marcu i kwietniu 1945 roku Brytyjczycy zrzucili w Niemczech ponad 40 bomb Grand Slam. Ich celem były strategiczne mosty, wiadukty, schrony dla U-Bootów i stanowiska artylerii nadbrzeżnej. ■

KRZYSZTOF
KUBIAK

Zawodowcy i amatorzy

Żołnierz, i dowódca państwowych sił zbrojnych, gdy przystępują do konfrontacji orężnej z powstańcem, partyzantem czy innego rodzaju konspiratorem, za którym nie stoi hierarchiczna, zdobna akselbantami i szamerunkami struktura, zwykle są przekonani o swojej naturalnej wyższości. Pewność, że jedynie noszenie uniformu, pełnienie służby koszarowej i podleganie formalnej dyscyplinie tworzy profesjonalnego wojownika, jest cechą charakterystyczną w całej niemal historii militarnej naszego gatunku. Tymczasem często owi lekceważeni amatorzy odnosili sukcesy, które decydowały o przebiegu wojen i batalii.

Tak było w lutym 1836 roku, gdy około 200 ochotników, głównie Amerykanów, obsadziło budynki misji Alamo w San Antonio (wówczas San Antonio de Béxar) i zablokowało dalszy marsz liczącym 3 tys. wojskom meksykańskim, zamierzającym utopić we krwi teksańską rewolucję. Ówczesny dyktator Meksyku, gen. Antonio López de Santa Anna, wielbiciel Napoleona, przekonany o tym, że geniuszem wojskowym nie ustępuje Korsykaninowi, był pewien szybkiego zwycięstwa. Jego wymusztrowane na europejską modłę bataliony miały wdeptać w ziemię pogardzanych „pastuchów i groszorobów". Już pierwszy szturm rozwiał nadzieje generała. Teksańczycy, wśród których były takie postaci pogranicza, jak Davy Crockett czy James Bowie, bili się dzielnie przez 13 dni. Gdy w końcu Meksykanie, atakując przy dźwiękach ponurej „Pieśni o podrzynaniu gardła" („Deguello"), przebili się przez mur misji, w walce polegli wszyscy obrońcy. Ich poświęcenie dało jednak czas dowódcy teksańskiej armii gen. Samowi Houstonowi na skoncentrowanie wojsk, co było pierwszym krokiem do pokonania Santa Anny w bitwie pod San Jacinto 23 kwietnia 1836 roku. Niepodległość Teksasu została uratowana pod Alamo, a okrzyk „pamiętajcie Alamo" stał się jednym z fundamentów amerykańskiej mitologii patriotycznej.

Równie istotne znaczenie miała obrona kibucu Yad Mordechai na południu Palestyny w maju 1948 roku. Po proklamowaniu niepodległości Izraela Egipt rzucił przeciwko państwu żydowskiemu około 10 tys. żołnierzy wspartych przez czołgi i artylerię. 16 maja wojska egipskie podeszły do dużego kibucu Yad Mordechai. Jego obejście było niemożliwe. Osada była obsadzona przez 100–110 członków lokalnej samoobrony wzmocnionych dwoma plutonami bojowników organizacji Palmach (20–30 osób). Przygotowania do ataku zajęły dwie doby. 18 maja egipski batalion piechoty ruszył do frontalnego szturmu poprzedzonego gęstym acz niecelnym ogniem artylerii, ale został odparty. Powtórzyło się to 23 maja. Sytuacja obrońców stała się jednak krytyczna. Kończyła się amunicja, ranni wymagali pomocy lekarskiej, wszyscy cierpieli z pragnienia. Podjęto więc decyzję o ewakuacji kibucu. Straty poniesione przez Żydów w Yad Mordechai były bolesne (26 zabitych), ale korzyści wojskowe, i to nawet szczebla strategicznego, więcej niż niebagatelne. Obrońcy kupili czas młodemu państwu. Zasadnicze siły egipskie dreptały pod kibucem, podczas gdy do niepodległego już kraju zaczęli napływać ochotnicy, docierała też broń. Owe cztery – pięć dni opłaconych krwią było absolutnie niezbędne, by oręż trafił w ręce pododdziałów frontowych, co skokowo przełożyło się na ich zdolność bojową i umożliwiło przetrwanie Izraela. ■

PROF. DR HAB. KRZYSZTOF KUBIAK
PRACUJE W KATEDRZE KRAJÓW EUROPY PÓŁNOCNEJ NA UNIWERSYTECIE
JANA KOCHANOWSKIEGO W KIELCACH.

HORYZONTY

/ **PAMIĘTAMY**

PAMIĘTAMY

Żaden inny naród na świecie nie doświadczył takiej straty jak Polacy 10 kwietnia 2010 roku, gdy w jednej chwili zginął nie tylko urzędujący wówczas prezydent wraz małżonką, lecz także wiele znamienitych osób ze świata wojska, polityki i kultury.

Msze, marsze, apele, wystawy, wmurowywanie pamiątkowych tablic. Sześć lat temu, w 70. rocznicę wymordowania w 1940 roku przez NKWD ponad 20 tys. Polaków, w tym co najmniej 10 tys. żołnierzy i policjantów, w wielu miejscach w Polsce i na świecie zaplanowano wydarzenia upamiętniające stalinowską zbrodnię. Jednymi z najważniejszych miały być uroczystości rocznicowe na katyńskim cmentarzu.

Na początku 2010 roku prezydent RP Lech Kaczyński, który objął patronem wiele inicjatyw upamiętniających 70. rocznicę katyńskiego mordu, poinformował, że osobiście weźmie udział we wspomnianej celebrze, w tym w ekumenicznej mszy zaplanowanej na 10 kwietnia 2010 roku na katyńskiej nekropolii. W skład prezydenckiej delegacji, liczącej 88 osób, która na pokładzie samolotu Tu-154M o numerze bocznym 101 wystartowała do Smoleńska, oprócz prezydenta wraz z małżonką Marią weszli również m.in. ostatni prezydent RP na uchodźstwie, wicemarszałkowie Sejmu i Senatu, kilkunastu parlamentarzystów, szefowie Biura Bezpieczeństwa Narodowego i Instytutu Pamięci Narodowej, prezes Narodowego Banku Polskiego, rzecznik praw obywatelskich, przedstawiciele rodzin katyńskich i organizacji społecznych oraz najważniejsi dowódcy naszej armii – szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego i wszyscy dowódcy rodzajów sił zbrojnych. Nikomu z prezydenckiej delegacji ani ośmioosobowej załogi nie dane było dotrzeć na katyński cmentarz. KW

SYLWIA GUZOWSKA

1962–2010

GEN. ANDRZEJ BŁASIK

BYŁ LOTNIKIEM LOTNIKÓW

W środowisku mówiono o nim, że to urodzony przywódca. Swój autorytet budował wiedzą, opanowaniem i charyzmą.

Niemal każdą okazję wykorzystywał gen. Andrzej Błasik, by zasiąść za sterami samolotu. Z kolegami po fachu z rozrzewnieniem wspomniał czasy, gdy w przylotniskowych aeroklubach czyścił szybowce, by potem móc się na nich wzbić w niebo. Czynnym pilotem pozostał do końca. Za sterami wojskowych maszyn spędził w sumie prawie 1600 godzin, w tym 560 na myśliwcach Su-22. Pilotował także niewielkie samoloty pasażerskie Jak-40, sportowe Zlin-42M, PZL-101 Gawron czy myśliwce Lim-2, Lim-5, Lim-6M. Na swoim koncie miał też loty zapoznawcze na maszynach wojskowych innych państw, w tym Hawk MK-51, Mirage-2000, Tornado, F-16 i F-18.

Lotnicza pasja towarzyszyła Andrzejowi Błasikowi od młodości. Jako nastolatek latał na szybowcach w aeroklubie, potem w 1981 roku ukończył dęblińskie liceum lotnicze. Cztery lata później, jako absolwent Wyższej Oficerskiej Szkoły Lotniczej, został promowany na podporucznika i zdobył tytuł pilota. W 1989 roku uzyskał pierwszą klasę pilota wojskowego w lotnictwie myśliwsko-bombowym, a dwa lata później wyróżniono go tytułem pilota roku.

Lotnicze szlify zdobywał m.in. w 8 Pułku Lotnictwa Myśliwsko-Bombowego, 40 Pułku Lotnictwa Myśliwsko-Bombowego, a potem w 2 Brygadzie Lotnictwa Taktycznego. Trafił tam w 2001 roku z Dowództwa Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej w Warszawie, po ukończeniu studiów w Akademii Obrony Narodowej i kursu oficerów sztabowych holenderskiej akademii obrony. Został szefem szkolenia.

„Poznałem generała, gdy przyjmował mnie do służby. Od tego czasu miałem możliwość obserwowania, współpracy i uczenia się przywództwa od znakomitego oficera i generała, który wciąż rozwijał swoje umiejętności dowódcze, nie zapominając nigdy o osobistym przykładzie i empatii w stosunku do podwładnych", wspomina płk Cezary Wiśniewski, dziś szef Inspektoratu MON ds. Bezpieczeństwa Lotów.

Rok później płk Błasik został dowódcą 31 Bazy Lotniczej. W 2003 roku jednostka wzięła udział w między-

GENERAŁA UPAMIĘTNIA DZIŚ **WIELE TABLIC I POMNIKÓW**, M.IN. TABLICA W SZKOLE ORLĄT

narodowych ćwiczeniach „NATO Air Meet". „Wtedy się poznaliśmy i od razu wiedziałem, że mam do czynienia z profesjonalistą. Dowodzona przez pułkownika baza lotnicza została zresztą wyróżniona wtedy Znakiem Honorowym Sił Zbrojnych RP. A to przecież o czymś świadczy", mówi płk Mirosław Bodnar, szef Oddziału Operacyjnego Zarządu Obrony Powietrznej i Przeciwrakietowej DGRSZ, który z gen. Błasikiem służył potem w Dowództwie Sił Powietrznych, a przez ostatnie pół roku przed katastrofą był szefem jego sekretariatu.

W marcu 2004 roku płk Błasik wrócił do Dowództwa Sił Powietrznych. Rok później, po ukończeniu Akademii Wojennej Sił Powietrznych USA w Maxwell, został dowódcą 2 Brygady Lotnictwa Taktycznego w Poznaniu. Polska szykowała się wtedy na przyjęcie samolotów F-16. To generał odpowiadał za przygotowanie infrastruktury i szkolenie pilotów. Latem 2005 roku, w wieku 43 lat, dostał nominację na pierwszy stopień generalski. W styczniu 2007 objął stanowisko komendanta-rektora dęblińskiej Szkoły Orląt, a już w kwietniu został awansowany do stopnia generała dywizji i mianowany dowódcą sił powietrznych. W sierpniu tego samego roku otrzymał trzecią gwiazdkę generalską.

„To generał podjął decyzję o przyłączeniu się polskich sił powietrznych do dwóch zasadniczych programów decydujących o jakości wyszkolenia bojowego pilotów F-16: tankowania w powietrzu ATARES i zaawansowanego szkolenia taktycznego »Tactical Leadership Programme«. Osobiste zaangażowanie generała umożliwiło pilotom korzystanie z najlepszego ośrodka szkolenia taktycznego w Europie, nadzorowanego przez sojusz północnoatlantycki, co w konsekwencji pozwoliło polskiemu komponentowi powietrznemu F-16, jako pierwszemu i jak dotąd jedynemu z nowych państw sojuszu, zdać egzamin NATO TACEVAL", mówi płk Cezary Wiśniewski.

Wymagał gen. Błasik nie tylko od innych, ale przede wszystkim od siebie. „Wielu zarażał zapałem do pracy. Miał olbrzymi autorytet, którego bazą były wiedza, kultura osobista i opanowanie. Wiedział, że dobry dowódca musi umieć trzymać emocje na wodzy", wspomina płk Bodnar.

„Żołnierz ma prawo być dobrze dowodzony", to słowa, które generał często powtarzał swoim podwładnym. Ci, którzy służyli pod jego dowództwem, wiedzieli, że mogą zawsze na niego liczyć. „Mimo ogromu obowiązków zawsze miał czas dla podwładnych. Choć pozornie, z racji zajmowanego stanowiska, mógł stwarzać dystans, w rzeczywistości nie budował barier. Sam często osobiście wizytował podległe jednostki, interesował się problemami, z którymi na co dzień borykali się ich dowódcy i żołnierze", mówi płk Bodnar.

Gen. Błasik był pierwszym od wielu lat dowódcą sił powietrznych, który wciąż pozostawał czynnym pilotem. „Kiedyś, po lądowaniu około północy na lotnisku Krzesiny, spytałem go, jak znajduje czas na pilotowanie samolotów. Odpowiedział: »Bez praktycznego latania oderwałbym się od lotnictwa i lotników, patrzyłbym na lotnictwo z perspektywy mojego biurka«", wspomina płk Wiśniewski.

Dużą wagę generał przykładał również do tradycji. „Pamiętam jak dzień przed katastrofą spotkał się z delegacją gminy Wola Osowińska niedaleko Radzynia Podlaskiego, by porozmawiać o uroczystościach przeniesienia zwłok płk. pil. Zdzisława Krasnodębskiego, dowódcy Dywizjonu 303", opowiada płk Bodnar. „Popołudnie poświęcił z kolei na spotkanie z byłymi żołnierzami Lotniczego Koła Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych. Takie spotkania miały dla niego duże znaczenie".

28 kwietnia, jako ostatni z tych, którzy zginęli w katastrofie lotniczej, dowódca sił powietrznych został pochowany na Wojskowych Powązkach i pośmiertnie awansowany do stopnia generała. Był żegnany tak, jak na dowódcę polskiego nieba przystało – z honorami i przelotem zespołu akrobacyjnego Biało-Czerwone Iskry. W ostatniej drodze towarzyszyła generałowi liczna grupa dowódców NATO. Jeden z nich, gen. Roger Brady, ówczesny dowódca Sojuszniczego Połączonego Dowództwa Powietrznego, mówił: „Gen. Andrzej Błasik był człowiekiem o niespotykanej wizji, spójności charakteru i odwadze. Nie było zaskoczeniem, gdy został wybrany przez wojskowe i cywilne władze Polski, by poprowadzić wasz kraj w przestworza XXI wieku. Andrzej był lotnikiem lotników, który skupiał się na rozwoju młodych talentów, pnących się w górę po kolejnych szczeblach kariery, i zawsze rozpowiadał, jaką wartością są oni dla Polski i NATO", mówił amerykański generał. Podkreślał też udział polskiego dowódcy w sukcesie naszego kraju, którego siły powietrzne szybko dołączyły do grona najbardziej nowoczesnych w sojuszu. ■

PAULINA GLIŃSKA

SYLWIA GUZOWSKA

1960–2010

GEN. BRONI

TADEUSZ BUK

U PANA BUKA ZA PIECEM

Był wymagającym dowódcą. Potrafił zmobilizować żołnierzy do ciężkiej pracy, ale siebie też nie oszczędzał.

W pamięci podwładnych i przełożonych, a przede wszystkim najbliższych przyjaciół, gen. broni Tadeusz Buk pozostał jako żołnierz niepozornego wzrostu, lecz wielkiego ducha, charyzmatyczny dowódca, oficer o szerokich horyzontach, kawalerzysta z pietyzmem podchodzący do historii, wreszcie człowiek o niekonwencjonalnym poczuciem humoru. Misji podtrzymywania pamięci o generale podjął się mjr Sławomir Miszczuk, jeden z oficerów towarzyszących od 1995 roku mjr. Tadeuszowi Bukowi w dziele tworzenia 7 Pułku Ułanów Lubelskich 25 Dywizji Kawalerii Powietrznej. W książce „Sen o szabli, czyli jak Buk kawalerię tworzył" utrwalił nie tylko fakty przybliżające postać swego dowódcy, lecz także anegdoty na jego temat. To w niej można znaleźć doskonale do dziś pamiętany przydomek „Buk Wojny", z którego sam generał stroił żarty, mawiając do swych żołnierzy „Będziecie mieć u mnie jak u pana Buka za piecem".

I mieli, chociaż lekko nie było, bo był dowódcą ogromnie wymagającym, a przy tym konsekwentnym, nieodkładającym nic na później. Sam siebie nie oszczędzał, ale i ludzi potrafił zmobilizować do ciężkiej pracy. Nikt z nim nie miał łatwo, ani podwładni, ani przełożeni. Panowała nawet opinia, szczególnie na wyższych szczeblach, że był trudny we współpracy. Gen. dyw. Jan Kempara, przyjaciel, sąsiad, a także przełożony Tadeusza Buka z okresu, gdy był szefem szkolenia 25 Dywizji Kawalerii Powietrznej, a Buk dowodził 7 Pułkiem Ułanów Lubelskich, zdecydowanie jej jednak zaprzecza. „Tadeusz był wspaniałym partnerem w robocie, ale nie można go było do niczego zmusić, trzeba było przekonać. Umiał bronić swojego zdania, ulegał jednak racjonalnym argumentom. A kiedy się ustaliło ostateczną wersję zadania, to już pilnował wykonania go jak własnego dziecka. Zrażał się jednak, jeśli ktoś jego racje lekceważył, dlatego nie ze wszystkimi przełożonymi miał dobre relacje. Jego upór brał się stąd, że miał swoją wizję wojska. Przykładowo, po zmianie ustroju, a tym samym sytuacji sojuszniczej, uważał za konieczne osłonięcie wschodniej flanki. Nie mógł się pogodzić z tym, że po zmianie układu geopolitycznego likwidujemy w tym rejonie wojsko".

GEN. BUK **BYŁ PREKURSOREM** NOWOCZESNOŚCI. ODCZULI TO ZWŁASZCZA JEGO ŁĄCZNOŚCIOWCY I INFORMATYCY

Gen. broni Mirosław Różański od czasu wspólnych studiów w Akademii Obrony Narodowej wiódł ze swym przyjacielem Tadeuszem Bukiem wielogodzinne dysputy. Brakuje mu tego dziś, w chwilach podejmowania trudnych decyzji. „Często się zastanawiam, czy wówczas nie rozstrzygnęliśmy już problemu, który mam do rozwiązania. Tadeusz był bowiem wizjonerem, wyprzedzał swój czas. Przez lata tworzyliśmy różne scenariusze, początkowo w wymiarze taktycznym, a jak już wchodziliśmy na wyższy poziom wtajemniczenia, nasze rozważania dotyczyły poziomu operacyjnego".

W 2008 roku, gdy dowodził 1 Dywizją Zmechanizowaną, z którą wkrótce pojechał na IX zmianę PKW do Iraku, odniósł się krytycznie do prezentowanego przez przełożonych najwyższego szczebla linearnego postrzegania przyszłej wojny. Przekonywał w publicznej dyspucie, że „czas czterech pancernych już minął". W żaden sposób nie mógł być wówczas pupilkiem naszych strategów, którzy o działaniach hybrydowych zaczęli mówić przed pięcioma laty… A potwierdzenie swych racji gen. Buk udokumentował już wkrótce w praktyce, w Iraku, jako dowódca Wielonarodowej Dywizji Centrum – Południe, gdy łącząc zmysł taktyczny z podejmowaniem odważnych decyzji, „odbił" z rąk rebeliantów Diwaniję i ustabilizował krytyczną sytuację w tym regionie.

Gen. Buk był prekursorem nowoczesności. Odczuli to jego łącznościowcy i informatycy w 1 Warszawskiej Dywizji Zmechanizowanej, gdy zaraz po objęciu dowodzenia kazał uruchamiać niekompatybilne ich zdaniem systemy, łączyć w całość i korzystać z nich, jak się okazało z dobrym skutkiem, podczas ćwiczeń. Obaj wymieniani generałowie pamiętają też jego minikomputer, którego używał w czasach, kiedy nie było smartfonów i tabletów. „Podczas odpraw przez to urządzenie żołnierze panikowali", wspomina gen. Kempara. „Wyciągał z niego sprawy, o których myślano, że zapomniał. Wielka była radość w brygadzie, gdy podczas skoków spadochronowych wyniosło go w las, przeciągnęło po drzewach i ten minikomputer się roztrzaskał. Nie trwała ona jednak długo, bo kupił nowe urządzenie, w tydzień czy dwa odtworzył wszystkie plany i znowu siał postrach".

Mniej zabawne zdarzenie przytacza z kolei gen. Różański: „Tadeusz właśnie objął dowodzenie 34 Brygadą Kawalerii Pancernej, gdy jednostka została poddana kontroli. Jeszcze nie zdążył nic zrobić, a już postawiono mu zarzuty, że w brygadzie panuje bałagan, bo dowódca nie prowadzi zeszytu pracy, lecz używa prywatnego minikomputera. Został więc skarcony za swą ekstrawagancję i parcie ku nowoczesności. Po raz kolejny wyprzedził swój czas i, jak zwykle, został za to napiętnowany".

St. chor. sztab. Jacek Nikodemski, w czasach, gdy mjr Tadeusz Buk tworzył i rozwijał 7 Pułk Ułanów Lubelskich, był instruktorem wychowania fizycznego. Wspomina, że wysoka sprawność kawalerzystów była dla dowódcy czymś oczywistym. „Autobus wiozący żołnierzy na zajęcia sportowe z jednostki w Glinniku do Spały wyjeżdżał punktualnie co do sekundy. Pakował się do niego cały sztab, dowódca wsiadał ostatni, a mnie polecał sprawdzić listę… Nie chciałbym być w skórze tego oficera, który się spóźnił lub nie pojechał, bo miał jakąś ważną robotę", opowiada st. chor. sztab. Nikodemski. Majora można było spotkać na siłowni, na bieżni, na pływalni. Jeździł też konno i biegał po spalskich lasach. „Dowódca pasjami grywał w tenisa ziemnego, najczęściej z mjr. Ireneuszem Bartniakiem lub ze mną", kontynuuje opowieść podoficer. „Do dziś wspominam pierwsze mecze, w których dawałem z siebie wszystko. Przecież nie wypadało, żeby pułkowy wuefiarz był w jakiejkolwiek konkurencji nogą. Nasze pojedynki były zacięte. Jak wygrałem, to od razu widziałem, że nie do końca odniosłem sukces… Nie, nie podkładałem się nigdy, ale po swoim zwycięstwie wódz jakoś łaskawiej patrzył na pokonanego. A potem zazwyczaj przegrany stawiał piwo, przy którym rozważaliśmy, w jaki sposób podnieść na jeszcze wyższy poziom sprawność fizyczną kawalerzystów".

„Byliśmy przyjaciółmi, jeździliśmy konno, polowaliśmy, znajdowaliśmy wspólny język w sprawach wojska", wspomina Jan Kempara. „Wreszcie kupiliśmy ziemię, wybudowaliśmy domy, zostaliśmy w Spale sąsiadami. Tadeusz miał zamiłowanie do przyrody, do lasu. O ile nie był wielkim myśliwym, o tyle konie były jego pasją, która wiązała się z kawaleryjską tradycją brygady. W Spale jeździł na rączym arabie naszego przyjaciela, a bardzo lubił szybką jazdę. Na zbliżające się urodziny miał dostać w prezencie wierzchowca. Nie doczekał już tej chwili. Zgodnie z ułańską tradycją, osiodłanego i okrytego kirem konia prowadzono w jego orszaku pogrzebowym. Nie był to jednak ani ten, którego miał dostać, ani ten, na którym jeździł". ■

PIOTR BERNABIUK

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

1951–2010

GEN. FRANCISZEK GĄGOR

DŻENTELMEN NA POLIGONIE

Wyznawał zasadę, że żołnierzem jest się przez 24 godziny na dobę.

Służący w 2010 roku w Sztabie Generalnym żołnierze, pytani, czym się wyróżniał gen. Franciszek Gągor, jednogłośnie przyznają, że był tytanem pracy. „W jego gabinecie przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie światło zapalało się wczesnym rankiem i gasło późną nocą", potwierdza płk rez. Sylwester Michalski, który u boku generała pełnił służbę rzecznika prasowego Sztabu Generalnego WP. „Generał do pracy przychodził na 6.30, więc ja też stawiałem się na tę samą godzinę. Pracował również w weekendy. Gdy go w piątek pytałem, na którą mam przyjść następnego dnia, mówił: »Jutro sobota, wiec proszę przyjść trochę później, na siódmą«", potwierdza szef sekretariatu szefa Sztabu Generalnego płk Wojciech Matuszewski, który do dziś pełni tę samą funkcję.

Pracowitość gen. Gągora była cechą powszechnie znaną także poza siłami zbrojnymi – wiedzieli o niej dziennikarze. „Dla nas, jako przedstawicieli mediów, miało to tę zaletę, że skoro generał pracował od świtu do późnej nocy, to jego rzecznik też tak pracował", przyznaje Agnieszka Drążkiewicz, dziennikarka zajmująca się tematyką wojskową w Informacyjnej Agencji Radiowej. Zwraca też uwagę na inną cechę generała: „To był prawdziwy dżentelmen, nawet na poligonie". Bo kultura i nienaganne maniery wyróżniały go na co dzień, także w tak surowym i sformalizowanym środowisku pracy, jakim jest wojsko. „Był jednocześnie człowiekiem wydawałoby się niezniszczalnym, który nigdy nie odczuwa zmęczenia, więc często się zastanawialiśmy, skąd bierze tyle sił", ocenia Michalski. „Ale jednocześnie nie przypominam sobie, aby podniósł na kogokolwiek ze swoich podwładnych głos, by uderzył ręką w stół czy rzucił przekleństwem. Swój autorytet budował na kulturze osobistej, spokoju, opanowaniu oraz na mądrości".

Autorytetem nie tylko ze względu na stanowisko, ale też charyzmę był generał dla współpracowników i podwładnych w Sztabie Generalnym, a także przedstawicieli dowództw armii państw NATO. Bo też sprawy międzynarodowe były mu szczególnie bliskie. Jako absolwent Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu, skończył filologię angielską w Poznaniu. Doskonała znajomość angielskiego pozwoliła mu, już po

transformacji ustrojowej, ukończyć Akademię Obrony NATO w Rzymie oraz, z wyróżnieniem, podyplomowe studia strategiczno-operacyjne na Narodowym Uniwersytecie Obrony w USA. Doktorat obroniony w Akademii Obrony Narodowej dotyczył spraw międzynarodowych i był poświęcony zagadnieniom uczestnictwa Polski w zagranicznych operacjach pokojowych.

Na tego rodzaju zagadnieniach gen. Gągor znał się doskonale. Jeszcze w okresie PRL-u uczestniczył w misjach ONZ-etu w Egipcie oraz na wzgórzach Golan. Po transformacji ustrojowej był też bezpośrednio odpowiedzialny za przygotowanie, nadzór i koordynację działań polskich jednostek wypełniających zadania poza granicami kraju. Był m.in. w 1991 roku zastępcą dowódcy PKW w operacji „Pustynna burza" w Iraku, następnie zastępcą dowódcy misji obserwacyjnej ONZ-etu w Iraku i Kuwejcie. W latach 1996–1999 pełnił obowiązki dyrektora Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych MON. Pracował też w zespole, który przygotowywał polskie wojsko do akcesji w struktury NATO.

„Miał duże doświadczenie międzynarodowe i wojsko z niego korzystało. W sprawach międzynarodowych był bowiem bezkonkurencyjny. Bardzo dobrze analizował problemy międzynarodowe i przewidywał właściwe rozwiązania. W dodatku miał talent dyplomatyczny", podkreśla płk Tomasz Kowalik, który w sekretariacie gen. Gągora odpowiadał za sprawy zagraniczne. „Obserwowałem go podczas zagranicznych wyjazdów, na międzynarodowych spotkaniach i kolacjach. W Komitecie Wojskowym NATO uznawali go za przyjaciela, lubili i z uwagą słuchali. Gdy zabierał głos, to wszyscy chcieli wiedzieć, co ma do powiedzenia. Komunikował się nie tylko po angielsku, lecz także po rosyjsku i francusku. Uczył się tych języków podczas przerw w pracy, np. jadąc gdzieś samochodem", wspomina Kowalik. „W czasie posiedzeń Komitetu Wojskowego NATO w Brukseli jego głos był jednym z najbardziej się liczących. Nic dziwnego, że był żelaznym kandydatem na stanowisko szefa tej instytucji", potwierdza Michalski. Obaj zwracają uwagę na to, że talenty dyplomatyczne generała nie ograniczały się do kurtuazji i nienagannych manier. „Zawsze podczas spotkań wypytywał przedstawicieli sojuszniczych armii o ich doświadczenia i szukał rozwiązań przydatnych dla polskiego wojska. Był też orędownikiem sojuszu jednej prędkości. Twierdził, że NATO nie stać, by dzielić członków na różne kategorie, na lepszych i gorszych", przypomina Michalski. „Gdyby nie katastrofa smoleńska, zostałby szefem Komitetu Wojskowego NATO, bo w 2010 roku było już jasne w całym sojuszu, że spośród 28 szefów sztabów on był tym najbardziej naturalnym kandydatem na to stanowisko", podkreśla Kowalik.

OPRÓCZ PRACY SZTABOWEJ ZAWSZE BYŁA DLA NIEGO WAŻNA **CODZIENNA SŁUŻBA WOJSKA**

Służba gen. Gągora na stanowisku szefa Sztabu Generalnego nie była pozbawiona trudnych momentów. Tak było w czasie sprawy Nangar Khel czy katastrofy lotniczej w Mirosławcu. Starał się też zawsze osobiście żegnać każdego żołnierza poległego na misji zagranicznej. „Wszystkie takie zdarzenia odbierał bardzo osobiście, czuł się za nie odpowiedzialny", wspominają nasi rozmówcy. Gdy w 2007 roku grupa polskich żołnierzy została zatrzymana pod zarzutem zbrodni wojennej w Nangar Khel, pojechał do aresztu, gdzie przebywali. „Przeciwstawiał się medialnej nagonce na tych żołnierzy", przypomina rzecznik Sztabu Generalnego. „Nie zgadzamy się z sytuacją, gdy dobre imię i honor polskiego żołnierza są wystawiane na szwank przez publiczne ferowanie wyroku, który jeszcze nie zapadł… Nie dopuszczamy myśli, że nasi koledzy popełnili świadomy błąd. Są i pozostaną naszymi towarzyszami broni. Pozostaniemy solidarni z nimi i ich rodzinami. Nie zapomnimy o nich. Jesteśmy z nimi na dobre i na złe", mówił 23 listopada 2007 roku na zbiórce w bielskim batalionie, w którym służyli aresztowani żołnierze.

Oprócz pracy sztabowej zawsze była dla niego ważna codzienna służba wojska. „Ubolewał, że nadmiar pracy planistycznej i duża aktywność na arenie sojuszniczej nie pozwalały mu być wystarczająco często wśród żołnierzy. Ale korzystał z każdej okazji, by się z nimi spotkać. Ostatnią taką podróż odbył tuż przed świętami wielkanocnymi 2010 roku do Afganistanu", wspomina Michalski. „Interesował się służbą każdego żołnierza, nie było mowy, że coś jest bez znaczenia, bo dotyczy szeregowego", dodaje płk Matuszewski.

Jaki był prywatnie? „Był człowiekiem skromnym. Nie dbał o popularność, a i tak był powszechnie rozpoznawany i szanowany", mówią jego współpracownicy. Dodają, że bardzo kochał swoją rodzinę i nie krył się z tymi uczuciami, ale całego siebie oddał siłom zbrojnym. „Wyznawał zasadę, że żołnierzem jest się przez 24 godziny na dobę i tego wymagał od siebie i od innych", podkreśla szef sekretariatu Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. ■

KRZYSZTOF KOWALCZYK

EWA KORSAK

1955–2010

GEN. DYW. KAZIMIERZ GILARSKI

MIAŁ W SOBIE JAKIŚ MAGNES

Przyciągał ludzi swoją osobowością, ciepłem i poczuciem humoru.

Był dobrym i ciepłym człowiekiem, ujmującym w obyciu. Jego osobowość powodowała, że ludzie od razu nabierali do niego zaufania i dobrze się przy nim czuli", tak o gen. dyw. Kazimierzu Gilarskim, dowódcy Garnizonu Warszawa, mówił jego przyjaciel i następca gen. dyw. Wiesław Grudziński. Jak dodawał, gen. Gilarski miał niesamowitą umiejętność zjednywania sobie ludzi. Gdziekolwiek się pojawił, od razu miał znajomych, z każdym umiał nawiązać kontakt, gromadził wokół siebie przyjaciół. „Miał w sobie jakiś magnes. Cieszył się życiem i tą radością zarażał innych".

„Przyciągał ludzi swoją osobowością, ciepłem i poczuciem humoru", dodawał ksiądz płk Jan Domian, proboszcz parafii wojskowo-cywilnej Matki Bożej Ostrobramskiej na Bemowie. Jak podkreślały osoby, które znały generała, mimo kolejnych awansów Kazimierz Gilarski pozostał tym samym człowiekiem, miłym, sympatycznym i towarzyskim. Żartował, że jest prostym chłopakiem ze wsi i dbał o utrzymywanie kontaktów ze znajomymi z rodzinnych podkarpackich Rudołowic.

Wojsko było dla niego nie tylko zawodem, ale też pasją i powołaniem. W pododdziałach reprezentacyjnych stołecznej komendy garnizonu rozpoczął służbę pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Był wtedy świeżo upieczonym absolwentem Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych. W garnizonie przeszedł wszystkie szczeble wojskowej kariery: od dowódcy plutonu, przez zastępcę komendanta, by w 2006 roku stanąć na czele jednostki. Mówił wtedy, że spełniło się jego marzenie.

Uczestniczył w setkach wojskowych i państwowych i uroczystości w kraju i za granicą. Wiele z nich organizował. To on prowadził w 2000 roku w Katyniu uroczystość otwarcia tam Polskiego Cmentarza Wojennego, witał też Jana Pawła II podczas każdej jego pielgrzymki do Polski.

Zawsze dbał o perfekcyjny wygląd. „Krawat miał idealnie zawiązany, na mundurze nie było nawet fałdki, a w wypastowanych butach można się było przeglądać", wspominał ksiądz Domian. Generał był też jednym z najlepszych znawców ceremoniału wojskowego. Jak opowiadali jego podwładni, wystarczyło, że stanął w miejscu uroczystości i już wiedział, jak ją zaplanować. Widział rozstawione wojsko, poszczególnych funkcyjnych i przebieg uroczystości.

Swoje doświadczenie wykorzystał, współtworząc nowy ceremoniał wojskowy. Dzięki jego zabiegom udało się przywrócić wiele tradycji reprezentacyjnych – szwadron kawalerii, rogatywki dla kompanii reprezentacyjnej czy salut armatni podczas najważniejszych uroczystości.

Kochał Warszawę, z którą związał zawodowe życie. Miejscem najbliższym sercu generała był Grób Nieznanego Żołnierza, na który miał widok z okien swojego gabinetu. Wiedział o nim wszystko. Zabiegał również o przywrócenie na grobie tablic upamiętniających wojnę polsko-bolszewicką 1920 roku.

Jego oczkiem w głowie był Szwadron Kawalerii Wojska Polskiego. Marzył, aby dowódca garnizonu poprowadził odprawę wart, siedząc na koniu. Tego planu nie udało mu się zrealizować. „Dlatego podczas pogrzebu generała przed trumną szedł koń z pustym siodłem", tłumaczył gen. Grudziński.

W pracy generał był perfekcyjny i zdecydowany. Podwładni zapamiętali go jako stanowczego i wymagającego dowódcę. „To dlatego, że znał się dobrze na tym, co robił, wymagał dużo od siebie i od innych", tłumaczył płk Andrzej Śmietana, zastępca Dowódcy Garnizonu Warszawa. Zawsze mówił swoim żołnierzom, że pododdziały reprezentacyjne powinny dążyć do perfekcji, jeśli mają godnie reprezentować armię. Mawiał: „Przygotujcie się jak najlepiej, bo od improwizacji jestem ja". Nawet po imprezie, która podwładnym wydawała się idealna, znajdował niedociągnięcia. Jednak doceniał też ich pracę. „Po uroczystości najpierw dziękował wszystkim za jej zorganizowanie, a dopiero potem omawiał niedociągnięcia i się zastanawiał, jak ich uniknąć w przyszłości", wspominali podwładni.

„Podziwiałem tę zawodową pasję, której towarzyszyła zdolność koncentrowania sztabu ludzi wokół ważnych zadań. Nie mówił – naprzód, lecz – za mną. Ten entuzjazm motywował i dodawał skrzydeł", opowiada płk Roman Januszewski, dowódca 15 Sieradzkiej Brygady Wsparcia Dowodzenia, która podlega DGW. Jak dodaje, to właśnie dzięki generałowi rozpoczął służbę w pododdziałach reprezentacyjnych. Wiosną 1993 roku w Wyższej Szkole Oficerskiej we Wrocławiu odbywały się kwalifikacje do służby w Komendzie Garnizonu Stołecznego. Oficer nie wziął w nich udziału, ponieważ pełnił służbę dyżurną. „Przypadek sprawił, że generał dostrzegł mnie rankiem następnego dnia i ku mojemu zaskoczeniu przeprowadził krótką rozmowę – jak się okazało – kwalifikacyjną. W ten sposób umożliwił i ukierunkował mój rozwój zawodowy", wspomina pułkownik.

Gen. Gilarskiemu zdarzało się dobitnie wyrażać swoje zadanie. Nie tolerował chamstwa i nielojalności, nie lubił ludzi zadufanych w sobie, zarozumiałych i nieskromnych. „Czasem wybuchał, ale nie był pamiętliwy i nie trzymał urazy", mówił gen. Grudziński. „Najbardziej denerwowało go, nie kiedy ktoś popełnił błąd, ale jeśli nie wyciągał z niego wniosków", podkreślał płk Śmietana. Dlatego podczas odpraw żołnierze uwagi dowódcy zapisywali w zeszycie, żeby przed następną uroczystością przypomnieć sobie jego zastrzeżenia i uniknąć podobnych błędów w przyszłości.

Umiał też wysłuchać racji oraz rad innych i nie uważał, że ma monopol na wiedzę. „To był człowiek zasad, dla którego ludzkie sprawy stanowiły wartość nadrzędną. Nie unikał kontaktów z podwładnymi, zawsze był gotów wysłuchać, doradzić, pomóc", zaznacza płk Januszewski. Jak dodaje, generał był nie tylko jego dowódcą, ale też mentorem i przyjacielem. „Jego konstruktywnych uwag, jego żartów czy choćby zwyczajnego poklepania po ramieniu do dzisiaj bardzo mi brakuje". ■

ANNA DĄBROWSKA

LECH KACZYŃSKI
prezydent
Rzeczypospolitej Polskiej,
zwierzchnik Sił Zbrojnych RP
1949–2010

MARIA KACZYŃSKA
małżonka prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
1942–2010

RYSZARD KACZOROWSKI
ostatni prezydent
Rzeczypospolitej Polskiej
na uchodźstwie
1919–2010

**GEN. PILOT
ANDRZEJ BŁASIK**
dowódca Sił Powietrznych
1962–2010

GEN. BRONI TADEUSZ BUK
dowódca Wojsk Lądowych
1960–2010

**KS. ABP GEN. DYW.
MIROSŁAW MIRON
CHODAKOWSKI**
prawosławny ordynariusz
Wojska Polskiego
1957–2010

**PŁK W ST. SPOCZ.
CZESŁAW CYWIŃSKI**
prezes Zarządu Głównego
Światowego Związku Żołnierzy
Armii Krajowej
1926–2010

**PŁK W ST. SPOCZ.
ZBIGNIEW DĘBSKI**
członek Kapituły Orderu Wojennego
Virtuti Militari
1922–2010

GRZEGORZ DOLNIAK
poseł na Sejm RP,
członek sejmowej Komisji
Obrony Narodowej
1960–2010

TOMASZ GOS

1958–2010

ADM. FLOTY

ANDRZEJ KARWETA

KARWETA ZNACZY MARYNARZ

Miał dwie pasje: dom i morze. Wymagający, sumienny, nie znosił bylejakości, a za niedociągnięcia potrafił zdrowo obsztorcować.

Działo się to w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy w Helu istniał jeszcze pełnoprawny port wojenny. Tam właśnie stacjonował 13 Dywizjon Trałowców. Andrzej Karweta, wówczas komandor, był jego dowódcą. Obecny dowódca, kmdr por. Piotr Sikora, był świeżo upieczonym oficerem na jednym z okrętów. Sam Hel cieszył się raczej złą sławą – garnizon na krańcu Polski, w dodatku z portem, który wychodził wprost na otwarte morze. Każda, nawet najmniejsza zmiana pogody była tam odczuwalna, jak mało gdzie. A marynarze niemal nie schodzili z pokładów. I dlatego właśnie do nazwy miasta zwykli dodawać jeszcze jedną literę „l". „Hell" to po angielsku piekło.

„Starałem się wówczas o zgodę na zamieszkanie poza garnizonem. W Gdyni miałem narzeczoną, która wkrótce została moją żoną. Wniosek został jednak rozpatrzony negatywnie", opowiada kmdr por. Sikora. Wkrótce jego okręt wyszedł na tydzień w morze. Załodze postanowił towarzyszyć kmdr Karweta. „Zasypywał mnie pytaniami: »Na jakiej częstotliwości nawiąże pan łączność z kapitanatem portu w Gdańsku? A na jakiej z pilotami?«. Pamiętam, że zaskoczył mnie nawet zadając je, kiedy wychodziłem z toalety", śmieje się obecny dowódca 13 Dywizjonu. Kiedy okręt wrócił do portu, kmdr Karweta rzucił jego dowódcy: „W poniedziałek Sikora melduje się u mnie z samego rana". „Miałem weekend z głowy. We wskazanym dniu wchodzę do biura, a tam mój wniosek o zamieszkanie poza garnizonem. Ze zgodą dowódcy", opowiada kmdr por. Sikora. „Taki właśnie był. Wymagający, ale sprawiedliwy i w gruncie rzeczy niezwykle otwarty".

Andrzej Karweta urodził się w 1958 roku. Pochodził z miejscowości Jeleń na południu Polski. Ciągnęło go jednak nad morze. W 1977 roku rozpoczął naukę na Wydziale Dowódczym Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej w Gdyni. Studiował na jednym roku razem z kadm. Krzysztofem Teryfterem, obecnie zastępcą dowódcy Centrum Operacji Morskich. „Byliśmy w innych grupach, ale się kolegowaliśmy. Był bardzo pogodnym człowiekiem, lubił i umiał żartować", wspomina kontradmirał. Potem ich drogi miały się przeciąć jeszcze kilkakrotnie.

Po ukończeniu studiów, jako podporucznik marynarki, Karweta trafił do 13 Dywizjonu Trałowców, który podlegał wówczas 9 Flotylli Okrętów. I bardzo szybko zaczął piąć się w górę. W wieku 28 lat objął dowodzenie swoim pierwszym okrętem – trałowcem ORP „Czapla". Jako dowódca ORP „Mewa" stanął na czele grupy taktycznej, potem został szefem sztabu, wreszcie w 1996 roku – dowódcą dywizjonu. „Nie tolerował bylejakości", podkreśla

ZA RZĄDÓW ADM. KARWETY ORP „MEWA” DOŁĄCZYŁ DO STAŁEGO ZESPOŁU SIŁ OBRONY PRZECIWMINOWEJ **NATO**

kmdr ppor. rez. Aleksander Gierkowski, który w latach dziewięćdziesiątych dowodził trałowcem ORP „Gopło”. „Pamiętam, jak nasz okręt wrócił ze stoczni, a my zdawaliśmy egzamin z zadania programowego O-1, które polega na przygotowaniu do wyjścia w morze”, wspomina Gierkowski. Dowódca dywizjonu uznał, że sprawdzian nie przebiega, jak należy. „Tego samego popołudnia byliśmy już na białej kotwicy”, śmieje się Gierkowski. Załoga nadal się szkoliła, tyle że na morzu. Okręt stał na kotwicy w niewielkiej odległości od portu. Przełożeni mogli obserwować przez lornetkę, co się dzieje na jego pokładzie. Takie szkolenie mogło trwać nawet tydzień. „Byłem ostatnim dowódcą okrętu z Helu, który stanął na białej kotwicy. Przedostatnim był późniejszy adm. Karweta. I wie pan co? Jestem z tego dumny”, podkreśla Gierkowski. „Karweta potrafił człowieka ochrzanić, na czym świat stoi, ale nie był pamiętliwy. Wpoił mi zasady, którym do dziś jestem wierny. Był dowódcą z krwi i kości. Ostatnim w dywizjonie, którego naprawdę szanowałem”, zaznacza Gierkowski.

Za rządów adm. Karwety ORP „Mewa”, jako pierwsza polska jednostka, dołączył do Stałego Zespołu Sił Obrony Przeciwminowej NATO, który strzegł bezpieczeństwa na Bałtyku i Morzu Północnym. Aby sprostać wymogom sojuszu, okręt został gruntownie zmodernizowany. Na bazie starych jednostek powstały nowoczesne niszczyciele min. Adm. Karweta aktywnie uczestniczył w tych pracach. Z dywizjonu odszedł w 2002 roku, kiedy rozpoczął trzyletnią służbę w dowództwie Sił Morskich NATO. Pełnił tam m.in. funkcję zastępcy szefa oddziału broni podwodnej. Po powrocie do Polski objął dowództwo nad 8 Flotyllą Obrony Wybrzeża w Świnoujściu. Jednocześnie uzupełniał wiedzę w Akademii Marynarki Wojennej i na prestiżowych Royal College of Defence Studies w Londynie. 11 listopada 2007 roku został dowódcą marynarki wojennej.

W ministerialnych gabinetach twardo umiał o nią walczyć. „Zwykł mówić: »nie dawajcie mi awansów, dawajcie okręty«”, wspominał kiedyś w Polskim Radiu jego zastępca wiceadm. Waldemar Głuszko. Potrafił rządzić twardą ręką. „Znaliśmy się od lat, ale podczas służby nie zwracaliśmy się do siebie na »ty«. W pracy składało się meldunki, a nie pijało kawki”, przyznaje kadm. Teryfter. Co innego po zdjęciu munduru. „Andrzej Karweta był bardzo ciepłym, serdecznym człowiekiem”, podkreśla kadm. Teryfter. Kilka miesięcy przed śmiercią wprowadził się z rodziną do nowego domu. Bardzo się z tego cieszył, uwielbiał prace w ogrodzie, z nowym miejscem wiązał liczne plany. „Ja sam kupiłem działkę w pobliżu. Kilka razy się spotykaliśmy, rozmawialiśmy o budowie. Nie zdążyliśmy zostać sąsiadami”, mówi.

Zostawił żonę i troje dzieci. Pochowano go w Baninie na Pomorzu. Zniszczony w katastrofie mundur admirała można dziś oglądać w poświęconej mu gablocie na pokładzie historycznego niszczyciela ORP „Błyskawica”. ■

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

GEN. FRANCISZEK GĄGOR
szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego
1951–2010

GEN. DYW. KAZIMIERZ GILARSKI
dowódca Garnizonu Warszawa
1955–2010

PPŁK PILOT ROBERT GRZYWNA
drugi pilot
1974–2010

NATALIA MARIA JANUSZKO
stewardesa
1987–2010

ADM. FLOTY ANDRZEJ KARWETA
dowódca Marynarki Wojennej
1958–2010

GEN. DYW. W ST. SPOCZ. STANISŁAW NAŁĘCZ-KOMORNICKI
kanclerz Kapituły Orderu Wojennego Virtuti Militari
1924–2010

STANISŁAW JERZY KOMOROWSKI
podsekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej
1953–2010

GEN. BRONISŁAW KWIATKOWSKI
dowódca operacyjny Sił Zbrojnych RP
1950–2010

GEN. BRYG. DR HAB. N. MED. WOJCIECH LUBIŃSKI
lekarz prezydenta RP
1969–2010

BARBARA MACIEJCZYK
stewardesa
1981–2010

EWA KORSAK

1950–2010

GEN. BRONISŁAW KWIATKOWSKI

ZAWSZE STAWAŁ PO STRONIE ŻOŁNIERZA

Nie tylko dowódca, lecz także fantastyczny człowiek i przyjaciel.

W pamięci podwładnych gen. Bronisław Kwiatkowski zapisał się jako nietuzinkowy dowódca i wielka osobowość, a jednocześnie bardzo otwarty na ludzi. „Nie ograniczał się do wydawania rozkazów, lecz interesował się sytuacją swoich podwładnych. Rozumiał, że mogą mieć oni różne problemy i jeśli mógł pomóc, robił to", wspomina gen. dyw. Cezary Podlasiński, jeden z najbliższych współpracowników gen. Kwiatkowskiego w ostatnich latach jego służby. „Wielu pamięta, że dowódca w trudnych sytuacjach zawsze stawał po stronie żołnierza. Robił to nawet wtedy, gdy inni odsuwali się od kogoś, by się nie narazić przełożonym", potwierdza Piotr Jaszczuk, który pracował w biurze prasowym Dowództwa Operacyjnego Sił Zbrojnych.

„Najbardziej utkwiło mi w pamięci pierwsze spotkanie podczas ćwiczeń, gdy miałem zostać rzecznikiem Wielonarodowej Dywizji w Iraku", wspomina płk Dariusz Kacperczyk. „Bronisław Kwiatkowski był już dwugwiazdkowym generałem, a ja kapitanem. W wojsku to przepaść. Tymczasem generał, który widział mnie pierwszy raz, uznał, że jestem fachowcem, i mi zaufał".

Wszyscy współpracownicy gen. Kwiatkowskiego podkreślają, że był on bardzo wymagającym dowódcą. Nie miał jednak w zwyczaju ciągle kontrolować swoich podwładnych. Nie ingerował w szczegóły ich pracy, jeśli wykonywali ją dobrze.

„Nie pamiętam, aby nadużywano zaufania generała. Wręcz przeciwnie, żołnierze starali się, aby nie zawieść dowódcy", wspomina gen. Podlasiński. Bronisław Kwiatkowski nie budował autorytetu, podnosząc głos lub beształ podwładnych. Wystarczyła jedna uwaga dowódcy, aby adresaci czuli się zobowiązani wykonać swoje zadanie jak najlepiej. „Pamiętam, że w przeddzień piątej rocznicy utworzenia Dowództwa Operacyjnego generał przyszedł obejrzeć przygotowany przez nas z tej okazji film, ale podczas próby zawiodła technika. Tak skwitował tę sytuację: »Byłyby dobrze, aby jutro się udało«. To było gorsze, niż gdyby nas zbeształ. I wystarczyło, byśmy poczuli, że musimy zrobić wszystko, aby nie zawieść dowódcy", wspomina płk Dariusz Kacperczyk, który wówczas był rzecznikiem prasowym Dowództwa Operacyjnego. Niewykluczone, że niektórzy z wojskowych po awarii

sprzętu zarwali noc, ale następnego dnia wszystko działało. Z perspektywy lat żołnierze dostrzegają, że gen. Kwiatkowski był znakomitym psychologiem. Zdawał sobie sprawę, że ostra reakcja nie przyczyni się do rozwiązania problemu. Byli współpracownicy zwracają też uwagę, że wokół niego zaczęli się gromadzić ludzie podobnie myślący, gotowi delegować uprawnienia podwładnym, bo uważali ich za profesjonalistów.

Niezwykle ważną cechą gen. Bronisława Kwiatkowskiego było też to, że nie był pamiętliwy, nie przekreślał człowieka, któremu przydarzyło się popełnić błąd. Taka osoba zawsze dostawała kolejną szansę, by dalszą służbą udowodnić, że był to jedynie wypadek przy pracy. „Gdy przyszedłem do Dowództwa Operacyjnego Sił Zbrojnych, musiałem się wiele nauczyć, nie wszystko na początku wychodziło, ale generał dał mi szansę, by to poprawić. Wiem, że podobnie traktował też innych", potwierdza Piotr Jaszczuk.

„Nie wiem, kim byłbym dziś i gdzie bym służył, gdyby nie Bronek", stwierdza gen. Podlasiński. „W dużej mierze to on pokierował moją karierą wojskową, spowodował, że dziś jestem generałem". Przełomowym momentem, jak podkreśla, było wybranie go przez gen. Kwiatkowskiego na szefa sztabu Wielonarodowej Dywizji w Iraku w trakcie VII zmiany. „Dopiero później dowiedziałem się, że powierzenie mi tego stanowiska postawił jako warunek zgody na objęcie przez niego dowodzenia w Iraku", ujawnia gen. Podlasiński. Po powrocie do kraju gen. Kwiatkowski nie zapomniał o swoim podwładnym. Gdy został dowódcą operacyjnym, znowu sprowadził go do siebie. „Z jednej strony dowódca, z drugiej fantastyczny człowiek i przyjaciel", podsumowuje gen. Podlasiński.

Wylot z prezydentem do Smoleńska 10 kwietnia 2010 roku miał być dla gen. broni. Bronisława Kwiatkowskiego, dowódcy operacyjnego sił zbrojnych, ostatnią podróżą służbową. Za kilka tygodni miał zakończyć długoletnią służbę. Snuł plany na przyszłość. Oprócz armii niezwykle ważne było dla niego życie rodzinne. Bliscy współpracownicy wiedzieli, jak wielką miłością darzył żonę. Ich związek kwitł, choć były długie czasy rozłąki, wynikające z misji zagranicznych lub służby w jednostkach wojskowych poza Krakowem, gdzie był dom rodzinny generała. „Pamiętam nasze rozmowy z ostatnich miesięcy, tygodni przed lotem do Smoleńska, gdy Bronek przygotowywał się do odejścia na emeryturę. Planował wtedy swe najbliższe miesiące życia. Mówił, że odda swój wolny czas rodzinie, żonie i córkom, bo w trakcie służby mu go brakowało", wspomina gen. Podlasiński. Przy takim podejściu do rodziny generał miał również zrozumienie w takich kwestiach dla swoich podwładnych. To było niezwykle ważne dla żołnierzy, którzy służyli w Warszawie, a ich bliscy mieszkali w różnych miejscach kraju.

Stosunek żołnierzy do gen. Bronisława Kwiatkowskiego odzwierciedla wiersz, który spontanicznie napisał jeden z nich, chor. Marek Kramarczyk, tuż po katastrofie i który jest zamieszczony na stronie internetowej DORSZ:

„ty odszedłeś... a co z nami?
wojskiem twoim ukochanym...
wciąż stoimy tu na baczność
w hołdzie tobie dziś składanym
[…] generale – wydaj rozkaz
byśmy mogli łzy osuszyć
dłoń uścisnąć – oddać honor
i na misje znów wyruszyć". ■

TADEUSZ WRÓBEL

PPOR. ANDRZEJ MICHALAK
technik pokładowy
1973–2010

JUSTYNA MONIUSZKO
stewardesa
1985–2010

KS. PŁK JAN OSIŃSKI
sekretarz biskupa polowego
Wojska Polskiego
1975–2010

KS. GEN. BRYG. ADAM PILCH
pełniący obowiązki ewangelickiego
biskupa wojskowego
1965–2010

**KS. BP GEN. BRONI
TADEUSZ PŁOSKI**
biskup polowy Wojska Polskiego
1956–2010

**GEN. BRONI
WŁODZIMIERZ POTASIŃSKI**
dowódca Wojsk Specjalnych
1956–2010

**MJR PILOT
ARKADIUSZ PROTASIUK**
dowódca załogi samolotu
1974–2010

ALEKSANDER SZCZYGŁO
szef Biura Bezpieczeństwa
Narodowego
1962–2010

JERZY SZMAJDZIŃSKI
wicemarszałek Sejmu RP
1952–2010

STANISŁAW ZAJĄC
senator RP, przewodniczący
senackiej Komisji Obrony
Narodowej
1949–2010

KPT. PILOT ARTUR ZIĘTEK
nawigator
1978–2010

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

1956–2010

GEN. BRONI WŁODZIMIERZ POTASIŃSKI

PRZED NIM ŻOŁNIERSKIE SERCA

Drugiego takiego dowódcy nie będzie, człowieka też. Był nietuzinkowy, charyzmatyczny i nigdy nie szedł drogą na skróty.

Kiedy dotarła do nas wiadomość o katastrofie, wszyscy byliśmy w szoku. Żołnierze i pracownicy Dowództwa Wojsk Specjalnych spontanicznie przyjeżdżali do pracy – tak jakby obecność w jednostce miała nas przybliżyć do tragicznie zmarłego dowódcy. Z »Polski Zbrojnej« wycięliśmy zdjęcie generała, oprawiliśmy je w ramkę i postawiliśmy przed budynkiem. Chwilę później w tym miejscu było już mnóstwo zniczy", wspomina ppłk Grzegorz Proskura, oficer Dowództwa Komponentu Wojsk Specjalnych. „Wraz z jego śmiercią każdy coś stracił. Armia – kandydata na pierwszego żołnierza, a ja – wspaniałego dowódcę", dodaje.

„Trudno mi wracać do tamtych chwil. Byłem na studiach w Stanach Zjednoczonych, kiedy dowiedziałem się o tej strasznej tragedii. Bardzo to przeżyłem. Ze względu na pył wulkaniczny loty do Europy zostały wstrzymane. A ja wiedziałem, że muszę wrócić do kraju na jego pogrzeb", wspomina gen. bryg. Jerzy Gut, przyjaciel gen. Potasińskiego i ówczesny szef sztabu DWS. „Cztery dni jeździłem spakowany na lotnisko i czekałem na samolot. Na szczęście się udało i mogłem towarzyszyć generałowi w tej ostatniej ziemskiej drodze".

Wiele dni po katastrofie drzwi do kancelarii gen. Potasińskiego wciąż były otwarte. Pracownicy i żołnierze nie mogli się oprzeć, by nie zajrzeć do środka. Każdy miał nadzieję, że zastanie swojego dowódcę przy pracy – jakby nic się nie stało. „Emocje były bardzo duże. Trudno było się pogodzić z nową sytuacją. Każdy się zastanawiał, co będzie dalej", opisuje st. chor. sztab. Tomasz Świerad, dziś pomocnik dowódcy ds. podoficerów w DKWS.

Włodzimierz Potasiński w chwili katastrofy miał 54 lata. Karierę wojskową zaczął w 1980 roku, gdy jako prymus skończył Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu. Służył na różnych stanowiskach w 6 Brygadzie Powietrznodesantowej, Dowództwie 3 Brygady Zmechanizowanej, Dowództwie Wojsk Lądowych, 2 Brygadzie Zmechanizowanej,

25 Brygadzie Kawalerii Powietrznej i 2 Korpusie Zmechanizowanym. Dowodził kontyngentem sił ONZ w Syrii i dwukrotnie służył w Iraku.

Na początku służby przylgnęła do niego ksywa „Zeb". „Było to nawiązanie do emitowanego pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku serialu „Jak zdobywano Dziki Zachód". Włodek wyglądem przypominał głównego bohatera westernu Zeba Macahana. Ten sam wzrost i sprężysty chód. Do tego wąsy i długi nóż noszony za pasem", wspomina ppłk Proskura. Z powodu noża niektórzy mówili na niego także „Long Knife", a inni po prostu nazywali „Potasem". „Mimo kariery wojskowej, generalskich szlifów to był ciągle ten sam Włodek, z którym graliśmy w piłkę. Nigdy nie uderzyła mu sodówka do głowy, nie zmienił się i pozostał wierny swoim przekonaniom", opowiada jego kolega.

„Poznaliśmy się w 1991 roku, kiedy Włodek – jeszcze w stopniu kapitana – dowodził 16 Batalionem Powietrznodesantowym. Jako młody kapitan zostałem wyznaczony na stanowisko zastępcy dowódcy ds. liniowych. Zaprzyjaźniliśmy się. Byliśmy partnerami w pracy i kumplami na boisku. Włodek był świetnym sportowcem. Ostro grał w koszykówkę i nie oszczędzał się, grając w piłkę nożną", wspomina gen. Jerzy Gut.

Po kilku latach drogi zawodowe oficerów się rozeszły, ponownie spotkali się w 2004 roku, podczas szkolenia przed misją w Iraku. Gen. Potasiński dowodził wówczas brygadą, gen. Gut batalionem. „Niespodziewanie spotkaliśmy się na placu Piłsudskiego w Warszawie. Był 15 sierpnia 2007 roku. Otrzymałem wówczas od prezydenta Krzyż Kawalerski Orderu Krzyża Wojskowego za służbę w Iraku, a Włodek odebrał nominację na dowódcę wojsk specjalnych. Spojrzał na mnie i rzucił krótko: »Pomożesz?«. Odpowiedź mogła być tylko jedna", mówi gen. Gut.

Na budowanie zdolności polskich wojsk specjalnych miał plan od samego początku. Był wizjonerem, człowiekiem o niezwykle szerokich horyzontach. Swoimi ideałami i planami zarażał innych. Już w 2007 roku, kiedy powstało Dowództwo Wojsk Specjalnych, zrodziła się inicjatywa, by Polska uzyskała status państwa ramowego w dziedzinie sojuszniczych operacji specjalnych i zdolność dowodzenia nimi. Jego marzenie spełniło się pod koniec 2013 roku. Nasz kraj dołączył do grona kilku państw, które mają takie uprawnienia. W grudniu ubiegłego roku specjalsi zakończyli także roczny dyżur w Siłach Odpowiedzi NATO.

NA BUDOWANIE ZDOLNOŚCI **POLSKICH WOJSK SPECJALNYCH** MIAŁ PLAN OD SAMEGO POCZĄTKU

Choć łatwo zjednywał sobie ludzi, w swoim otoczeniu miał nie tylko zwolenników. „Był trudnym przeciwnikiem. Nigdy nie szedł na skróty, nie owijał w bawełnę, nie upiększał rzeczywistości. Czy się komuś to podobało, czy nie, mówił prawdę i twardo walczył o swoje racje. Nie uginał się przed przełożonymi i zwierzchnikami", wspominają jego przyjaciele. „Był człowiekiem niepokornym, gotowym do walki o swoje idee. Włodek wyprzedził epokę. Jego optymistyczne plany wydawały się na początku niepoprawne i mało realne. A jednak się udało", dodaje gen. Gut. Dowódca DKWS przypomina także, że w 2008 roku razem z gen. Potasińskim poleciał do Stanów Zjednoczonych na konferencję dowódców sił specjalnych. „Na sali było ponad 700 doświadczonych żołnierzy sił specjalnych. Włodek, jako jedyny oficer spoza USA, miał wystąpienie. Prostym językiem opowiedział o swoich planach, o rozwoju wojsk specjalnych w Polsce. Jego otwartość przełamała lody. A to co mówił nagrodzono owacją na stojąco".

Ówcześni podwładni Potasińskiego przyznają, że tragicznie zmarły dowódca już za życia był ikoną specjalsów. Mówią, że przed „Potasem" nigdy nie maszerowały żołnierskie buty, lecz serca. „Pracujemy wśród reguł, których Pan nas nauczył. Wiemy, czego chciał Pan dla naszych wojsk. Będziemy tego dziedzictwa strzec jak najdroższego skarbu. Nasza służba będzie świadectwem Pana dzieła, trudu i poświęcenia dla ojczyzny", deklarowali w dniu pogrzebu.

Sześć lat po śmierci gen. Potasińskiego emocje są ciągle żywe. „Trudno o nim mówić w czasie przeszłym i trudno uwierzyć, że ta tragedia wydarzyła się już sześć lat temu", przyznaje ppłk Proskura. I zaraz dodaje: „To był niezwykły facet. Dobra dusza, każdego wysłuchał, nie był obojętny na problemy swoich podwładnych. Empatyczny, zawsze sprawiedliwy. Jego nieobecność jest ciągle bardzo zauważalna".

Włodzimierz Potasiński został pośmiertnie mianowany na stopień generała broni. Otrzymał Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. Pozostawił w żałobie społeczność wojsk specjalnych, żonę Martę i córkę Aleksandrę. ■

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

DRUGIE PODEJŚCIE

Z dr. inż. Wacławem Berczyńskim

o nowych dowodach w śledztwie i różnych wersjach nagrań czarnych skrzynek rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

Rozpoczęła prace powołana przez ministra obrony narodowej Antoniego Macierewicza podkomisja smoleńska. Jak będą one przebiegać?

Najpierw musimy zebrać materiały z komisji Millera, a także te będące w posiadaniu rządu oraz z prokuratury. Gdy je ocenimy, poprosimy o ekspertyzy. Dysponujemy także nowymi materiałami, których nie miała komisja Millera. Na pierwszym posiedzeniu podzieliliśmy się na cztery podzespoły tematyczne: awionika i lotnictwo, konstrukcja, medycyna, prawo i dokumentacja. Taki podział wynika z ustawy „Prawo lotnicze", w której jest mowa, że w komisji muszą się znaleźć specjaliści z różnych dziedzin. Każdy członek komisji może należeć do więcej niż jednego zespołu, bo każdy może decydować o przebiegu prac oraz o raporcie końcowym. Plenarne posiedzenia będziemy odbywać raz w miesiącu lub raz na dwa miesiące. Zespoły robocze będą spotykały się częściej. Każdy zespół ma wyznaczonego koordynatora.

Jakie kompetencje mają członkowie podkomisji?

Mamy lekarzy patologów, psychologa, nawigatorów, kilka osób zajmuje się konstrukcjami lotniczymi. Są także akustycy, prawnicy, inżynierowie, piloci, chemicy.

Jest też etnomuzykolog, specjalista antropologii muzyki.

Ta osoba będzie pracowała nad odczytem zapisów czarnych skrzynek. Ma olbrzymie doświadczenie w rozpoznawaniu dźwięków. Pamiętamy, jak burzliwe były dyskusje na temat tego, kto co powiedział w kokpicie i co słychać na nagraniu.

Podkomisja ma też czterech zagranicznych doradców. Jaka będzie ich rola?

To prof. Michael Baden – specjalista medycyny sądowej z USA, Frank Taylor – inżynier lotniczy z Wielkiej Brytanii, były szef Centrum Bezpieczeństwa Lotnictwa Cranfield College of Aeronautics, konsultant ds. bezpieczeństwa lotniczego, Glenn Joergensen – inżynier, pilot, biznesmen i wynalazca z Danii, do tej pory współpracownik parlamentarnego zespołu smoleńskiego, i Andriej Iłłarionow – ekonomista z Rosji, były doradca prezydenta Władimira Putina. Chcemy być maksymalnie obiektywni i mieć pewność, że to, co robimy, znajdzie potwierdzenie w faktach.

Co jest punktem wyjścia w pracach podkomisji?

Stan samolotu przed wypadkiem i przygotowania do lotu. W dalszej kolejności zajmiemy się także przebiegiem lotu oraz katastrofy.

Wspomniał Pan o nowych dowodach. Jakich?

Gdyby te dokumenty włączono do końcowych wniosków, niemożliwe byłoby przypisanie winy pilotom. Myślę m.in. o zdjęciach zrobionych 10 kwietnia 2010 roku, z których większość nie została wykorzystana. Są ich tysiące.

Kolejne dokumenty to protokoły z ekshumacji ośmiu ofiar katastrofy przeprowadzone w latach 2011–2012; podważają one wiarygodność autopsji dokonanych w Moskwie. Dostarczona stronie polskiej kopia zapisu rosyjskiego rejestratora jest natomiast krótsza od równoległego zapisu polskiej czarnej skrzynki o ponad dwie minuty.

Nasza komisja nie zajmuje się szukaniem winnych, lecz badaniem wypadku

Jakich dokumentów komisja Millera nie włączyła do końcowych wniosków?

Choćby danych z czarnych skrzynek. Były one w dyspozycji tej komisji, ale tylko częściowo zostały wykorzystane. Nie przeanalizowała ona także raportu polskich archeologów z badania miejsca katastrofy w październiku 2010 roku, którzy m.in. oszacowali liczbę części samolotu na około 60 tys.

Mówił Pan, że zarówno komisja rosyjska, jak i polska pominęły niektóre wątki. Jakie?

Taśmy z czarnych skrzynek były np. sczytywane trzy razy. Powstały trzy różne wersje zapisu. Skoro z Moskwy przywieziono trzy zapisy czarnych skrzynek i za każdym razem taśmy miały różną długość, pojawia się pytanie – która taśma była prawdziwa? Mamy trzy odczyty różniące się długością, więc są podejrzenia, że niektóre fragmenty zostały wycięte, a inne dodane. Przypomnę, jak w Moskwie były zabezpieczone czarne skrzynki: zostały zamknięte w szafie, zaklejonej paskiem z napisem „prokurator". Różne osoby mogły mieć do nich dostęp. Wątpliwa jest także analiza psychologiczna – w raporcie Międzypaństwowego Komitetu Lotniczego tak oceniono zachowanie pilotów, że przypisano im winę za spowodowanie katastrofy. Komisja Millera nie dokonała także analizy charakteru obrażeń poszczególnych osób w zależności od miejsc zajmowanych w samolocie. Pominęła również kontrwywiadowcze zabezpieczenie remontu samolotu „101" w Samarze, a także weryfikację warunków bezpieczeństwa dostępu do lotniska wojskowego na Okęciu oraz antyterrorystycznego zabezpieczenia samolotu tuż przed wylotem.

Czy podkomisja skorzysta z raportu opracowanego przez parlamentarny zespół ds. wyjaśnienia przyczyn katastrofy samolotu Tu-154 w Smoleńsku?

Byłem członkiem tego zespołu, podobnie jak kilka innych osób z naszej komisji. Znamy więc raport, który powstał na zakończenie jej prac. Będzie on jednym z dokumentów, które weźmiemy pod uwagę.

Komisja Millera ustaliła, że przyczyną katastrofy było zejście samolotu poniżej minimalnej wysokości zniżania, czego konsekwencją było zderzenie z drzewami, prowadzące do stopniowego niszczenia konstrukcji Tu-154M. Czy kwestionuje Pan całość ustaleń komisji Millera, czy niektóre tezy?

Chcemy ocenić i wykorzystać materiały z prac komisji Millera, nie interesuje nas zaś raport końcowy. Nie chcemy ani go kwestionować, ani potwierdzać. Nasza komisja podejmuje prace od początku.

Co z wrakiem? Czy bez zbadania wraku można wyjaśnić przyczynę katastrofy?

Byłoby znacznie łatwiej, gdybyśmy dysponowali wrakiem w takim stanie, w jakim był po katastrofie. Wiedzielibyśmy, gdzie nastąpił rozpad samolotu i w którym momencie. Tymczasem samolot został w dużej części rozkradziony, Polacy przywozili fragmenty na pamiątkę, a miejscowi część sprzedali na złom. Sam widziałem w Polsce fragment konstrukcji samolotu wielkości kilku kilogramów. Podejrzewam, że nie był to jedyny taki przypadek. To, co pozostało w Rosji na płycie lotniska, to nie więcej niż połowa samolotu.

Dlaczego tak ważne mają być zniszczone karty informacji i meldunki, które dostarczono 10 kwietnia do Sztabu Generalnego WP?

Ponieważ pochodzą z dnia katastrofy. Meldunki z poprzedniego dnia i z następnego nie zostały zniszczone. Zrekonstruować je można na podstawie zeznań świadków, którzy je tworzyli.

Śledztwo w sprawie przyczyn katastrofy nadal prowadzi Wojskowa Prokuratura Okręgowa w Warszawie.

Prokuratura ustala, kto spowodował wypadek i jakie były jego przyczyny. Nasza komisja nie zajmuje się szukaniem winnych, lecz badaniem wypadku. To są dwa różne punkty podejścia. Prokuratura ma znacznie większe możliwości uzyskania różnych materiałów. My nie możemy nikogo wezwać ani nikomu nic nakazać. ■

DR INŻ. WACŁAW BERCZYŃSKI jest przewodniczącym podkomisji ds. zbadania przyczyn katastrofy smoleńskiej, konstruktorem z działu wojskowo-kosmicznego firmy Boeing i NASA, doradcą Organizacji Międzynarodowego Lotnictwa Cywilnego (ICAO) i Departamentu Obrony USA.

EWA KORSAK
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Wrócimy do Patagonii

Po raz pierwszy polska drużyna wzięła udział w jednym z najtrudniejszych wyścigów świata. Nie udało się go ukończyć, ale do ostatniej chwili się nie poddawali.

Kiedy już było po czasie, wiedzieliśmy, że to koniec, że ponieśliśmy porażkę", mówi Paweł „Shaggy" Pacholski, członek media teamu, który towarzyszył drużynie Spirit Of Poland w Patagonii. „Czekaliśmy na nich na jednym z punktów kontrolnych. W końcu zobaczyliśmy, że wracają i pobiegliśmy do nich. Spojrzałem na ich twarze i zobaczyłem, że byli naprawdę… Nie mogę używać wulgarnych słów, prawda?".

Rafał i Paweł „Naval", byli żołnierze GROM-u, Agnieszka, pracownik wojska, i Krystian, ratownik GOPR-u, od roku ciężko trenowali, by wziąć udział w Patagonian Expedition Race, który jest uznawany za jeden z ośmiu najtrudniejszych wyścigów świata. Jego uczestnicy muszą pokonać trasę, o szczegółach której dowiadują się dopiero 24 godziny przed startem. Spirit of Poland był pierwszym polskim zespołem, który zmierzył się z tym wyzwaniem (o przygotowaniach do wyścigu pisaliśmy w „Polsce Zbrojnej" nr 12/2015).

NIE MA CZASU NA EMOCJE

Problemy zaczęły się już na starcie. Po długim locie z Warszawy do Patagonii, krainy położonej na terenie Chile i Argentyny, okazało się, że drużyna nie ma gdzie nocować. Hostel wycofał się z rezerwacji. Oprócz tego na granicy zatrzymano im prowiant – 40-kilogramowa paczka żywności liofilizowanej oraz batoników energetycznych zaniepokoiła strażników celnych. „Początki nie były łatwe, ale też nie jesteśmy z tych, którzy się załamują, bo nie mają swoich ulubionych batonów pod ręką", śmieje się Rafał, kapitan drużyny oraz organizator całej wyprawy. „Poza tym szybko udało się nam znaleźć nocleg i uzupełnić zapasy jedzenia".

Przed wyścigiem zawodnicy musieli przejść jeszcze dwa testy, by organizatorzy byli pewni, że poradzą sobie w najbardziej niebezpiecznych sytuacjach. W sprawdzianie brały udział dwie osoby z każdej drużyny. Polacy postawili na Rafała i Krystiana. Pierwszy test dotyczył umiejętności kajakarskich – musieli wywrócić kajak, w którym byli, i z powrotem do niego wsiąść. „Poszło nam bezbłędnie", zapewnia Rafał. Potem organizatorzy sprawdzali umiejętności wspinaczkowe. „Najpierw wspinaliśmy się po linie kilka metrów w górę, a potem trzeba było przejść w poziomie 10 m", opowiada.

ARCHIWUM SPIRIT OF POLAND

ZAWODNICY PRZYZNAJĄ, ŻE DO PATAGONII POJECHALI, BY UKOŃCZYĆ WYŚCIG, A NIE WALCZYĆ O MIEJSCE NA PODIUM

Jedną z zasad wyścigu jest to, że jego uczestnicy poznają trasę 24 godziny przed startem. Tak było i tym razem. Kapitanowie i nawigatorzy z 19 drużyn spotkali się nocą, by poznać plan wyścigu. Każdy team dostał 12 map, na których były zaznaczone fragmenty trasy i limity czasowe, w jakich trzeba było je pokonać. „Byliście podekscytowani, zaskoczeni?", pytamy Rafała. „Nie. Ale tak serio, nie było czasu na jakiekolwiek emocje. Trzeba było szybko opracować plan działania. Rozłożyć jedzenie i wodę, spakować rowery, kajaki. Sprawdzić, gdzie organizator ustalił punkty kontrolne. Poza tym przygotowywaliśmy się do wyścigu od roku, naprawdę byliśmy gotowi na wszystko, więc o zaskoczeniu trudno mówić".

Trasa tegorocznych zawodów w Patagonii miała 612 km długości. Zaczęła się w oddalonym o 300 km od miejsca rejestracji Faro Dungeness nad Cieśniną Magellana. Pierwszym etapem był trekking – trzeba było pokonać na piechotę 34 km plaży. Potem etap rowerowy – 272 km w głąb lądu (otwarta przestrzeń z kiepskim dostępem do wody) – i znowu 72 km trekkingu. Następnie zawodnicy po raz kolejny mieli wsiąść na rowery i przejechać 110 km. „Potem był sześciokilometrowy etap kajakowy, prawie 80-kilometrowy trekking i znowu kajaki, i znowu trekking", wylicza Rafał. Każdy z etapów miał odpowiedni limit czasowy. Np. pierwszy trekking trzeba było pokonać w 11 godzin.

Drużyna Spirit of Poland zrobiła to trzy godziny przed czasem. „Wyruszyliśmy o ósmej rano, na punkcie kontrolnym, czyli na finiszu tego etapu, byliśmy już około godziny 16", wspomina były operator GROM-u. „Byliśmy zadowoleni z tego etapu, naprawdę dobrze nam poszło, chociaż trasa nie była łatwa. Musieliśmy iść kamienistą plażą, wiał silny wiatr i trzeba było uważać, żeby już na samym początku nie nabawić się kontuzji".

RAJD ROWEREM

Zanim wsiedli na rowery, musieli odpowiednio przygotować sprzęt. Mieli kilka minut wytchnienia i po godzinnej przerwie ruszyli dalej w trasę. Nie było źle – mieli dwugodzinny zapas. Ale droga okazała się trudniejsza, niż się spodziewali. „Żeby wyjaśnić, na czym polegała trudność, trzeba zacząć od wiatru. W Polsce skoki spadochronowe odwołuje się, np. gdy wiatr wieje 30–40 km/h, bo jest to zbyt niebezpieczne. Tam porywy osiągały nawet 70–80 km/h", mówi były operator GROM-u. Kamienistą trasę próbowali pokonywać po wąskich ścieżkach wyznaczonych przez jadący tam wcześniej samochód terenowy, ale podmuchy wiatru spychały ich z dość stabilnego szlaku. „Zaliczyliśmy →

wiele przewrotek, bo manewrowanie w nocy było bardzo trudne", przyznają członkowie drużyny.

Etap rowerowy okazał się na tyle wymagający, że drużyna wielokrotnie musiała zsiadać ze swoich jednośladów i je prowadzić. „Ta faza wyścigu była szczególnie trudna dla Agnieszki. Ogromna siła wiatru i trudne podłoże okazały się wielkim wyzwaniem, dlatego czasami musieliśmy stosować technikę holowania, by jej pomóc. Ale to nie był czas na żale, bo drużyna jest całością", tłumaczy mówi Rafał. „W zawodach tego rodzaju jest tak mocna, jak jej najsłabszy zawodnik. A jak widzieliśmy na przykładzie innych ekip, najsłabszym elementem nie zawsze jest kobieta".

Spirit of Poland szybko stracił zapas dwóch godzin. Kolejne cenne minuty zawodnicy przeznaczyli na pomoc członkowi amerykańskiej drużyny. „Chłopak był totalnie odwodniony. Krystian, który jest ratownikiem górskim, oddał mu całą swoją wodę. Po rozmowie z kapitanem tamtej drużyny przekonaliśmy ich, że powinni wezwać pomoc medyczną. Tak też się stało – chłopak został odwieziony do szpitala. Udzielając pomocy, straciliśmy czas, ale to są tylko zawody – człowiek jest najważniejszy", podkreśla Rafał.

Końcówka etapu rowerowego była dużym zaskoczeniem. Drużyna dotarła do miejsca, w którym… kończyła się droga. Mapa nie dawała jasnej odpowiedzi, w którą stronę mają ruszyć dalej, a ponieważ zapadał zmrok, postanowili przeczekać. „Mieliśmy przeczucie, że trzeba przenieść rowery po torfowisku. Ale w takich okolicznościach noc nie jest sprzymierzeńcem. Przyroda zaskakuje tam na każdym kroku, więc żeby się ustrzec niespodzianek, zdecydowaliśmy o postoju", wspominają członkowie drużyny. Następnego dnia wszystko się wyjaśniło: rzeczywiście musieli przenieść rowery. To była jedyna możliwość, by dotrzeć do kolejnego punktu kontrolnego.

Morale drużyny nieco się podniosło. „Wciąż byliśmy w grze", opowiadają. Rozpoczęli 78-kilometrowy trekking. „Nastroje dopisywały nam, dopóki nie zobaczyliśmy, jak trasa wygląda w rzeczywistości", mówi Rafał. Pierwszy odcinek pokonali szybko i bez większych trudności. Później trafili na dolinę, która miała około 9 km długości. Idąc przez podmokły teren, stracili tempo. „Szliśmy cały czas w deszczu, a niekiedy towarzyszyły nam burze", wspominają zawodnicy Spirit of Poland. Pokonywali rozlewiska, gigantyczne kałuże. Podczas wędrówki maszerowali na azymut, nawigowali jedynie za pomocą kompasu i mapy. „Ciągle traciliśmy czas", opisuje Rafał. „Kiedy obeszliśmy jakieś rozlewisko, okazywało się, że trafiamy na kolejne i żeby je przejść, trzeba podejść z zupełnie innej strony".

DRUŻYNA WIELOKROTNIE MUSIAŁA ZSIADAĆ ZE SWOICH JEDNOŚLADÓW I JE PROWADZIĆ

Wybawieniem dla zmęczonych wędrówką zawodników miała być przełęcz, za którą według mapy czekał łatwiejszy grunt. Niestety zaraz po tym, jak wspięli się na wysokość 1000 m, zobaczyli, że będzie jeszcze gorzej. „Kiedy wchodziliśmy na przełęcz, pogorszyła się pogoda", wspomina Rafał. „Z nieba walił deszcz i grad, a wiatr dosłownie nas przesuwał z miejsca. Dostaliśmy nieźle w kość. Wszyscy byliśmy solidnie wymęczeni".

Gdy zeszli w dół, musieli zmierzyć się z podmokłym, gęsto zarośniętym terenem. „Przed nami były pola pełne dwumetrowych krzaków", opowiada kapitan drużyny. „Nie mieliśmy pojęcia, co będzie za chwilę, widoczność sięgała do 5 m. Przypominało to trochę buszowanie po polu wysokiej kukurydzy".

PRZED METĄ

W tym samym czasie kilkanaście kilometrów dalej na ekipę z Polski czekał jej media team: Paweł Pacholski, były żołnierz GROM-u, i Jerzy Ciszewski, specjalista ds. public relations. „Dla nas ten końcowy etap był bardzo niespokojny. Drużyny jedna po drugiej docierały do punktu kontrolnego albo wzywały medyków. A o naszych cisza, zero wieści", wspomina Paweł. „W głowie pojawiło się kilka czarnych scenariuszy, byliśmy pewni, że mają jakąś kontuzję, że coś się musiało stać". Dodatkowo na informacje o swoich bliskich czekali rodzina i przyjaciele członków drużyny. „Te, które dochodziły do nas od organizatorów, były sprzeczne, więc nie chcieliśmy ich podawać dalej. Było naprawdę nerwowo", mówią.

PRZEZ GÓRY, RZEKI I GRZĘZAWISKA

WYŚCIG W CHILE JEST ORGANIZOWANY Z PRZERWAMI OD 2004 ROKU. BIORĄ W NIM UDZIAŁ DRUŻYNY Z CAŁEGO ŚWIATA.

Ze względu na skomplikowaną trasę, morderczy dystans, niecodzienne ukształtowanie terenu i niepewną pogodę sportowcy uznają go za piekielnie trudny. Choć zawody odbywają się latem, to zdarza się, że uczestnicy część trasy pokonują w słońcu, a część w śniegu. Po drodze są góry, lasy, tereny piaszczyste, fiordy, jeziora, rzeki i grzęzawiska. Najkrótsza trasa wynosiła dotychczas ponad 500 km, najdłuższa 1100 km. Część drogi zawodnicy muszą pokonać pieszo, część rowerem, część kajakiem. To, ile kilometrów trzeba będzie biec czy jechać rowerem, zależy od organizatorów wyścigu, to oni określają długość poszczególnych odcinków. Cały czas uczestnicy mogą się posługiwać jedynie kompasem, używanie GPS-u jest zabronione. Można z niego skorzystać tylko w sytuacjach alarmowych, gdy trzeba wezwać pomoc. W innym wypadku jest to równoznaczne z dyskwalifikacją z zawodów. ■

ZWYCIĘZCY

Tegoroczną edycję wyścigu wygrał po raz szósty z rzędu zespół brytyjski. Metę zawodnicy przekroczyli po niecałych sześciu dniach zmagań. 612-kilometrową trasę ukończyły też cztery inne zespoły: japoński, chilijski, z RPA i kanadyjski. Jednym z członków tego ostatniego był Polak.

ARCHIWUM SPIRIT OF POLAND

Gdy drużyna Spirit of Poland została zmuszona do zorganizowania kolejnego noclegu na trasie, wiedziała już, że to koniec wyścigu. Skończył się jej czas i o terminowym dotarciu do mety nie było mowy. „Czy do punktu kontrolnego wracaliście już z większym luzem?”, pytamy Rafała. „Nie. Do końca robiliśmy wszystko najlepiej jak umieliśmy”, zapewnia były żołnierz GROM-u.

„Kiedy w końcu zobaczyliśmy naszą drużynę, zdaliśmy sobie sprawę z ich stanu i kondycji”, wspomina Paweł. „Pokonali 400 km – dodaje – więc byli naprawdę zmęczeni. Mieli podkrążone oczy, nadwerężone ścięgna Achillesa. No i byli porządnie wkurzeni”.

Zawodnicy przyznają, że do Patagonii pojechali, by ukończyć wyścig, a nie walczyć o miejsce na podium. „Wyścigu nie ukończyliśmy z powodu przekroczenia limitu czasowego, a nie dlatego, że ktoś się poddał”, mówi kapitan drużyny i dodaje: „Mieliśmy potencjał, by ukończyć zawody. Zabrakło trochę szczęścia, a my popełniliśmy parę błędów taktycznych. Dla mnie jako organizatora i dla reszty teamu to niezła szkoła, ogromne doświadczenie i czasami lekcja pokory. Mimo wszystko bardzo dziękuję tym, którzy wierzyli w naszą drużynę i od początku trzymali kciuki za eskapadę”.

Po zakończonej rywalizacji przyszedł czas na analizę i wnioski. Kapitan drużyny w przyszłości zamierza np. zmienić zasady prowadzenia treningów. „W tej edycji, z uwagi na nasze zobowiązania zawodowe i miejsce zamieszkania, postawiliśmy na treningi indywidualne. Okazało się, że ta metoda sprawdziła się w 75%. Dlatego w przyszłości na pewno będziemy trenować zespołowo”, mówi Rafał. „Poszukam ludzi, którzy będą mogli poświęcić naprawdę dużo czasu na przygotowanie do wyścigu”.

Kto w przyszłości wyruszy do Patagonii? Tego jeszcze nie wiadomo. „Nie wiem, czy będzie to ta sama ekipa. Wszystko zależy od tego, czy zawodnicy będą dysponować odpowiednimi finansami i czy są gotowi przyjąć naprawdę surowe warunki treningów”, mówi Rafał. I na koniec dodaje, że chciałby wystartować w kolejnej edycji, ale tym razem do Patagonii pojedzie nie po to, by ukończyć wyścig. Pojedzie tam, by zawalczyć o podium. ■

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Spełniona prośba

W Ostrołęce powstaje pierwsze w Polsce muzeum poświęcone żołnierzom wyklętym.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Dowódca 16 Okręgu Narodowego Zjednoczenia Wojskowego Witold Borucki, ps. „Babinicz", wiosną 1949 roku napisał w raporcie: „Ze swojej strony piszę do władz wolnej Polski o pamięć o tych moich żołnierzach, którzy oddali swoje życie i krew za wolną i prawdziwą Polskę". Poległ kilka miesięcy później. Jego prośba doczekała się spełnienia dopiero po ponad 60 latach.

NAZWISKA NA POMNIKU

W Ostrołęce powstaje pierwsze w Polsce muzeum poświęcone żołnierzom wyklętym. Ma ono być nie tylko miejscem ich upamiętnienia, lecz także służyć edukacji. „To nie może być izba pamięci", uważa Arkadiusz Czartoryski, poseł Prawa i Sprawiedliwości i członek rady programowej tej placówki. Janusz Kotowski, prezydent miasta, podkreśla, że to musi być muzeum państwa polskiego, a nie placówka regionalna. „Mówi się czasem, że samorządowcy są od łatania dziur w jezdniach czy chodnikach, ale my w Ostrołęce uważamy, że naszą powinnością jest też kultywowanie pamięci o bohaterach, którzy oddali życie za ojczyznę", mówi. Dlatego w 2008 roku w centrum miasta odsłonięto pomnik Żołnierzy Wyklętych. Historykom udało się odtworzyć losy około 150 partyzantów podziemia antykomunistycznego, którzy pochodzili z ziemi ostrołęckiej, a polegli w walce lub zostali zamordowani przez komunistów w latach 1945–1956. Ich nazwiska znalazły się na monumencie.

TRADYCJE W REGIONIE

Decyzję o utworzeniu Muzeum Żołnierzy Wyklętych podjęła w lutym 2013 roku Rada Miasta Ostrołęki. Na siedzibę wybrano byłe carskie więzienie wybudowane w 1903 roku, gdy miasto znajdowało się pod zaborem rosyjskim. Budynek był wykorzystywany jako areszt śledczy także podczas okupacji niemieckiej. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku przetrzymywano tam m.in. żołnierzy Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Więzienie było w tym obiekcie do końca 2012 roku. Obecnie trwają w nim prace adaptacyjne.

Historycy zajmujący się podziemiem zbrojnym po II wojnie światowej wskazują, że w tym regionie po 1945 roku walczyło około 3,5 tys. partyzantów z Armii Krajowej Obywatelskiej, Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość oraz Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. „To były oddziały liczące kilka tysięcy osób. Kilkaset z nich zginęło w walkach lub zostało zamordowanych przez Urząd Bezpieczeństwa, m.in. dowódca NZW

NA MURACH ARESZTU POWSTAJĄ MURALE, NAWIĄZUJĄCE DO HISTORII ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

Hieronim Rogiński „Róg” czy Mieczysław Dziemieszkiewicz „Rój”. Około 500 żołnierzy AK zostało aresztowanych i w latach 1944–1945 wywiezionych na Wschód. To pokazuje, jaka była postawa społeczności kurpiowskiej w walce o wolność”, mówi dyrektor Muzeum Żołnierzy Wyklętych (w organizacji) Jacek Karczewski. W archiwach Instytutu Pamięci Narodowej zachowały się powojenne raporty funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, którzy pisali, że na Kurpiach słuchają tylko biskupów i „tych z lasu”, o współpracę z partyzantami była podejrzewana co siódma osoba.

RÓŻNE ŚCIEŻKI

W Muzeum Żołnierzy Wyklętych będą ścieżki edukacyjna i martyrologiczna oraz sale pamiątek. Ważnym elementem aranżacji stanie się ekspozycja multimedialna. Na interaktywnych mapach będzie można zobaczyć miejsca, gdzie walczyli żołnierze wyklęci. Zwiedzającym zostaną udostępnione cele aresztu z odtworzonym wyglądem z połowy XX wieku. W innych salach zostaną zgromadzone sprzęty z miejsc przesłuchań. „To będzie pokój przesłuchań”, dyrektor Karczewski wskazuje następne drzwi. „Chcemy zrobić hologramy przesłuchującego i przesłuchiwanego”, dodaje. „A zza tych drzwi będzie dochodził tylko dźwięk z głośników i trzeba będzie sobie wyobrazić, co się za nimi działo. Dźwięki z przesłuchań odtworzą tamtą atmosferę”, mówi Jacek Karczewski, wskazując na kolejne pomieszczenie.

Schodzimy do jednej z piwnic, gdzie panuje półmrok i jest wilgotno. Betonowe ściany i podłoga, brak okien. →

Monety chcemy ofiarować osobom, które wspierają budowę Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce.

Taki widok uruchamia wyobraźnię i sprawia, że po plecach przechodzą ciarki. „Podejrzewamy, że był tu mokry karcer. Prawdopodobnie tu także wykonywano wyroki kary śmierci”, tłumaczy dyrektor. Trwają badania, ile było takich przypadków.

W muzeum przewidziano też tradycyjne gabloty do ekspozycji dokumentów i fotografii, a także elementów umundurowania i uzbrojenia. Nie będzie zakazu dotykania eksponatów, młodzi będą mogli przeładować pistolet czy karabin. „Szukamy eksponatów, zdjęć tych, po których ślad zaginął. Mamy tylko jedno zdjęcie, kpt. Aleksandra Bednarczyka, »Adama«, prezesa obwodu ostrołęckiego WiN, który zginął w grudniu 1946 roku. Udało się nam nawiązać kontakt z rodziną Romualda Korweka, »Orzecha«, który ukrywał się w lasach i ujawnił dopiero w 1961 roku”, opowiada dyrektor. Na zewnątrz zostanie odtworzona leśna kwatera oddziału podziemia niepodległościowego, w tym zrekonstruowane bunkry, ziemianki partyzanckie. Dawne spacerniaki zyskają zadaszenie i powstaną w nich sale audiowizualne.

Na murach okalających kompleks byłego aresztu powstają murale, nawiązujące do historii żołnierzy wyklętych. Ich autorami są ostrołęccy artyści: Radosław Jastrzębski i Mateusz Wróblewski. Będzie 15 malowideł stanowiących cykl „Droga Żołnierzy Wyklętych”. „Odnosząc się do konkretnych wydarzeń z historii Polski, chcemy pokazać dzieje żołnierzy wyklętych, będących kontynuatorami walki o niepodległość i wolność, która rozpoczęła się we wrześniu 1939 roku”, wyjaśnia dyrektor Jacek Karczewski.

Jak tłumaczy dyrektor Karczewski, dzięki współpracy z Instytutem Pamięci Narodowej muzeum będzie pełnić także funkcję centrum naukowego i edukacyjnego, poświęconego historii żołnierzy wyklętych, oddziałów i organizacji nie tylko z regionu ostrołęckiego, lecz także z terenu całej Polski, w tym działających w granicach II Rzeczypospolitej. „Chcemy, aby stało się ono miejscem prac badawczych, realizacji konkretnych projektów historycznych. Będziemy też organizować konferencje, sympozja, przeglądy filmowe, koncerty”, wyjaśnia.

WSPARCIE FINANSOWE

Na utworzenie muzeum potrzeba około 32 mln zł. Termin otwarcia placówki jest uzależniony od pozyskania środków na ten cel. Od początku było wiadomo, że miejski samorząd nie udźwignie takich kosztów. W 2014 roku władze miasta w uchwale budżetowej przeznaczyły na muzeum 2 mln zł. Zadeklarowały też dalsze wsparcie. „Naszą inicjatywę wspierają prywatni sponsorzy”, mówi dyrektor Karczewski. Cegiełki rozprowadza Fundacja „Muzeum Żołnierzy Wyklętych”, która wydaje pamiątkowe numizmaty z ich wizerunkami. W ten sposób zebrano kilkaset tysięcy złotych. Ukazały się już trzy monety, poświęcone Danucie Siedzikównie, ps. „Inka”, płk. Łukaszowi Cieplińskiemu, ps. „Pług”, oraz rotmistrzowi Witoldowi Pileckiemu.

Na początku marca Piotr Gliński oraz Janusz Kotowski podpisali też umowę w sprawie współprowadzenia przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz miasto Ostrołęka Muzeum Żołnierzy Wyklętych. Resort zagwarantuje pieniądze na budowę placówki i rewaloryzację obiektów, a miasto zapewni środki na bieżącą działalność. Są duże szanse, że muzeum zostanie otwarte zgodnie z planem, czyli w 2018 roku, w 100. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. ■

PIOTR ZARZYCKI

Ale to była katorga!

Żołnierze nie tylko chętnie biorą udział w biegach ekstremalnych, lecz także wyznaczają standardy w tej dziedzinie.

Dokładnie pamiętam tę historię", wspomina st. chor. szt. Zbigniew Rosiński, wieloletni prezes Wojskowego Klubu Biegacza Meta. „Byliśmy na zjeździe w Spale. Podczas jednej z wieczornych rozmów koledzy Michał Walczewski i Sławomir Smoliński opowiedzieli przygodę, która spotkała ich na treningu. W upalny dzień, gdy biegli w okolicach rzeki Turawy, postanowili kawałek trasy pokonać, brodząc po dnie. Po 200 m mieli dość, co skwitowali głośnym »chłopy, ale to była katorga!«". Uczestnicy spotkania nie spodziewali się wówczas, że ich rozmowa zainspiruje twórców kultowego dziś Biegu Katorżnika, obowiązkowego punktu w grafiku każdego szanującego się biegacza ekstremalnego.

BIEGANIE TO DZISIAJ JEDEN Z NAJPOPULARNIEJSZYCH SPORTÓW W POLSCE

WKB Meta już wtedy organizował różne zawody. Do utworzenia kolejnych wystarczył impuls. „Po tamtej rozmowie zapaliło się nam światło. Uznaliśmy, że warto spróbować czegoś nowego. Po powrocie do Lublińca rozpoczęliśmy poszukiwania odpowiedniej rzeczki", wspomina Zbigniew Rosiński. Płynąca w okolicy Mała Panew wydawała się dobrym miejscem do wytyczenia trasy, ale zabrakło przestrzeni na zaplecze logistyczne. Ostatecznie akwenem mającym utrudnić życie biegaczom został staw Posmyk. Taśmy wyznaczające trasę rozwinięto w miejscach, których przeciętny człowiek woli unikać. Bagna, trzciny, nierówności i błoto od pierwszej edycji należą bowiem do stałego zestawu rozrywek serwowanych uczestnikom. Nic dziwnego, że organizatorzy nie byli pewni przyjęcia się w środowisku nowej formuły. Zbigniew Rosiński podkreśla: „Do nowych pomysłów zawsze podchodzimy z rezerwą i nie chcemy organizować biegów niedopracowanych. Zastanawialiśmy się, czy pomysł się przyjmie, czy może uznają nas za wariatów wymyślających głupoty". Formuła się przyjęła. W pierwszym Katorżniku wystartowało 50 osób. Po 12 latach na linii startu melduje się 1,5 tys. zawodników, a limit zapisów jest osiągany w kilka minut.

WOJSKOWE POCZĄTKI

Bieganie to dzisiaj jeden z najpopularniejszych sportów w Polsce. Od kilku lat rozwija się w błyskawicznym tempie. Pojawiają się nowe imprezy, a w tych największych i najbardziej uznanych startuje nawet kilkanaście tysięcy uczestników. Są biegi ekstremalne, przeszkodowe, survivalowe – określeń na tego typu wysiłek jest wiele. Wszystkie łączy fakt, że biegacz musi pokonać określoną liczbę kilometrów, ale po drodze czekają na niego przeszkody i zadania. Już teraz wiadomo, że w obecnym sezonie dla ekstremalnych biegaczy przygotowano ponad 80 imprez, które odbędą się w ciągu całego roku.

Nie można jednak zapominać, że kamień węgielny pod rozwój tej dyscypliny położyli żołnierze. „Odkąd pamiętam, w wojsku zawsze odbywały się tego typu biegi. Był tor przeszkód OSF, tor francuski, biegowy test siłowy czy zimowy zamiennik na sali – biegowy test zimowy", wy- →

jaśnia Rafał, były operator GROM-u, który w lutym poprowadził pierwszą polską drużynę w Patagonian Expedition Race, jednym z najtrudniejszych wyścigów świata. „To dobry element szkolenia, pozwalający podnieść kondycję żołnierzy”, dodaje Rafał. Nic zatem dziwnego, że środowisko wojskowe chętnie bierze udział w zawodach ekstremalnych. Można powiedzieć, że otworzyło głowy na nowe pomysły, wyznaczyło standardy i kierunki rozwoju tej dyscypliny sportu.

WYBIERZ, CO CHCESZ

Motywacje zawodników wybierających się na bieg przeszkodowy są najróżniejsze. Jedni chcą przeżyć coś nowego, drudzy czują potrzebę rywalizacji, jeszcze inni lubią skrajny wysiłek. Niezależnie od celu, pewne jest jedno – przy obecnej ofercie każdy znajdzie coś dla siebie. Od biegu trzykilometrowego po trasę liczącą 65 km.

Jednymi z najpopularniejszych i cieszących się dużym prestiżem są biegi współorganizowane przez jednostki specjalne lub objęte ich patronatem. Od 2010 roku Jednostka Wojskowa Formoza współorganizuje Bieg Morskiego Komandosa, poświęcony pamięci gen. broni Włodzimierza Potasińskiego. Rywalizacja odbywa się na kilku dystansach, z których najbardziej wymagający mieści się w kategorii „hard” – obejmuje 21 km w ciężkim terenie z przeszkodami, dodatkowo w wysokim obuwiu i pełnym umundurowaniu oraz z wyposażeniem w postaci karabinka ćwiczebnego i pięciokilogramowego plecaka. W obecnym sezonie morscy komandosi zaangażowali się także w organizację nowych zawodów – Formoza Challenge. „W ubiegłym roku wraz z KRS Formoza zorganizowaliśmy ultratriathlon z Helu na Rysy, w którym wzięło udział sześciu komandosów reprezentujących poszczególne jednostki specjalne. Wówczas nawiązaliśmy kontakt z żołnierzami Formozy, którzy wyrazili chęć zorganizowania wyjątkowej imprezy”, tłumaczy Aleksander Rosa, rzecznik prasowy biegu. „W tym czasie zgłosili się do nas również przedstawiciele miasta Oborniki, którzy dysponują jednym z największych w Europie torem motocrossowym. Połączyliśmy te wszystkie idee i tak powstał Formoza Challenge”. Przeszkody podczas zawodów będą inspirowane doświadczeniami komandosów. Wybór jednej z nich należy do internautów, którzy najpierw mieli możliwość zgłoszenia swojego projektu, następnie wybrania najciekawszego pomysłu.

Swoje zawody organizują również żołnierze zrzeszeni w GROM Group. Byli komandosi wraz z fundacją „Niezapomniani” przeprowadzają GROM Challenge. „Pomysł zrodził się z chęci uczczenia pamięci gen. bryg. Sławomira Petelickiego, który często używał sformułowania »siła i honor«, dlatego główna edycja zawodów ma takie rozwinięcie nazwy”, tłumaczy mjr rez. Tomasz Kowalczyk, prezes GROM Group. „Dodatkowo chcieliśmy zachęcić młodzież do sprawdzenia się w zawodach, w których zadania są wzorowane na tych czekających kandydatów podczas prawdziwej selekcji do jednostki. Z ciekawością obserwujemy ich zachowania pod wpływem zmęczenia i stresu, zdolność logicznego myślenia, kojarzenia faktów, zapamiętywania, wyciągania wniosków i kreatywność”. Z tego m.in. powodu każda edycja to inne zadania, choć zawsze jedno z nich rozgrywa się na strzelnicy.

Główna edycja zawodów – „Siła i Honor” – odbędzie się jesienią, po raz czwarty w Czerwonym Borze, na poligonie do niedawna używanym przez gromowców. Wystartuje w niej 150 dwuosobowych zespołów, na które czeka trasa licząca 25 km, ujawniona dopiero podczas odprawy technicznej przed startem. Wiosną z kolei organizatorzy przygotują premierowe wydanie GROM Challenge „Niezapomniani 1920”, czyli mniej wymagającą, krótszą formułę. Miejsce imprezy również jest nieprzypadkowe, bo bieg odbędzie się w Ossowie, kojarzonym z walkami polskich wojsk z bolszewikami w 1920 roku.

Swoim półmaratonem może pochwalić się również JW Agat. Master’s Killer to ekstremalny cross odbywający się w okolicy byłej kopalni piasku „Kotlarnia” niedaleko Gliwic. Jednostka jest współorganizatorem zawodów, które w tym roku uczczą pięciolecie Agatu. Mundurowi będą klasyfikowani osobno, a ratownicy jednostki zabezpieczą trasę pod kątem medycznym. To już trzecia edycja „zabójcy mistrzów”.

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI, JACEK SZUSTAKOWSKI (2)

ORGANIZATORZY BIEGÓW EKSTREMALNYCH starają się zaproponować zawodnikom coś nowego, żeby wyróżnić się na tle pozostałych imprez.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

St. chor. sztab. Zbigniew Rosiński: „Do nowych pomysłów zawsze podchodzimy z rezerwą i nie chcemy organizować biegów niedopracowanych".

Żołnierze JW Nil zorganizowali już cztery edycje marszu „Śladami generała Nila – od zmierzchu do świtu". Formuła zawodów przygotowanych przez krakowskich komandosów zakłada pokonanie kilkudziesięciu kilometrów nocą. Marsz odbywa się przy okazji święta jednostki, a jego trasa wiedzie przez miejsca związane z działalnością organizacji Kedyw, kierowanej przez gen. bryg. Augusta Emila Fieldorfa, patrona jednostki.

WIELKI SZLEM

Jednostka Wojskowa Komandosów z Lublińca jest stałym partnerem WKB Meta i uczestniczy w wielu jego przedsięwzięciach. Oprócz wspomnianego już Katorżnika, angażuje się w inne zawody organizowane przez klub. W obecnym sezonie odbędzie się 20. Bieg o Nóż Komandosa. „Wówczas nie było wielu biegów w kraju, a my chcieliśmy dać ludziom coś od siebie", wspomina chor. Rosiński. Pierwsza edycja przyciągnęła 54 biegaczy, co dziś nie robi wrażenia, jednak taka frekwencja dorównywała ówczesnym biegom z wieloletnimi tradycjami.

Po kilku kolejnych latach, w 2004 roku nadszedł czas na Maraton Komandosa. Królewski dystans do pokonania w mundurze, z plecakiem ważącym co najmniej 10 kg. To nie mogło się nie udać. Po sukcesie już istniejących zawodów biegacze czekali na ekstremalne wyzwanie, które nie będzie następnym, przeciętnym maratonem. Jak się okazało, im cięższe zadanie postawiło się przed nimi, tym bardziej byli zadowoleni na mecie. Dziś Maraton Komandosa razem z Biegiem o Nóż Komandosa i Biegiem Katorżnika tworzą Wielki Lubliniecki Szlem Biegowy. Inna prestiżowa łączna klasyfikacja prowadzona przez WKB Meta to zsumowane czasy uzyskane podczas maratonu, półmaratonu i ćwiartki, czyli dwóch biegów na krótszych dystansach zorganizowanych na zasadach Maratonu Komandosa.

WYRÓŻNIĆ SIĘ W TŁUMIE

Organizatorzy biegów ekstremalnych starają się zaproponować zawodnikom coś nowego, żeby wyróżnić się na tle pozostałych imprez. Także trofeum odbierane na mecie jest magnesem przyciągającym nowych uczestników. →

DZIĘKI OBECNEJ OFERCIE IMPREZ KAŻDY ZNAJDZIE COŚ DLA SIEBIE. OD BIEGU TRZYKILOMETROWEGO PO TRASĘ LICZĄCĄ 65 KM

W Katorżniku jest to podkowa – obecnie odlewana na zamówienie, w pierwszej edycji była najzwyklejszą końską podkową. Ciekawe wyróżnienie dostają także biegacze kończący Pogrom Wichra. „Pierwsze »Pogromki« robiłem własnoręcznie z tłuczka do ziemniaków i gwoździ. Mogłem sobie na to pozwolić, ponieważ limit miejsc wynosił 50 zawodników", mówi mł. chor. rez. Sławomir Wiatr, były żołnierz wojsk specjalnych. Z pewnością jest to wyjątkowe trofeum w kolekcjach uczestników pierwszego Pogromu. 20 sierpnia odbędzie się szósta edycja oleśnickiego biegu błotnego, rozgrywanego w hołdzie specjalsom, ale mimo swojej sławy wciąż pozostaje dostępny dla wąskiego grona śmiałków. „Utrzymuję limit 150 miejsc i na tym poziomie chcę pozostać. To trochę tak, jak z wojskami specjalnymi – liczba żołnierzy jest ograniczona i ja też chcę robić lokalną, kameralną imprezę", wyjaśnia pomysłodawca i główny organizator Pogromu.

Na budowę szczególnej marki stawiają także organizatorzy Biegu Tygrysa. Tym razem chodzi jednak o miano najtrudniejszego biegu w Polsce. W najbliższej edycji pojawią się nowe konkurencje. Do już znanych Małej (30 km) i Dużej Beczki (30 km w parach, z przeszkodami) dołączy Maraton Tygrysa oraz Sandokan. W trakcie pierwszej z nich trzeba pokonać 45 km z przeszkodami, druga zaś to już zadanie dla 30 wyjątkowych twardzieli – czeka ich 65 km i ponad 200 przeszkód. „Sandokan to formuła inna niż typowy bieg. Uczestnicy ruszają w grupie, którą zabezpieczają pojazdy i pomoc medyczna. Tempo narzuci prowadzący samochód, a osoby nienadążające są automatycznie dyskwalifikowane. Na całej trasie będą dostawać polecenia do wykonania. Część z nich to zadania grupowe, więc indywidualiści nie mają szans", uchyla rąbka tajemnicy Łukasz Grzella, przedstawiciel Polskiego Systemu Walki Wręcz Haller, współorganizatora Biegu Tygrysa, główny sędzia zawodów. Zawodnicy pokonają poligon w Orzyszu z dodatkowym wyposażeniem. „Chcemy iść w kierunku najtrudniejszych biegów. Nie celujemy w biegi na krótkich dystansach, które na pewno podniosłyby frekwencję. Wystartujemy też z kategorią przeznaczoną dla saperów, wymagającą pełnego kombinezonu EOD", dodaje Grzella.

Warto przypomnieć też o kolejnej edycji Kaszubskiego Kapra, imprezy organizowanej przez mjr. rez. Arkadiusza Kupsa. 25-kilometrowa trasa wyróżnia się konkretnym odcinkiem wymagającym samodzielnej nawigacji w terenie lesistym. Ponadto część dystansu trzeba pokonać kajakiem.

NIE TYLKO W MUNDURZE

Popularność biegów przeszkodowych wyszła poza koszary. Nie może więc dziwić sukces cyklu Runmageddon, który przyciąga największą rzeszę fanów ekstremalnego ścigania. Sukces ten jest dodatkowo poparty doświadczeniem organizatorów. „Byłem dyrektorem sportowym w Maratonie Warszawskim, a wraz z bratem organizowałem Bieg Rzeźnika, który prowadziłem przez pierwsze dziewięć lat. Wiedziałem zatem, jak się to robi, a dodatkowo zauważyłem popularność takich zawodów, zwłaszcza w USA. Sam również wziąłem w nich udział i pomyślałem, że nie tylko mi się to spodoba", wspomina początki Runmageddonu jego założyciel i prezes Jaro Bieniecki. W trzecim sezonie cyklu wraz ze współpracownikami zorganizują 20 eventów, w tym debiutancką formułę Ultra (44 km) oraz pierwsze zawody poza granicami Polski. Szybko zaczęły pojawiać się kolejne podobne imprezy. „Nie ścigam się z konkurencją w Polsce, lecz chcę robić najlepsze biegi przeszkodowe na świecie. Wiadomo, że z niektórymi nie da się rywalizować na liczbę uczestników czy efekty finansowe, ale mogę powalczyć, jeśli chodzi o jakość trasy, atrakcyjność lokalizacji czy ogółem całego wydarzenia. I w tym chcę być najlepszy", podsumowuje ambitne plany Bieniecki.

Niezwykła popularność takich imprez wywołała także obawy o utratę ich elitarności. Wszelkie wątpliwości rozwiewa mjr rez. Tomasz Kowalczyk. „Powinniśmy się cieszyć, że tak dużo osób uczestniczy w tego typu rywalizacji. Nie możemy też porównywać imprez komercyjnych z biegami – nazwijmy to – militarnymi, które są bardziej wymagające dla zawodników i zawsze będą pokazywały ten sport z trochę innej strony". ■

Ekshumacja po latach

Specjaliści z Instytutu Pamięci Narodowej znaleźli na dawnym lotnisku wojskowym w Starym Grodkowie szczątki żołnierzy podziemia z oddziału Narodowych Sił Zbrojnych kpt. Henryka Flamego „Bartka". We wrześniu 1946 roku prawie 200 partyzantów zostało wymordowanych przez UB na Opolszczyźnie. Historycy IPN-u wytypowali trzy miejsca, gdzie należy szukać szczątków: w pobliżu Łambinowic, miejscowości Barut pod Strzelcami Opolskimi oraz Starego Grodkowa. W pracach pod kierunkiem dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka, naczelnika Samodzielnego Wydziału Poszukiwań IPN, uczestniczą naukowcy z Muzeum Archeologicznego we Wrocławiu oraz 17 saperów z 1 Pułku Saperów. AD ■

Pocisk z siatką

Angielscy inżynierowie stworzyli wyrzutnię rakietową przeciw dronom, które mogą być wykorzystywane np. przez terrorystów. Naramienna broń SkyWall 100 działa na sprężone powietrze i wystrzeliwuje pocisk z siatką, w którą chwyta drony. Wyrzutnia ma zasięg do 100 m i została wyposażona w inteligentny system celowania uwzględniający trajektorię lotu drona. Ma być dostępna w sprzedaży od listopada. AD ■

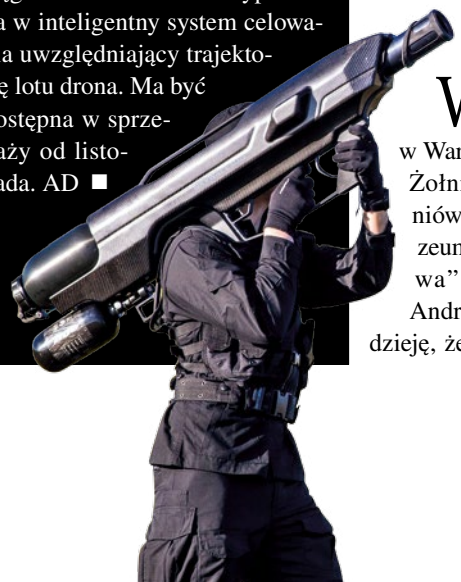

1831 BITWA POD IGANIAMI

GEORG BENEDIKT WUNDER

Powstańcza mogiła

Archeologowie poszukają grobów z czasu powstania listopadowego.

Domniemane miejsce, gdzie po zwycięskiej bitwie pod Iganiami z okresu powstania listopadowego pochowano polskich żołnierzy, otrzymało kartę zabytku nieruchomego. Dzięki temu jest chronione prawem i czeka na badania archeologiczne. Jak podaje portal Podlasie24, teren mogiły znajduje się na gruntach prywatnych i aby wykonać badania sondażowe, należy uzyskać pozwolenie właściciela.

10 kwietnia 1831 roku wojska polskie pod dowództwem gen. Ignacego Prądzyńskiego starły się z armią rosyjską gen. Grigorija Rosena. Po stronie rosyjskiej było 5 tys. zabitych i rannych, po polskiej zginęło około 400 żołnierzy. Poległych pochowano na wzniesieniu w Iganiach Nowych. Na mogile w czasie zaborów wzniesiono krzyż, a w 1931 roku wybudowano nieopodal pomnik, który stoi do dzisiaj. AD ■

Edukacja patriotyczna

Muzeum żołnierzy wyklętych powstanie w warszawskim więzieniu.

Wareszcie śledczym przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie powstanie Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL. „Muzeum to sprawiedliwość dziejowa", stwierdził prezydent Andrzej Duda. Wyraził też nadzieję, że będzie to drugie po Muzeum Powstania Warszawskiego miejsce edukacji patriotycznej następnych pokoleń. W więzieniu na Rakowieckiej po II wojnie światowej przetrzymywano i zabijano bohaterów antykomunistycznego podziemia. Wykonano tu wyroki śmierci m.in. na gen. Auguście Fieldorfie „Nilu" i rtm. Witoldzie Pileckim. AD ■

ANNA DĄBROWSKA

Dwa groby sierżanta

Rekonstruktorzy odkryli tajemnice grobu podoficera z 10 Pułku Piechoty.

Miejsce pochówku sierżanta na cmentarzu w Palmirach

Nocą 6 marca 1941 roku na ulicach Łowicza zaroiło się od gestapowców i niemieckiej policji. Okupanci obstawili wybrane domy i zaczęły się aresztowania według wcześniej przygotowanej listy. Obejmowała ona miejscową inteligencję oraz działaczy podziemnych struktur konspiracyjnych. Aresztowano ponad 150 osób. Wśród nich było wielu członków Polskiej Organizacji Zbrojnej, której trzon stanowili oficerowie i podoficerowie stacjonującego przed wojną w Łowiczu 10 Pułku Piechoty.

ŁOWICKI PUŁK

Powstał on w listopadzie 1918 roku w Cieszynie z austro-węgierskiego 31 Pułku Strzelców. Formacja walczyła z Czechami o Zaolzie, z Ukraińcami o Lwów, a podczas wojny polsko-sowieckiej uczestniczyła w bitwach nad Berezyną, Wisłą i Niemnem. Od sierpnia 1921 roku 10 Pułk stacjonował w Łowiczu.

W chwili wybuchu II wojny światowej oddział wchodził w skład skierniewickiej 26 Dywizji Piechoty. Pierwsze walki żołnierze stoczyli w bitwie nad Bzurą, a od 14 do 16 września walczyli o Łowicz. Potem pod dowództwem płk. Mariana Krudowskiego próbowali się przedostać do Warszawy, ale zostali okrążeni przez niemieckie czołgi. Żołnierze zdążyli jeszcze ukryć w lesie sztandar pułku, który odnaleziony po 20 latach trafił do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

18 września 10 Pułk podjął próbę sforsowania Bzury, ale akcja się nie powiodła i następnej nocy resztki oddziału zostały rozbite w rejonie Giżyc. Około 100-osobowej grupie żołnierzy udało się uciec z okrążenia. Wrócili w rodzinne strony i już w październiku założyli w Łowiczu konspiracyjną Polską Organizację Zbrojną pod dowództwem kpt. Bolesława Pałczyńskiego „Bolka".

W 1940 roku POZ połączyła się z Chłopską Organizacją Wolności „Racławice", Wojskową Organizacją Wolności „Znak", częścią Związku Czynu Zbrojnego oraz Polską Organizacją Bojową. Działała wówczas w Warszawie, Łodzi, na Mazowszu, Lubelszczyźnie, Białostocczyźnie i w Małopolsce. W sierpniu 1942 roku, w momencie scalania z Armią Krajową, POZ liczyła ponad 20 tys. członków.

NOCNA OBŁAWA

Wielu z działających w organizacji i aresztowanych przez Niemców żołnierzy pułku zginęło. Jednym z nich był 43-letni st. sierż. Antoni Opalski. „W 1935 roku dostał przydział do pułku jako szef plutonu pionierów, a dwa lata później pełnił funkcję podoficera sprzętowego", podaje Piotr Marciniak, prezes Stowarzyszenia Historycznego im. 10 Pułku Piechoty.

Członkowie tej grupy rekonstrukcyjnej wielokrotnie odwiedzali rodzinny grób sierżanta na cmentarzu kate-

Grób rodziny Opalskich na cmentarzu katedralnym w Łowiczu

ARCHIWUM STOWARZYSZENIA HISTORYCZNEGO IM. 10 PUŁKU PIECHOTY

dralnym w Łowiczu, oddając hołd podoficerowi. Jednak jesienią 2015 roku sytuacja się skomplikowała.

Podczas rajdu historycznego na trasie Palmiry – Łomianki członkowie stowarzyszenia odkryli drugie miejsce pochówku sierż. Opalskiego – na cmentarzu w Palmirach. „Postanowiliśmy wtedy ustalić, gdzie tak naprawdę jest pochowany podoficer", mówią.

Zagadkę pomógł rozwikłać Adrian Polak, jeden z członków grupy. Okazało się, że jego babcia mieszka na jednej ulicy z młodszą córką sierż. Opalskiego, 80-letnią dziś Wandą Kowalczyk. Rekonstruktorzy odwiedzili ją, by poznać losy sierż. Opalskiego.

„Ze wspomnień mamy i troszkę ze swoich wiem, że Niemcy przyszli nocą. Miałam wtedy sześć lat. Było zimno, luty lub marzec 1941 roku. Przeszukali cały dom, chyba chodziło im o broń. Zabrali ojca w tym co miał na sobie. Wiedzieli, po kogo idą. Mieli listę osób do aresztowania", opowiadała Wanda Kowalczyk.

Tej nocy Niemcy zabrali także szwagra sierżanta, plut. Bronisława Drzewieckiego, instruktora broni przeciwpancernej w pułku. „Tatę i wujka umieszczono w więzieniu przy ulicy Kurkowej. Mama planowała przekupić strażników i prawie się udało". Zanim jednak doszło do wymiany, sierż. Opalski został wywieziony z Łowicza i słuch o nim zaginął.

O losie ojca i męża dowiedziały się dopiero po wojnie. W 1946 roku Polski Czerwony Krzyż zawiadomił, że sierż. Antoni Opalski został rozstrzelany przez Niemców 1 kwietnia 1941 roku, a jego zwłoki ekshumowano 15 kwietnia 1946 roku. Zabito go w Palmirach w Kampinoskim Parku Narodowym, w miejscu, gdzie okupanci niemieccy masowo mordowali więźniów politycznych przywożonych z Warszawy.

Między grudniem 1939 roku a lipcem 1941 roku funkcjonariusze SS i policji niemieckiej rozstrzelali tam 1793 osoby. Wiele z nich zginęło podczas specjalnej akcji mającej na celu eksterminację polskiej elity politycznej, intelektualnej i kulturalnej – tzw. Akcji AB. Byli wśród nich urzędnicy, prawnicy, artyści, duchowni, nauczyciele, naukowcy, lekarze i wojskowi.

Część aresztowanych w marcu 1941 roku w Łowiczu mężczyzn przewieziono do więzienia w stołecznym Pawiaku. 1 kwietnia 1941 roku rozstrzelano 20 z nich. Zginął wówczas Adolf Kutkowski, wiceburmistrz miasta, zabito też kilku oficerów i podoficerów 10 Pułku Piechoty. Jak wyliczają rekonstruktorzy, oprócz sierż. Opalskiego Niemcy zabili także por. Mariana Kłębowskiego – kapelmistrza orkiestry pułkowej, por. Alfreda Subocza – dowódcę plutonu pionierów, plut. Drzewieckiego, sierż. Jana Skarulisa – podoficera taborowego z kompanii gospodarczej oraz chor. Zygmunta Łyczkowskiego.

CMENTARZ-MAUZOLEUM

Po wojnie PCK rozpoczęło w Palmirach prace ekshumacyjne i na jego wezwanie Antonina Opalska, żona sierżanta, pojechała zidentyfikować ciało męża. „Znajdowały się przy nim prywatne przedmioty, m.in. małe lusterko, ściereczka, mały ołówek, którym miał pisać listy. Ciało nie było na tyle rozłożone, by nie rozpoznała taty. Ojciec miał też złoty ząb, po którym dokonała identyfikacji", relacjonowała po latach pani Wanda. Przedstawiciele PCK nie zgodzili się jednak na przewiezienie szczątków do Łowicza.

Dlatego podczas identyfikacji męża pani Antonina włożyła do metalowej puszki strzępy jego ubrań oraz garść ziemi z Palmir i tę puszkę złożono potem w rodzinnym grobie w Łowiczu.

„Ciało sierżanta zostało pochowane w Palmirach na utworzonym w 1948 roku Cmentarzu-Mauzoleum Martyrologii i Męczeństwa Narodu Polskiego w grobie oznaczonym numerem XV", informuje Piotr Marciniak.

Na tej nekropolii spoczywają nie tylko szczątki zamordowanych tam osób, ale także ofiary niemieckiego terroru odnalezione w innych miejscach straceń w okolicach Warszawy. W sumie, według różnych danych, w Palmirach leży od 2115 do 2252 zamordowanych. ■

Rodzinie i Bliskim
śp. płk. Andrzeja Brzozy
wyrazy szczerego współczucia
składają żołnierze i pracownicy
PNPW przy SHAPE.

Pani Ewie Dominikowskiej
i Panu płk. Tomaszowi Dominikowskiemu
najszczersze kondolencje
oraz wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Mamy i Teściowej
składają żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej 10 Warszawskiego
Pułku Samochodowego.

Z głębokim żalem i smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci
płk. w st. spocz. Andrzeja Brzozy,
wieloletniego zasłużonego żołnierza
Wojsk Łączności i Informatyki,
szefa Zarządu Planowania Systemów
Dowodzenia i Łączności – P6
w latach 2007–2009.
Wyrazy współczucia i kondolencje
Żonie, Rodzinie i Bliskim Zmarłego
składają szef, kadra i pracownicy
Zarządu Kierowania i Dowodzenia – P6
Sztabu Generalnego WP.

Pani Beacie Czekaj-Wiśniewskiej,
zastępcy dyrektora Centralnej Biblioteki
Wojskowej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego,
wyrazy głębokiego współczucia i słowa otuchy
z powodu śmierci
Męża
składają dyrekcja i pracownicy
Centralnej Biblioteki Wojskowej.

Panu st. kpr. Wojciechowi Wójcikowi
oraz Jego Rodzinie
wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Ojca
składają komendant, żołnierze
oraz pracownicy wojskowej straży pożarnej
JW 1230 Warszawa-Wesoła.

Z wielkim smutkiem i żalem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci
pułkownika Andrzeja Brzozy,
byłego szefa Zarządu Planowania Systemów
Dowodzenia i Łączności – P6
Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.
Cześć Jego Pamięci!
Rodzinie i Bliskim
składamy wyrazy głębokiego współczucia.
Szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego
generał Mieczysław Gocuł
oraz żołnierze i pracownicy SGWP

Panu st. chor. sztab. Albertowi Drewinowi
wyrazy szczerego współczucia z powodu śmierci
Ojca
składają komendant, żołnierze oraz pracownicy
Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki
w Zegrzu.

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci naszego kolegi
ppłk. Tomasza Michalskiego.
Wyrazy głębokiego współczucia
oraz słowa wsparcia w trudnych chwilach
Rodzinie i Najbliższym
składają szef, żołnierze oraz pracownicy
Zarządu Wojsk Radiotechnicznych ISP DGRSZ.

Żonie oraz Najbliższej Rodzinie
wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci
płk. Andrzeja Brzozy,
byłego szefa Zarządu Planowania Systemów
Dowodzenia i Łączności – P6
Sztabu Generalnego WP,
składają komendant, żołnierze i pracownicy
Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki
w Zegrzu.

Pani Bożenie Czajkowskiej oraz Jej Rodzinie
wyrazy najszczerszego współczucia
i żalu z powodu śmierci
Ojca
składają dyrektor, żołnierze i pracownicy
Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia.

Panu ppłk. Jarosławowi Kłosowi
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci
Ojca
składają komendant, żołnierze i pracownicy
Centrum Szkolenia Logistyki.

Z głębokim żalem i smutkiem oraz w poczuciu
niepowetowanej straty
przyjąłem wiadomość o śmierci
ppłk. Tomasza Michalskiego,
dowódcy 34 Chojnickiego Batalionu
Radiotechnicznego.
W obliczu tak ogromnej straty,
Szanownej Małżonce, Synowi,
Rodzinie i Najbliższym Pana Pułkownika
oraz wszystkim żołnierzom i pracownikom
34 Chojnickiego Batalionu Radiotechnicznego
składam wyrazy głębokiego żalu
i szczerego współczucia.
Dowódca 3 Brygady Radiotechnicznej
gen. bryg. Wojciech Lewicki
wraz z żołnierzami i pracownikami
Dowództwa 3 BRt

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość
o nagłej śmierci
śp. ppłk. Tomasza Michalskiego,
dowódcy 34 Chojnickiego Batalionu
Radiotechnicznego.
Rodzinie, Najbliższym oraz wszystkim żołnierzom
i pracownikom Zmarłego
wyrazy współczucia składają
dowódca ppłk Sebastian Kowalczuk
oraz żołnierze i pracownicy
31 Batalionu Radiotechnicznego.

Pani mł. chor. Dorocie Bembenek
wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci
Ojca
składają żołnierze i pracownicy wojska
Oddziału Żandarmerii Wojskowej w Szczecinie.

19 lutego 2016 roku w trakcie wykonywania
obowiązków służbowych zmarł
ppłk Tomasz Michalski,
dowódca 34 Chojnickiego Batalionu
Radiotechnicznego.
Z Małżonką, Synem
oraz wszystkimi Najbliższymi Pana Pułkownika
łączymy się w żalu i bólu.
Zastępca dowódcy batalionu – szef sztabu
mjr Andrzej Lubczyński
wraz z żołnierzami i pracownikami
34 Chojnickiego Batalionu Radiotechnicznego

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
naszego Kolegi,
komandora Jerzego Dębińskiego,
byłego pracownika naszej Spółki, a wcześniej
Departamentu Polityki Zbrojeniowej MON.
Komandor Jerzy Dębiński jako oficer w DPZ MON
przez wiele lat współpracował z Przemysłowym
Instytutem Telekomunikacji i CNPEP Radwar SA,
nadzorując liczne projekty badawczo-rozwojowe
oraz wdrożeniowe realizowane na rzecz Marynarki
Wojennej RP. Swoją pracą i zaangażowaniem
przyczynił się do opracowania i wprowadzenia
do sił zbrojnych takich urządzeń i systemów,
jak radar samolotowy ARS-400, system
rozpoznania morskiego SRM-800, uniwersalny
kontener rozpoznania elektronicznego Srokosz,
radar mobilny RM-100 oraz cichy radar morski
CRM-200.
Komandor Jerzy Dębiński jako Kolega
i Współpracownik zawsze w pracy chętnie dzielił
się swoją wiedzą i doświadczeniem.
Wyrażając wdzięczność za lata współpracy,
łączymy się w bólu
z Rodziną Zmarłego.
Żegnamy Go z głębokim żalem.
Cześć Jego pamięci!
Zarząd oraz pracownicy PIT-Radwar SA

Pani Wandzie Patejuk
wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci
Matki
składa szef Oddziału Zabezpieczenia
Żandarmerii Wojskowej.

Pani Wandzie Patejuk
wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci
Matki
składają koledzy i koleżanki z Oddziału
Zabezpieczenia Żandarmerii Wojskowej.

Pani Beacie Kudła oraz Jej Rodzinie
wyrazy najszczerszego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Ojca
składają dyrektor, żołnierze i pracownicy
Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia.

„Można odejść na zawsze, by stale być blisko".
ks. J. Twardowski

Pani Marioli Radziejewskiej,
Córce Aleksandrze i Synowi Maciejowi
wyrazy szczerego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Męża i Taty
składa Paweł Soloch, szef Biura Bezpieczeństwa
Narodowego, wraz z kierownictwem
i pracownikami Biura.

Podpułkownikowi Andrzejowi Kuleszy
najszczersze wyrazy współczucia
z powodu śmierci
Ojca
składają koleżanki i koledzy z Dyżurnej Służby
Operacyjnej Dowództwa Operacyjnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu mjr. Arturowi Wróblakowi
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci
Matki Marii
składają dowódca, dowództwo, kadra
oraz pracownicy wojska 22 Ośrodka Dowodzenia
i Naprowadzania w Bydgoszczy.

Panu mjr. Piotrowi Kałużnemu
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci
Mamy
składają dowódca, kadra oraz pracownicy wojska
1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych
w Inowrocławiu.

Pani Patrycji Jasieńskiej
wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczersze kondolencje
z powodu śmierci
Taty
składają szef WSzW oraz kadra i pracownicy
wojska Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego
w Warszawie.

Pani dr hab. Karolinie Julii Helnarskiej
szczere wyrazy współczucia z powodu śmierci
Siostry
składają współpracownicy
z Instytutu Stosunków Międzynarodowych
Akademii Obrony Narodowej.

Panu mjr. Piotrowi Kałużnemu
oraz Jego Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia i szczere
kondolencje z powodu śmierci
Mamy
składają koledzy i koleżanki z Pionu Ochrony
Informacji Niejawnych Dowództwa 1 Brygady
Lotnictwa Wojsk Lądowych w Inowrocławiu.

Pani Wioletcie Borowiec
wyrazy szczerego żalu, głębokiego współczucia
i słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu tragicznej śmierci
Męża
składają żołnierze i pracownicy resortu obrony
narodowej 3 Regionalnej Bazy Logistycznej
w Krakowie.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przesyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi". Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213, 261 845 230, 261 840 227

Panu ppłk. Karolowi Langa
oraz Jego Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczere kondolencje z powodu śmierci
Matki
składa szef Szefostwa Planowania Logistycznego
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych wraz
z żołnierzami i pracownikami.

Panu ppłk. mgr. farm. Radosławowi Nowakowi
szczere wyrazy żalu i współczucia
z powodu śmierci
Teścia
składają komendant, kadra zawodowa
i pracownicy
5 Wojskowego Szpitala Klinicznego z Polikliniką
w Krakowie.

Panu mjr. rez. Mirosławowi Michalukowi
oraz Jego Rodzinie
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci
Mamy
składają koleżanki i koledzy
z Sekcji Wychowawczej i Klubu
4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego.

Panu mgr. Zbigniewowi Michalukowi
oraz Jego Najbliższym
szczere wyrazy żalu i współczucia
z powodu śmierci
Babci
składają koleżanki i koledzy
z Sekcji Wychowawczej i Klubu
4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego.

Panu ppłk. Radosławowi Żaworonkowi,
szefowi Wydziału Ogólnowojskowego
Inspektoratu Szkolenia DGRSZ,
wyrazy szczerego i głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Ojca
składają inspektor szkolenia
gen. bryg. Andrzej Danielewski wraz
z żołnierzami i pracownikami wojska Inspektoratu
Szkolenia Dowództwa Generalnego RSZ.

Z głębokim żalem i bólem
przyjęliśmy wiadomość o nagłej śmierci
ppłk. Tomasza Michalskiego,
dowódcy 34 Batalionu Radiotechnicznego.
Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
całej Rodzinie
składają dowódca, kadra i pracownicy wojska
2 Rejonu Wsparcia Teleinformatycznego
Sił Powietrznych.

W obliczu ogromnej straty, jaką jest nagła śmierć
ppłk. Tomasza Michalskiego,
dowódcy 34 Chojnickiego Batalionu
Radiotechnicznego,
słowa wsparcia w tych trudnych chwilach i wyrazy
najgłębszego współczucia
Rodzinie i Najbliższym
składa komendant Centralnego Poligonu
Sił Powietrznych w Ustce
płk mgr inż. Bogusław Atalski wraz z kadrą
i pracownikami resortu obrony narodowej.

Pani Ilonie Królak
oraz Synom
wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczersze kondolencje
z powodu śmierci
ppłk. Romana Królaka
składają żołnierze zawodowi i pracownicy wojska
Zarządu Planowania Użycia Sił Zbrojnych
i Szkolenia – P3/P7
Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

W bolesnych dniach po śmierci
Ojca
Panu Konradowi Szymankowi
szczere wyrazy współczucia składają dyrekcja,
żołnierze i pracownicy wojska
Biura Ewidencji Osobowej WP.

Głębokie wyrazy współczucia
z powodu śmierci
Ojca
Panu ppłk. Jerzemu Olewniczakowi
oraz Rodzinie
składają polscy żołnierze i pracownicy wojska
z SHAPE.

Panu kadm. Marianowi Ambroziakowi,
inspektorowi marynarki wojennej Dowództwa Generalnego RSZ,
wyrazy współczucia i szczere kondolencje
z powodu śmierci
Teściowej
składają inspektor, kadra i pracownicy
Inspektoratu Rodzajów Wojsk.

Pani Dorocie Tomaszewskiej
oraz Jej Rodzinie
wyrazy współczucia i żalu z powodu śmierci
Taty
składają komenda, żołnierze i pracownicy wojska
6 Wojskowego Oddziału Gospodarczego w Ustce.

Łącząc się w bólu z koleżanką
Lidią Muszyńską
z powodu śmierci
Ojca
chor. Jana Lewkowicza
kondolencje i wyrazy głębokiego współczucia
składają wojskowy komendant uzupełnień
oraz żołnierze i pracownicy Wojskowej Komendy
Uzupełnień w Łodzi.

Pani płk Renacie Smagale
oraz Jej Rodzinie i Bliskim
wyrazy współczucia
oraz szczere kondolencje po śmierci
Ojca
składają żołnierze i pracownicy wojska
Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Głębokie wyrazy współczucia
z powodu śmierci
Ojca
Panu ppłk. Jerzemu Olewniczakowi
oraz Rodzinie
składają polscy żołnierze i pracownicy wojska
z SHAPE.

St. szer. Krzysztofowi Połowyszczakowi
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci
Taty
składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy
Batalionu Ochrony Bazy w Redzikowie.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz słowa wsparcia
płk. Sylwestrowi Janowi Janickiemu
z powodu śmierci
Ojca
składają koleżanki i kolega
z Biura Audytu Wewnętrznego MON.

Żonie oraz Najbliższej Rodzinie
wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci
płk. Andrzeja Brzozy,
byłego szefa Zarządu Planowania Systemów
Dowodzenia i Łączności – P6 Sztabu
Generalnego WP,
składają komendant, żołnierze i pracownicy
Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki
w Zegrzu.

CENTRUM WETERANA
DZIAŁAŃ POZA GRANICAMI PAŃSTWA

Pamiętamy

mł. chor. Bartosz Spychała
3 kwietnia 2011 r., PKW Afganistan

kpr. Paweł Staniaszek
20 kwietnia 2011 r., PKW Afganistan

kpr. Grzegorz Politowski
8 kwietnia 2008 r., PKW Afganistan

kpr. Tomasz Jura
20 kwietnia 2007 r., PKW Irak

kpr. Piotr Moszyński
10 kwietnia 1995 r., UNPROFOR Jugosławia

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość
o odejściu na wieczny dyżur redakcyjny
byłego zastępcy redaktora naczelnego
„Przeglądu Wojsk Lądowych"
ppłk. dr. Ryszarda Radziejewskiego.
Wyrazy szczerego współczucia
Rodzinie
składają koleżanki i koledzy z byłej redakcji PWL.

Starszemu szeregowemu
Marcinowi Łubkowskiemu
wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje
z powodu śmierci
Mamy
składa dowódca kompanii zaopatrzenia
wraz z żołnierzami 1 Warszawskiej
Brygady Pancernej.

Szczere wyrazy współczucia
Pani Annie Marciniak
z powodu śmierci
Ojca
składają kadra i pracownicy wojska
oddziału analiz szkoleniowych.

Szczere wyrazy współczucia
Panu podpułkownikowi Radosławowi Żaworonka
z powodu śmierci
Ojca
składają kadra i pracownicy wojska
oddziału analiz szkoleniowych.

Panu ppłk. Jerzemu Olewniczakowi
oraz Jego Rodzinie i Bliskim
wyrazy najgłębszego współczucia i szczere
kondolencje z powodu śmierci
Ojca
w imieniu Konwentu Dziekanów Korpusu
Oficerów Zawodowych
oraz Biura Konwentu Dziekanów składa
płk Marian Babuśka.

Będziemy o nim pamiętali

1 marca w Warszawie zmarł prof. dr hab. Kazimierz Doktór. Był wybitnym socjologiem pracy, przemysłu, organizacji i gospodarki, wojska i sportu.

Urodził się w 1935 roku w Krotoszynie w rodzinie powstańców wielkopolskich. Studia socjologiczne ukończył w 1958 roku na Uniwersytecie Warszawskim. Stopnie naukowe doktora i doktora habilitowanego oraz tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego i profesora zwyczajnego uzyskał, pracując w Polskiej Akademii Nauk. W latach 1981–1987 pełnił obowiązki dyrektora Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Był nauczycielem akademickim m.in. na Uniwersytecie Warszawskim, w Szkole Głównej Planowania i Statystyki, Wojskowej Akademii Politycznej w Warszawie, Akademii Humanistycznej A. Gieysztora w Pułtusku, na Uniwersytecie Łódzkim oraz w Wyższej Szkole Finansów i Zarządzania w Warszawie. Opracował wiele monografii i podręczników z socjologii i zarządzania oraz opublikował ponad 800 artykułów. Był promotorem karier 21 pracowników naukowych w dziedzinie socjologii i zarządzania.

Prof. Kazimierz Doktór dał się poznać także jako działacz sportowy. Był m.in. prezesem Klubu AZS Uniwersytetu Warszawskiego, członkiem Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki oraz Polskiego Komitetu Olimpijskiego, przewodniczącym Rady Naukowej Instytutu Sportu, a także prezesem Polskiego Związku Tenisowego. Należał do Polskiej Akademii Olimpijskiej. Uprawiał czynnie sport. Był bramkarzem klubów piłkarskich, takich jak Kolejarz Krotoszyn, ASZ AWF Warszawa, CWKS Legia Warszawa i RKS Skra Warszawa.

Od 2007 roku był członkiem Rady Naukowej „Kwartalnika Bellona" i to m.in. Jemu zawdzięczamy aktualny wizerunek naszego czasopisma. Dziękujemy za wszystko, a przede wszystkim za niesamowitą życzliwość, ciepło i zrozumienie. I chociaż Pan Profesor nie doczekał zbliżającego się jubileuszu stulecia pisma, to o Jego zasługach będziemy pamiętali.

Dyrekcja Wojskowego Instytutu Wydawniczego i Rada Naukowa „Kwartalnika Bellona". ■

KSIĄŻKA

Kto odwraca oczy?

Dziennikarka Justyna Kopińska zabiera się za tematy trudne, tematy brudne, od których wielu z nas stroni, wybierając świat kolorowy. A ten opisywany przez nią jest szary, odstręczający. To właśnie taki świat, od którego najchętniej odwraca się oczy. Przecież lepiej wierzyć, że lekarze leczą zgodnie ze swoją najlepszą wiedzą, stać na stanowisku, że policja i prokuratura to wyłącznie profesjonaliści ścigający bez wytchnienia bandytów, a przedstawiciele Kościoła katolickiego zawsze jako pierwsi kierują się dekalogiem. Jakież to rozczarowanie dla nas, najchętniej wymazujących z pamięci tragiczne historie, kiedy okazuje się, że świat wygląda jednak inaczej, że Polska też jest inna.

Obrazy nakreślone ręką Justyny Kopińskiej, laureatki m.in. Nagrody PAP im. Ryszarda Kapuścińskiego czy Grand Press, wwiercają się w głowę i pozostają tam na długo. Dziennikarka posługuje się językiem prostym, oszczędnym w formie, a przez to bardzo sugestywnym. Liczy się historia, opowieść o człowieku, nic więcej. Nie ocenia swoich bohaterów, nie moralizuje, nie dziwi się, nie udaje kogoś z innego świata. Za to zadaje trudne pytania, drąży i staje się niejako rzeczniczką tych przedstawicieli naszego społeczeństwa, którzy wobec całego aparatu państwowego, urzędniczego, sformalizowanego są bezradni. Na zbiór „Polska odwraca oczy" składa się 16 reportaży. Pozycja absolutnie obowiązkowa nie tylko dla miłośników tej formy dziennikarskiej.■

KATARZYNA PIETRASZEK

Justyna Kopińska, „Polska odwraca oczy", Świat Książki, 2016

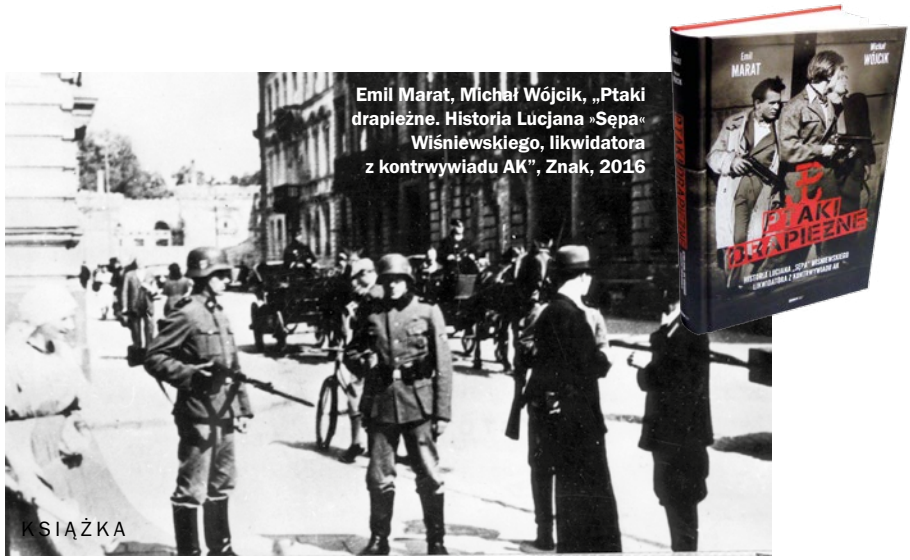

Emil Marat, Michał Wójcik, „Ptaki drapieżne. Historia Lucjana »Sępa« Wiśniewskiego, likwidatora z kontrwywiadu AK", Znak, 2016

KSIĄŻKA

Swój za plecami to życie

Brał udział w ponad 60 akcjach, egzekucjach konfidentów, zdrajców, na których Państwo Podziemne wydało wyrok śmieci.

Nie, nie wiedzieliśmy, kto to jest. Nie liczono się wówczas z nami na tyle, by tłumaczyć, kto, co i dlaczego. Nie. Był cel, był dowódca i koniec. Cała machina była tak skonstruowana, że mieliśmy po prostu ufać szefom i nie wnikać". Tak Lucjan „Sęp" Wiśniewski, likwidator z ramienia kontrwywiadu Armii Krajowej, wspomina swoje pierwsze zlecenie, kiedy jako siedemnastolatek dostał rozkaz zabicia pewnej kobiety z niewyraźnego zdjęcia. Od tamtej pory brał udział w ponad 60 akcjach, egzekucjach konfidentów, zdrajców, na których Państwo Podziemne wydało wyrok śmieci.

Z kart książki dowiadujemy się, że dowództwo kontrwywiadu Komendy Głównej AK w 1941 roku postanowiło zorganizować oddział, którego najważniejszym zadaniem byłoby właśnie likwidowanie zdrajców, mogących zaszkodzić działalności konspiracyjnej. Mieliby się zająć także Niemcami, wyprzedzająco, prewencyjnie. Dowódcą został Leszek „Twardy" Kowalewski, a jego zastępcą Tadeusz „Naprawa" Towarnicki. Ów specjalny oddział zyskał kryptonim „Wapiennik", a potem 993/W (od słowa „wykonanie").

„Sęp" trafił do oddziału jesienią 1942 roku, razem z Ryszardem „Gilem" Duplickim, Zygmuntem „Puchaczem" Szadokierskim, Stanisławem „Kobuzem" Salachem i Jerzym „Jurem I" Pajdzińskim. „Ptaki" utworzyły pierwszy patrol drugiego plutonu.

Dziennikarzom Emilowi Maratowi i Michałowi Wójcikowi udało się przeprowadzić szczerą, otwartą rozmowę. Nie unikali pytań trudnych, niewygodnych – o sumienie, o to, jak to jest zabić człowieka, nawet gdy nie wiadomo, czy naprawdę na śmierć zasłużył, o pomyłki, które przecież się zdarzały, o rywalizację między członkami oddziału, o pieniądze za zlecenia. Lucjan Wiśniewski nie stronił od odpowiedzi, podkreślając, że wierzył w Państwo Podziemne i czuł się częścią trybów maszyny sprawiedliwości. ■

KATARZYNA PIETRASZEK

LICZNE **MAPY** I PLANY BITEW

KSIĄŻKA

Historyczny patos

Ostatni rosyjscy żołnierze opuścili Polskę w symboliczną rocznicę – 17 września 1993 roku.

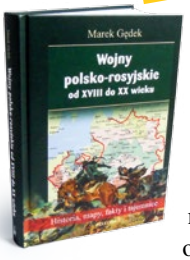

Upadek Rzeczypospolitej, polskie powstania narodowe, walki narodowowyzwoleńcze i konflikty światowe XX wieku miały jeden wspólny mianownik – ich los i dzieje był związane z Rosją. Najnowsza książka Marka Gędka to doskonale napisana i zobrazowana historia walk i wojen Polski i Polaków ze wschodnim sąsiadem. Rosja – carska, potem bolszewicka i sowiecka – miała ogromny wpływ na dzieje i losy państwa polskiego. Gędek opisuje wspólną historię Polski i Rosji od wojen elekcyjnych na początku XVIII wieku do momentu opuszczenia przez ostatnie rosyjskie jednostki wojskowe terytorium Polski w 1993 roku. Wielkim atutem są liczne mapy i plany bitew oraz działań wojsk. Jest to pozycja stanowiąca kamień milowy w poznaniu wspólnej historii obu słowiańskich narodów i obowiązkowa lektura dla każdego miłośnika dziejów oręża. ■

JAKUB NAWROCKI

Marek Gędek, „Wojny polsko-rosyjskie od XVIII do XX wieku", Bellona, 2016

KSIĄŻKA

To Armia Krajowa...

W nocy z 21 na 22 stycznia 1940 roku powiatowe miasto Czortków, położone niedaleko granicy z Rumunią, cicho przeszło do historii jako miejsce pierwszego powstańczego zrywu Polaków w czasie II wojny światowej. Około 100 członków organizacji „Gizka", czyli Heweliusza Malawskiego, zaatakowało wówczas sowiecki garnizon. Kilkudziesięciu z nich poniosło śmierć – jedni w czasie walki, inni przed plutonem egzekucyjnym lub w łagrach. Tym zapomnianym przez lata zrywem niewielkiej organizacji „Gizka", oddającym ducha spontanicznej potrzeby walki, wprowadzają autorzy „Wielkiej księgi Armii Krajowej" w opowieść o innej, największej i najlepiej zorganizowanej w Europie armii okupowanego państwa.

„Dla polskiego ruchu oporu charakterystyczne są dwa zjawiska: konspiracja i powstanie. […] Konspiracja obejmuje wszystkie dziedziny życia państwowego i narodowego, od nielegalnego aparatu państwowego do niepozornej podziemnej akcji opiekuńczej włącznie". Ten fragment raportu niemieckiego oficera Reinharda Gehlena, przytoczony w artykule Anny Gabryś, rozpoczyna podróż przez historię Armii Krajowej od początków państwa podziemnego aż do trudnych lat powojennych. Dostrzeżoną przez Gehlena wieloaspektowość działania i życia konspiracyjnego starali się pokazać współautorzy „Wielkiej księgi…". Zadanie nie było łatwe, chociażby z uwagi na obszar działania AK, liczbę jej członków czy zmieniającą się wojenną rzeczywistość. Na pewno praca porządkuje wiedzę na temat organizacji państwa podziemnego. Znajdziemy tu informacje dotyczące kluczowych postaci AK, najbardziej spektakularnych akcji, uzbrojenia czy działania poszczególnych komórek. Oprócz tego są też niezmiernie ciekawe artykuły, z których się dowiemy, jak wyglądało codzienne życie w konspiracji, jak radzono sobie z ciągłym stresem czy jakie znaczenie miała służba kobiet, a także jakie niestandardowe, często kontrowersyjne metody walki stosowano w walce z wrogiem. Niezwykle ciekawy jest też rozdział dotyczący najbardziej tragicznego dla żołnierzy okresu już po oficjalnym rozwiązaniu Armii Krajowej przez Leopolda Okulickiego. ■

JOANNA ROCHOWICZ

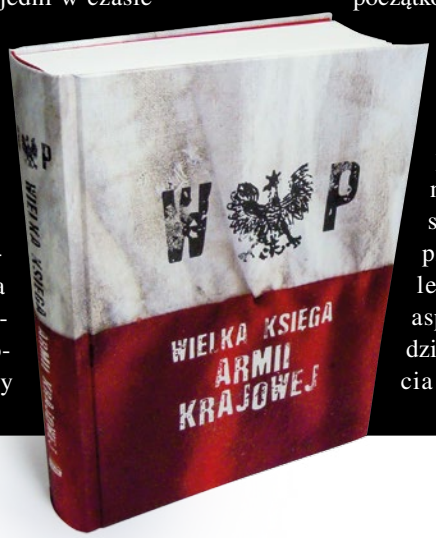

„Wielka księga Armii Krajowej", praca zbiorowa, Znak Horyzont, 2015

ANDRZEJ
FĄFARA

Baśniowe igrzyska

Gdy 120 lat temu, na początku kwietnia 1896 roku, rozpoczynały się w Atenach pierwsze nowożytne igrzyska olimpijskie, mało kto na świecie wiedział o tym wydarzeniu. Proszę sobie wyobrazić, że nie było żadnej informacji w sieci. Dlatego na starcie stanęła mieszanka zapaleńców i ludzi przypadkowych.

Do tej drugiej grupy należy zaliczyć Irlandczyka Johna Piusa Bolanda, który akurat przebywał w stolicy Grecji z wizytą u przyjaciela i za jego namową wziął udział w turnieju tenisowym. Zwyciężył w singlu i deblu, choć ani wcześniej, ani później nie miał międzynarodowych sukcesów. Po prostu potrafił grać… Rosjanie w ogóle w igrzyskach nie wystartowali, bo w trakcie podróży z Moskwy do Aten skończyły im się pieniądze. Amerykanie zaś ledwo zdążyli, bo nie wzięli pod uwagę, że w Grecji obowiązuje kalendarz juliański.

Zaplanowane na dziesięć dni zawody nawiązywały do igrzysk starożytnych, które zostały zakazane w 393 roku przez cesarza Teodozjusza I Wielkiego. Jednym z powodów decyzji jego cesarskiej mości było łamanie zasady zawieszenia broni na czas trwania sportowej rywalizacji. Nowożytni w ogóle się tą szlachetną regułą nie przejmowali. Mało tego: odwrócili ją o 180 stopni i gdy rozpoczynali wielkie światowe wojny, po prostu odwoływali igrzyska. Tak było znacznie prościej...

Na początku kwietnia 1896 roku trwała już od dłuższego czasu wojna włosko-abisyńska. Miesiąc przed inauguracją igrzysk doszło do bitwy pod Adui, w której zginęło po obu stronach około 10 tys. żołnierzy. Większość poległych stanowili Włosi, którzy przegrali tę wojnę sromotnie. Ciągnąca się latami frustracja spowodowana tą klęską ułatwiła potem przejęcie władzy Mussoliniemu. Prócz Włochów i Abisyńczyków aktywni militarnie byli w tym czasie Brytyjczycy, którzy na południu i zachodzie Afryki toczyli boje w obronie swoich kolonii.

To, co przeszkadzało cesarzowi Teodozjuszowi, francuskiego barona Pierre'a de Coubertina, który postanowił wskrzesić igrzyska, zupełnie nie raziło. To najlepiej pokazuje, jak przez te 15 wieków zmienił się świat.

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do Aten, gdzie 120 lat temu miały miejsce wydarzenia baśniowe. Gdy rządowi greckiemu zabrakło pieniędzy na organizację imprezy, pojawił się niespodziewanie bogaty kupiec Georgios Averoff i wyłożył milion drachm. Ten sam bogacz obiecał rękę swojej córki Grekowi, który wygra bieg maratoński. Gospodarzom ogromnie zależało na zwycięstwie w tej akurat konkurencji. Tradycja bitwy pod Maratonem i śmierci posłańca, który niósł radosną wieść o triumfie, była w narodzie wciąż bardzo silna.

No i wygrał reprezentant Grecji. Nazywał się Spiridon Louis. Jedni piszą, że był listonoszem, inni, że wiejskim woziwodą. Gdy upał zwalał z nóg rywali, on wstąpił do przydrożnej oberży i wzmocnił się czerwonym winem. Regulamin tego nie zabraniał. Jako triumfator dostał tonę czekolady, baryłkę 100-letniego wina i zyskał dożywotnie prawo darmowego golenia i strzyżenia. Z obietnicy bogatego kupca nie mógł skorzystać. Był już żonaty. ■

PATRONAT **POLSKI ZBROJNEJ**

20-22.06.2016 | Gdańsk | AMBEREXPO

14. Bałtyckie Targi Militarne

BALT MILITARY EXPO 2016

USEALS

WYSTAWA BEZZAŁOGOWYCH SYSTEMÓW MORSKICH POWIETRZNYCH LĄDOWYCH

PARTNER MEDIALNY Polska Zbrojna Wojsko MORZA MAGNUM X

VII Międzynarodowa Konferencja Naukowo-Techniczna

NAT CON NAVAL TECHNOLOGY CONFERENCE GDAŃSK • GDYNIA

TECHNOLOGIE MORSKIE DLA OBRONNOŚCI I BEZPIECZEŃSTWA

ORGANIZATORZY MTG MIĘDZYNARODOWE TARGI GDAŃSKIE SA CTM PGZ

MTG MIĘDZYNARODOWE TARGI GDAŃSKIE SA amberexpo

DYREKTOR PROJEKTU: **MAREK BUCZKOWSKI**
TEL. 58 554 92 13, 693 448 814, FAX 58 554 93 13
MILITARY@MTGSA.COM.PL
WWW.BALTMILITARY.PL

NAT CON

BIURO ORGANIZACYJNE: **MONIKA DOMAGAŁA**
TEL. 58 666 54 81
NATCONFERENCE@NATCONFERENCE.EU
WWW.NATCONFERENCE.EU

POLSKA-ZBROJNA.PL

24
GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI Z ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

WIW
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY